SIECI

INTERWENCJA PAŃSTW NATO NA UKRAINIE? OCENIA MAREK BUDZISZ

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
20 (598) 2024
13–19 maja 2024
CENA: 11,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

TAJEMNICA UCIECZKI SĘDZIEGO SZMYDTA

MIAŁ ZNISZCZYĆ REFORMĘ SĄDOWNICTWA. TO BYŁO GŁÓWNE ZADANIE SZPIEGA

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

epras

polsat box plus

TV + Światłowód

19 zł /mies.

przez pierwszy rok po rabatach

Od 13. mies. 70 zł/mies. z rabatami, od 25. mies. 99 zł/mies. z rabatem.
Telewizja Pakiet S – 57 kanałów, Światłowód S – do 300 Mb/s.

Pobierz ulotkę

Dotyczy prezentowanych ofert łączonych dla nowych Klientów na min. 24 mies. **Światłowód Plusa S** z rabatami (e-faktura, smartDOM i specjalny) 19 zł/mies. przez 12 mies., od 13. mies. 40 zł/mies. z rabatami (e-faktura i smartDOM), od 25. mies. 59 zł/mies. z rabatem (e-faktura). Rabaty mies.: e-faktura 10 zł, specjalny 21 zł, smartDOM 9 zł. Szczegóły w Regulaminie „Plus Internet Stacjonarny – oferta łączona" na plus.pl. **Telewizja Polsat Box Pakiet S** przez pierwszy rok bez opłat, w drugim roku 30 zł/mies., potem 40 zł/mies. „Bez opłat" nie obejmuje pakietów dodatkowych, usług technicznych i opłaty jednorazowej za aktywację dekodera. Liczba kanałów uwzględnia kanały niegwarantowane. Min. prędkości 8 Mb/s dla kanałów HD i 25 Mb/s dla kanałów 4K na dekoder. Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie na polsatbox.pl. **Warunkiem skorzystania z rabatu** smartDOM jest zachowanie warunków tego programu i zgoda na przekazywanie danych pomiędzy Cyfrowym Polsatem S.A. a Polkomtelem Sp. z o.o. Szczegóły w Regulaminie „smartDOM 5 – Telewizja, Internet, Telefon" na polsatbox.pl i plus.pl. Oferta ważna na dzień 13.05.2024 r.

eprasa.pl 84b1c1dbc7

Tylko przemoc i kłamstwa

Daleki jestem od stawiania tezy, że ta władza za chwilę się skończy. Ma dużą przewagę w Sejmie, wygłodzone i cyniczne w dużej części kadry, dla których żerowanie jest najważniejsze. Stoi za nią potężny front medialnego kłamstwa. Kibicuje jej pragnąca uczynienia z Polski uległej prowincji władza niemiecko-brukselska, trzyma za nią otwarcie kciuki dyktator Łukaszenka i bardziej dyskretnie zbrodniarz Putin. Obaj liczą na kolejny reset, są zresztą znaki, że jest on szykowany.

Ma też ta ekipa lidera-premiera, dla którego skłamać to jak splunąć. Wyuczył się paru aktorskich sztuczek i obficie ich używa. Wszystko powie, każdego o wszystko oskarży, ludzi uczciwych, patriotów wyzywa od najgorszych, składa hołdy ludziom podłym. Moralne spustoszenie, jakie zostawi ta władza w polskiej polityce, będzie straszne. Każdy dzień jej trwania spycha nas w kierunku cynicznych, brutalnych wschodnich reżimów, gdzie liczą się wyłącznie „technologie" manipulowania społeczeństwem, gdzie prawda nie ma żadnego znaczenia.

Wiele wskazuje, że największa próba wciąż przed obozem propolskim. Reżim wyraźnie zamierza podjąć kolejne próby jego złamania, podobne do tych sprzed kilku miesięcy, gdy wtrącił do więzienia dwóch posłów. Mówi się o planowanych pod kątem medialnym zatrzymaniach ludzi związanych z Prawem i Sprawiedliwością, planowane są kolejne polityczne polowania. Tym bardziej zaciekłe, im bardziej blado wygląda dorobek sejmowych komisji śledczych. Miały znaleźć dowody na zbrodnie PiS, ale dowodzą czegoś przeciwnego: był to dobry, dbający o Polskę rząd.

Przed polskimi patriotami zatem wiele trudnych, bolesnych momentów mierzenia się z niegodziwością, z zalewem obrzydliwych sztuczek cynicznej władzy, która niemal otwarcie działa w interesie zewnętrznym.

Jednocześnie jednak nie można nie zauważyć, że coś poszło Tuskowi nie tak. Wypycha z rządu do Parlamentu Europejskiego kluczowych ministrów – niby w nagrodę, niby do luksusowego życia, ale jednak budując silne wrażenie chaosu. Po pięciu miesiącach sprawowania władzy już się wypalili? Bo przecież niczego nie zrealizowali, cały wysiłek pochłonęło niszczenie planów, projektów, inwestycji przygotowanych za poprzedniego rządu.

Do opinii publicznej dociera, że naprawdę nie zbudujemy Centralnego Portu Komunikacyjnego, że naprawdę budowa elektrowni atomowych będzie opóźniana (co jest zbrodnią na polskiej gospodarce!), że rozwój armii będzie jednak hamowany. Do tego drastyczne podwyżki cen prądu i gazu. Staje się też jasne, jak wielkim oszustwem była rozwinięta przed wyborami kampania obietnic. Nikt nawet przez minutę nie zamierzał ich realizować.

Kilka razy władza pokazała się jako nieudolna, śmieszna, wręcz żenująca. Tak było przy sprawie „pogłosu" ministra Marcina Kierwińskiego. Całą maszynerię reżimu i jego propagandy skierowano na przekonywanie Polaków, że to, co widzieli, wcale nie było tym, czym było. Z mizernym skutkiem.

Minister obrony narodowej Władysław Kosiniak-Kamysz wdał się w niefortunną rozmowę o „plecaku ewakuacyjnym", zwanym też „plecakiem ucieczkowym", który trzyma w domu na wypadek zagrożenia. Doradza to wielu ekspertów, ale zabrzmiało niepoważnie. Co najgorsze, dobrze trafiło w podskórne przekonanie, iż dla obecnie rządzących obrona Polski w razie zagrożenia jest tylko jedną z opcji, traktowaną chyba mniej serio niż właśnie ucieczka.

Z pieniędzy KPO mamy dopłacać do zakupu niemieckich używanych samochodów elektrycznych, których tam już nie chcą.

To śmiech przez łzy. Ta władza nie ma Polakom do zaoferowania nic poza przemocą i kłamstwem. Plany dla Polski powstają dziś w innych stolicach, krajem rządzi partia zewnętrzna. Nie wiemy, ile to potrwa, kiedy się skończy ta władza. Zapewne nie bardzo szybko. Ale patrząc na to wszystko, oceniam, że lód pod nimi jest cieńszy, niż to wygląda przy pierwszym oglądzie. Jakiś nowy czynnik, jedno zdarzenie może wywołać załamanie. Bądźmy więc czujni.

Michał Karnowski

Reklama | 12/0324/F

eprasa.pl 84b1c1dbc7

SIECI

spis treści

23 Metoda Tuska
Piotr Gursztyn

51 Z Januszem Rosikoniem
rozmawia Goran Andrijanić

61 Złota Palma i szklany sufit
Jolanta Gajda-Zadworna

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **JAK „BOBAS" ZOSTAŁ STRAŻAKIEM**
Krzysztof Feusette

9 **UŚMIECHNIĘTA POLSKA**
Dorota Łosiewicz

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **SPOTKAJMY SIĘ 28 SIERPNIA**
Samuel Pereira

13 **JAK I DLACZEGO BYĆ KONSERWATYSTĄ**
Bronisław Wildstein

14 **WALIZKA MAGDALENY KOBIERECKIEJ**
Michał Korsun

16 **JAK TU MOŻNA NIE BYĆ PATRIOTĄ?**
Jan Pietrzak

16 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

17 **GROŹNY SCENARIUSZ**
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 **NERWY WOJNY**
Ryszard Makowski

TEMAT TYGODNIA

20 **TAJNA MISJA SZPIEGA ŁUKASZENKI**
Wojciech Biedroń

KRAJ

23 **METODA TUSKA**
Piotr Gursztyn

26 **PECHOWY DZIEŃ MINISTRA KIERWIŃSKIEGO**
Dorota Łosiewicz

29 **POLITYKA NIEDOROZWOJU**
Konrad Kołodziejski

32 **Z ADAMEM BIELANEM**
rozmawia Michał Karnowski

36 **FIASKO WIELKIEJ UCIECZKI**
Stanisław Janecki

ŚWIAT

39 **INTERWENCJA PAŃSTW NATO NA UKRAINIE?**
Marek Budzisz

42 **QUO VADIS, EUROPO?**
Dariusz Matuszak

45 **BEZ GIORGII ANI RUSZ (O KOALICYJNYCH GRACH W UNII EUROPEJSKIEJ)**
Jan Rokita

OPINIE

48 **ZAKAZANA TEORIA**
Maciej Walaszczyk

HISTORIA

51 **Z JANUSZEM ROSIKONIEM**
rozmawia Goran Andrijanić

55 **POWOJENNA TUŁACZKA ŻOŁNIERZY 2. KORPUSU POLSKIEGO**
Stanisław Płużański

58 **PRAWDZIWI PIRACI – PRAWZÓR ZACHODNICH DEMOKRACJI?**
Małgorzata Wołczyk

SIECI KULTURY

61 **ZŁOTA PALMA I SZKLANY SUFIT**
Jolanta Gajda-Zadworna

64 **TRZY HISTORIE**
Robert Tekieli

65 **WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli

66 **KOKTAJL KULTURALNO-POLITYCZNY**
Maciej Walaszczyk

PODRÓŻE

68 **MOJE SZLAKI: LENKA I JAN KLIMENTOWIE**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

69 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

70 **OJKOFOBIA**
Wojciech Reszczyński

71 **CARPE DIEM**
Aleksander Nalaskowski

72 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

73 **TRUDNE IGRZYSKA, TRUDNE EURO 2024**
Ryszard Czarnecki

74 **INSYGNIA PEWNOŚCI SIEBIE**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Reklama | 23/0424/F

eprasa.pl 84b1c1dbc7

STULECIE UTWORZENIA
BANKU POLSKIEGO SA
I WPROWADZENIA
ZŁOTEGO DO OBIEGU

NBP INFORMUJE

„

NARODOWY BANK POLSKI
NIEZALEŻNY OD RZĄDU I PARLAMENTU
ORAZ STABILNA WŁASNA WALUTA
SĄ FINANSOWĄ PODSTAWĄ
ROZWOJU GOSPODARCZEGO POLSKI
I WZROSTU DOBROBYTU JEJ OBYWATELI.

„

Prof. Adam Glapiński
Prezes Narodowego Banku Polskiego

NARODOWY BANK POLSKI

Dbamy o wartość polskiego pieniądza

eprasa.pl 84b1c1dbc7

Sygnalista nadaje

Władysław Kosiniak-Kamysz, wicepremier i minister obrony narodowej, oświadczył w Radiu ZET, że od początku pełnoskalowej inwazji Rosji na Ukrainę „ma spakowany plecak ewakuacyjny" i doprecyzował: „On do dzisiaj jest spakowany". Co prawda później dodał, że „posiadanie takiego plecaka bezpieczeństwa jest dobre również na wypadek jakiejkolwiek klęski żywiołowej, jakiegoś nagłego zdarzenia" oraz że „trzeba być gotowym na każdą sytuację", ale całość zabrzmiała źle. Bardzo źle.

Były minister obrony, szef klubu PiS Mariusz Błaszczak skomentował: „Ewakuacja w czasie zagrożenia to ostatnie, o czym powinien myśleć odpowiedzialny minister obrony narodowej. Takie słowa – nawet jeśli intencje są dobre – nie sprawiają, że Polacy czują się bezpieczniej". A całą sprawę celnie podsumował red. Jakub Maciejewski: „Wbrew pozorom plecak ewakuacyjny nie służy do uciekania z kraju, a do szybkiej zmiany lokalizacji, np. z domu do schronu, do gabinetu itp. Zawiera dokumenty, lekarstwa i inne najbardziej potrzebne rzeczy. Nie zmienia to jednak faktu, że polski minister OBRONY po raz kolejny przedstawia się jako rozedrgany tygrysek. To obniża powagę naszej obronności i to jest problemem, a nie plecak". Jeśli to jest nasza wojna – a jest – to słowa mają wielkie znaczenie.

Co prawda minister kultury ***Bartłomiej Sienkiewicz*** ucieka do Parlamentu Europejskiego, ale do końca rozdaje ciosy. Jak poinformował, do Sejmu trafił wniosek o postawienie przed Trybunałem Stanu przewodniczącego Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji Macieja Świrskiego. Powody? Rzekomo nieprawne działania w sprawie finansowania mediów publicznych oraz rzekomo stronnicze traktowanie mediów prywatnych. „Ma dawać pieniądze na media publiczne" – grzmiał Sienkiewicz. W państwie „kwitnącej demokracji" niezależność instytucji osadzonych w konstytucji jest po prostu fikcją.

Bardzo jasno rzecz ujął Marcin Kierwiński, minister spraw wewnętrznych, również wyruszający w polityczną podróż do Brukseli: „Wniosek o Trybunał Stanu dla Świrskiego to mocny sygnał, że nie będziemy tolerowali pisowskiego sabotażu i prób destabilizacji polskiego państwa". Wypowiedź prawie tak stanowcza jak deklaracje Cyrankiewicza po powstaniu poznańskim („Każdemu, kto podniesie rękę na władzę, władza tę rękę odrąbie"). Cel jasny: nikt nie może przeszkadzać w procesie wygaszania państwa polskiego.

Posłowie Sebastian Kaleta i Janusz Kowalski przeprowadzili kontrolę poselską w Komendzie Rejonowej Policji Warszawa II, gdzie zostało przeprowadzone badanie, którego wyniki opublikował minister Kierwiński po słynnej przemowie w Dniu Strażaka. Co ustalili? „Minister udał się bezpośrednio do dyżurki, w której nie ma kamer monitoringu. Standardowo badanie przeprowadza się w taki sposób, że wnioskodawca jest na korytarzu obok dyżurki, pochyla się do specjalnego okienka, przez które wydawany jest mu ustnik do badania. Miejsce to objęte jest monitoringiem. Oznacza to, że przebieg badania nie został zapisany na monitoringu komendy!". Operację ratowania kariery ministra

eprasa.pl 84b1c1dbc7

Kierwińskiego ogólnie należy ocenić wysoko, ale nie obyło się jednak bez wpadek.

Podczas spotkania prezesa PiS z dziennikarzami ***Jarosław Kaczyński*** został poproszony przez reportera portalu wPolityce.pl o ocenę procesu zużywania się nowej władzy. W odpowiedzi były premier stwierdził: „Na pewno proces zużywania się nowej władzy jest zauważalny i biorąc pod uwagę przewagę medialną obecnej władzy, to ten proces przebiega bardzo szybko. Ale z drugiej strony skala protestów nie jest wielka. W Gruzji, gdzie wchodzi w życie ustawa w sprawie ujawniania informacji o zagranicznym finansowaniu organizacji pozarządowych, co samo w sobie uważam za dobre rozwiązanie także w kontekście polskim, trwają ostre, liczne protesty. U nas był napad na TVP o charakterze wprost bandyckim, a te protesty ograniczały się jednak do mniejszej liczby osób". To smutna prawda. Obóz niepodległościowy wciąż nie znalazł prawdziwej siły, bez której Polski nie da się uratować.

Jarosław Kaczyński ocenił także zarzuty stawiane byłemu prezesowi ORLENU, obecnie kandydatowi PiS do Parlamentu Europejskiego Danielowi Obajtkowi. „Wyjaśniałem sprawę ponad miliarda strat rzekomo poniesionych przez PKN ORLEN. Jeśli chodzi o zakup dużych ilości ropy, to stosowane są zwykle, zawsze, przedpłaty. Fixing. To jest normalna procedura. Dokonano takiej przedpłaty na kwotę 1,6 mld zł – nie euro, jak niektórzy podawali. I ta ropa miała zostać dostarczona. Ale nie została przyjęta przez następców Daniela Obajtka w ORLENIE. A następnie ci, którzy jej nie przyjęli, stworzyli rezerwę na straty. I z tego, czyli nie z działań Obajtka, tylko z działań nowego zarządu, stworzono aferę" – mówił prezes PiS. Fabryka „afer" działa prężnie. A to dopiero początek.

Jarosław Kaczyński był również pytany o relacje z Konfederacją. W odpowiedzi stwierdził: „Konfederacja nadal uważa, że ich szansą jest nasz zanik. Ale my nie znikniemy, a oni niech się zastanowią". Dziś niestety nie widać, by w obozie Bosaka i Brauna postępowała refleksja w tej sprawie. A przecież już dziś widać, że Konfederacja rosła w czasie rządów PiS, a dziś słabnie. Widać też, że jeżeli koalicja 13 grudnia upora się z PiS, to weźmie się za narodowców. Czas porzucić złudzenia w tej sprawie.

Uwaga! Uwaga! Polska awansowała w rankingu dotyczącym wolności prasy. W przygotowanym przez organizację Reporterzy bez Granicy zestawieniu przesunięto nas o 10 miejsc do góry. Czy mamy się jednak z czego cieszyć? „Werdykt tego rankingu jest skandaliczny i powiem, że wręcz żałosny" – mówi w rozmowie z portalem wPolityce.pl dr Jolanta Hajdasz. Dla szefowej Centrum Monitoringu Wolności Prasy to czysta hipokryzja. „Pozytywnie oceniając to, co zrobiono z mediami publicznymi w Polsce, pokazują, że ranking nie ma żadnego znaczenia i jest zideologizowany" – ocenia dr Hajdasz. I trudno się z nią nie zgodzić. Liberalna demokracja jako system polityczny staje się własną parodią.

Marszałek ***Szymon Hołownia*** zapowiedział zmiany w przepisach dotyczących wpuszczania gości do Sejmu. To reakcja na protest rolników w siedzibie parlamentu. „W mojej ocenie musimy z tej sytuacji wyciągnąć wnioski, również dotyczące bezpieczeństwa tego budynku, na przyszłość. I one zostaną wyciągnięte. Nie może być tak, że ten budynek jest otwarty dla każdego, kto bez żadnego sprawdzenia jego intencji tutaj wchodzi. Bo ten, kto wchodzi z dobrą intencją, jest tutaj zawsze mile widziany. Ten Sejm jest otwarty, jak nigdy nie był. Ale pamiętajmy, w jakich czasach żyjemy". Dobrze pamiętamy. Mamy władzę, która rządzi „gazem, pałą i uchwałą" i która zupełnie co innego mówi, a co innego robi.

Szefowa Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen zapowiedziała zakończenie wobec Polski procedury z art. 7., mimo że w naszym kraju w sferze systemu prawnego nie zmieniła się ani jedna ustawa, ani jeden przepis. Zdaniem Ewy Kopacz nie było takiej potrzeby. „Prosta sprawa. Ja widzę więcej uśmiechniętych ludzi na ulicach. Ludzie nie są zastraszeni, ludzie otwarcie mówią. Teraz, w kampanii wyborczej, mam okazję często z nimi rozmawiać i to nie na specjalnie zorganizowanych spotkaniach, spędach – jak to robi PiS – tylko podchodzą do mnie różni ludzie i mówią, że cieszą się, że te zmiany następują. Czy nieszczęśliwy człowiek się uśmiecha?" – pytała była premier. Wszyscy żyjemy w jakichś bańkach medialno-społecznych, ale bańka Ewy Kopacz wydaje się wyjątkowo szczelna.

Ministerstwo Rozwoju i Technologii uchyliło 2 maja decyzję lokalizacyjną dla pomnika smoleńskiego upamiętniającego ofiary tragedii z 10 kwietnia 2010 r. Wcześniej Bartłomiej Sienkiewicz i ***Małgorzata Kidawa-Błońska*** mówili, że pomnik „nie może stać w tym samym miejscu" i „psuje architekturę" pl. Józefa Piłsudskiego. Czy władza szykuje się do usunięcia monumentu? Na pewno będzie chciała grać tą sprawą, rozgrzewać emocje, prowokować, a przede wszystkim przykrywać dyskusję o drożyźnie, niedotrzymanych obietnicach i zwijanych inwestycjach. To dobrze znane techniki, zwłaszcza na zamordystycznym Wschodzie. Ale jest w tym wszystkim i nadzieja: koalicja 13 grudnia nie umie się samoograniczać w swojej nienawiści i to doprowadzi ją do zguby.

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor (3x), Julita Szewczyk

eprasa.pl 84b1c1dbc7

Jak „Bobas” został strażakiem

Kier. Wiński: Halo? Srasz?
Min. Kultury: Słucham?
Kier. Wiński: Srasz poszarna? Ja wam bardzo zienkuje za wszystko, co robicie, szeby... szeby... gasiś pożar!
Min. Kultury: To ty, „Bobas”?
Kier. Wiński: K...a, co wy macie z tym „Bobasem”? Nigdy nie byłem bobasem! A że marynarkę miałem po wuju, to nic nie znaczy!
Min. Kultury: Ja cię z tego nie wyciągnę. Ja sam muszę być sobie sterem, okrętem, żeglarzem i rumem... Ile miesięcy cię nie będę widział, nie wiem sam, lecz pamiętać zawsze będę cię, a więc żegnaj mi, Donaldzie mój... Nie, nie będę rymował. A czemu ty w ogóle dzwonisz o tej porze, kiedy ja mógłbym być, gdybym się nie pakował, dysponowany inaczej?
Kier. Wiński: Żebyś mnie pomógł.
Min. Kultury: A w czym?
Kier. Wiński: Wizerunek mi się spier...ł.
Min. Kultury: To chyba już wcześniej? Jak żeście rolników pałowali.
Kier. Wiński: Ale teraz mnie nakryli.
Min. Kultury: Chyba nie na schodach?!
Kier. Wiński: Na pl. Piłsudskiego. Strażakom tłumaczyłem, że trzeba pożar gasić, a potem zrobił się jeszcze większy.
Min. Kultury: Ale czemu?
Kier. Wiński: Twierdzą, że bałko... bełta... bełkotałem czy coś? Rozumiesz?
Min. Kultury: Oczywiście. Mnie też się dobrali do duszy, że niby po schodach nie umiem, państwo sraństo. Mówię ci, jak ja się cieszę, że się odseparuję od tego... Sam wiesz, o kogo chodzi.
Kier. Wiński: Wiem. Mówiłem mu, że nie chcę jechać, a on mi, że ktoś musi, żebyście się z Budką za bardzo nie podpalili. Wtedy mi się nieśmiertelność włączyła, a potem pogłos taki, z radości, że mózg staje.
Min. Kultury: A mikrofon kto ci w takim stanie podkładał?
Kier. Wiński: W jakim stanie? W stanie to ja byłem wszystko powiedzieć. Całe dwie minuty nawijałem, żeby gasić, a nie czekać, aż planeta zacznie się palić ministrowi pod nogami. Powiedzieli, że nagłośnienie było nawalone. Ludzie na to, że „Bobas” nie dość, że napruty, to jeszcze nagłośnienie spier...ł! Dźwiękoholika ze mnie zrobili. Ty masz doświadczenie, powiedz, jak to odkręcić?!

KRZYSZTOF FEUSETTE

Min. Kultury: Zawsze w prawo, ale piwo może nie puścić.
Kier. Wiński: A moje dobre imię?
Min. Kultury: Dobre to było zanim ci strażacy Jońskiego nie podłożyli. Chrzanić imię, ratuj nazwisko. Może zmienisz?
Kier. Wiński: Niby jakie? Kierownik Wiński? Żeby jeszcze bardziej się kojarzyło?
Min. Kultury: Na takie, żeby nie pamiętali. Ja mam łatwiej, bo pradziadkiem zawsze się zasłonisz. Nawet jeśli twórczości nie cenisz.
Kier. Wiński: Nie cenisz pradziada? Nobla dostał!
Min. Kultury: E tam. Jacyś murzyni w puszczy i pustyni, stereotypy antyniemieckie, że niby oczy wypalali, nawet Szwecja niedobra. I ten Zagłoba wiecznie nawalony...
Kier. Wiński: To źle, że Zagłoba?
Min. Kultury: No, co ty, „Bobas”, nikt cię nie ma za głąba.
Kier. Wiński: Przecież ja nawet badania alkomatem zrobiłem, żeby udowodnić, że pogłos był. Krew mi pobrali, chyba na ultradźwięki, czy coś? K...a, jak sobie pomyślę, że taki Morrison to wiecznie na bani z tym mikrofonem...
Min. Kultury: Ale on śpiewał, co chciał, a nie, jak mu zagrali.
Kier. Wiński: Nic mi nie grali, nawet prosiłem, żeby orkiestra „Płonie stodoła” zaintonowała, ale kazali mi siadać na miejsce. Dlatego ja dzisiaj nie walczę o siebie, ja walczę o godność każdego straszaka... strażnika pożarowego... pożarnego...
Min. Kultury: Aha. To posz... posz... poszczekaj...
Kier. Wiński: Hau, hau....
Min. Kultury: K...a, nie masz ujadać, tylko daj mi czas. Muszę pomyśleć. Nie jesteśmy na rządzie. Wiesz, u kogo...
Kier. Wiński: Ja przez niego piję. To znaczy, ja nie piję prawie w ogóle bez okazji, ale nigdy w pracy, nigdy w domu, nigdy w czasie wolnym... Zaraz, to kiedy ja piję?
Min. Kultury: Przed przemówieniami?
Kier. Wiński: Ale szemu? Powiedz mi, szemu? Szeciesz ja się praktysznie nie stresuję.
Min. Kultury: Spokojnie. Ja cię w Brukseli szyskiego nauszę. Tylko jakby cię Budka łapał, to usiekaj. Donosi, ale nie to, co szeba.

eprasa.pl 84b1c1dbc7

Uśmiechnięta Polska

I choć Polakom wcale nie jest teraz do śmiechu, to jednak widok pani Kopacz uśmiech może wywoływać. Głównie politowania

W analizie, która zostanie przekazana krajom członkowskim, Komisja Europejska poinformowała, że zakończyła badanie stanu praworządności w Polsce. Uznała, że nie ma już „wyraźnego zagrożenia" dla rządów prawa w naszym kraju w rozumieniu art. 7 traktatu o Unii Europejskiej.

Zdaniem Komisji Europejskiej „Polska podjęła szereg legislacyjnych i nielegislacyjnych działań", by odpowiedzieć na wątpliwości związane z niezawisłością sądownictwa. W dokumencie KE podkreśliła, że zamierza wycofać wniosek w sprawie procedury przeciwko Polsce z Rady UE, który skierowała tam w 2017 r. Będzie to oznaczać zakończenie procedury z art. 7. Formalnie ma to nastąpić nie wcześniej niż przed posiedzeniem ministrów ds. europejskich 21 maja.

O tę decyzję KE została zapytana w Polsat News była premier Ewa Kopacz, która ponownie ubiega się o mandat europosła. Na pytanie prowadzącego Marcina Fijołka o to, co się zmieniło w prawie od 15 października, skoro żadna ustawa dotycząca wymiaru sprawiedliwości nie została przyjęta, a te przygotowane nie zostały podpisane przez prezydenta, Kopacz odparła, że jest to „zażalenie w tej chwili na pewno nie do tych, którzy dziś rządzą". „Oczywiście, że wartości Unii Europejskiej nie są przypisane osobom. Oczywiście, że jeśli są łamane, nieprzestrzegane, to Komisja Europejska czy Parlament Europejski nie uciekają od nazwania tego po imieniu czy nazwisku. Ale w tej konkretnej sprawie chodziło o dobro Polek i Polaków. O praworządność i demokrację, czyli o prawa, które są dla nas bardzo ważne. Przynajmniej dla tej części, która dostrzega różnicę, jak żyło się w jeszcze sześć miesięcy temu w Polsce, a jak żyje się teraz" – stwierdziła europosłanka PO. I dodała: „Prosta sprawa. Ja widzę więcej uśmiechniętych ludzi na ulicach. Ludzie nie są zastraszeni. Otwarcie mówią [...]. Podchodzą do mnie różni ludzie: i ci, którzy kiedyś głosowali na PiS, i ci, którzy są zwolennikami PiS, ale przede wszystkim ci, którzy mówią: »Cieszymy się, że te zmiany następują«".

Na uwagę prowadzącego, że nie o uśmiech, a o praworządność miało chodzić, Kopacz odpowiedziała: „A czy nieszczęśliwy człowiek się uśmiecha?".

I od razu w kontekście podwyżek cen żywności, prądu, gazu, wody, a nawet wywozu śmieci czy dramatycznej sytuacji polskich rolników, którzy walczą o przetrwanie, złośliwie przyszło mi do głowy, że Polacy nie tyle cieszą się na widok Ewy Kopacz, ile po prostu podśmiewają się z byłej premier. No bo któż nie pamięta jej głośnej wypowiedzi o dinozaurach?

„Przypomnę strasznie dawne czasy. Wtedy, kiedy jeszcze były dinozaury, a ludzie nie mieli jeszcze żadnych strzelb, nie mieli broni nowoczesnej, która pozwoliłaby im je zabić. Wie pani, co robili? Rzucali kamieniami w tego dinozaura – stwierdziła Kopacz w programie „Fakt Opinie". „Wiadomo, że od jednego rzucenia tym kamieniem na pewno dinozaur nie padł. Ale jeśli przez miesiąc, dwa miesiące rzucali tymi kamieniami, to go na tyle osłabili, że mogli go pokonać" – mówiła była premier, której umknęło, że dinozaury wyginęły, nim na planecie pojawił się człowiek.

Któż nie pamięta niepewnych kroków Ewy Kopacz na berlińskiej ziemi po tym, gdy została szefową rządu? Trudno zapomnieć oficjalną część wizyty świeżo wówczas upieczonej premier, która nie do końca radziła sobie z dyplomatycznymi procedurami, a na właściwą ścieżkę musiała ją naprowadzić niemiecka kanclerz. I to dosłownie. Szefowa polskiego rządu miała problem z odnalezieniem się na przygotowanym na jej przybycie lotnisku. Był szpaler salutujących wojskowych, była orkiestra i tu pojawił się problem. Polska premier wydawała się nie wiedzieć, dokąd iść i w którym momencie powinna przyjąć oddawane przez wojskowych honory skinieniem głowy. Sytuację uratowała Angela Merkel, która naprowadzała Ewę Kopacz na tor przemarszu. Całe wydarzenie zarejestrowały kamery telewizyjne, a nagrania pojawiły się w serwisie YouTube. Moment, w którym Merkel przeciąga Kopacz w stronę czerwonego dywanu i wyjścia z lotniska na zawsze już przykleił się do tej polityk.

I choć Polakom wcale nie jest teraz do śmiechu, to jednak widok pani Kopacz uśmiech może wywoływać. Głównie politowania.

Dorota Łosiewicz

Flota cieni

Rosja

Na początku maja okręty wojenne państw NATO przepędziły tankowce wpływające do Zatoki Lakońskiej na południu Grecji. Statki przewoziły rosyjską ropę naftową eksportowaną przez Moskwę z ominięciem sankcji.

Nielegalny transport rosyjskiej ropy jest coraz poważniejszym wyzwaniem dla Zachodu. W grudniu 2022 r. Unia, kraje grupy G7 oraz Australia ustaliły maksymalną cenę rosyjskiego surowca na poziomie 60 dol. za baryłkę. Zakup ropy powyżej tej kwoty został objęty embargiem. Gdy wprowadzone sankcje obniżyły dochody Moskwy ze sprzedaży ropy o 30 proc., Rosja przekierowała jej eksport na nowe rynki – przede wszystkim do Azji.

Znalezienie nowych odbiorców stanowiło jednak tylko połowę sukcesu. Trzeba było znaleźć jeszcze sposób, w jaki ropa miała trafić do kupujących. Infrastruktury takiej, jak rurociągi nie było, jedynym wyjściem stał się więc transport morski. Poważni armatorzy i duże firmy ubezpieczeniowe odmówiły pomocy w przewozie rosyjskiej ropy, bo mogłoby się to wiązać z naruszeniem embarga. Dlatego Moskwa – idąc w ślady Iranu – zgromadziła własną flotę tankowców. Są to najczęściej wysłużone jednostki zarejestrowane na podstawione firmy (często z Bliskiego Wschodu i Azji) i pływające pod tanimi banderami. W większości te statki nie posiadają żadnego ubezpieczenia, co powoduje rozliczne problemy prawne np. w wypadku katastrofy, wycieku czy kolizji.

Rosyjska flota cieni liczy – jak się ocenia – ok. 200 tankowców, co pozwala Moskwie na obsługę blisko 80 proc. morskiego eksportu ropy. Surowiec najczęściej jest ładowany w terminalu Ust-Ługa nieopodal Petersburga, skąd wyrusza przez Bałtyk i cieśniny duńskie w świat – głównie do Turcji, Indii i Chin. Bywa, że jest przerabiany w tamtejszych rafineriach (głównie w Indiach) i wraca – już jako gotowy produkt naftowy – do Europy. Dzięki temu procederowi Moskwa może nadal czerpać zyski ze sprzedaży ropy i sprzedawać ją powyżej pułapu ustalonego przez Unię.

Problem z nielegalnym eksportem ropy ma nie tylko wymiar gospodarczy. Stare tankowce przepływające stadami przez Bałtyk są poważnym zagrożeniem ekologicznym. Wiele z nich ukrywa się, wyłącza transpondery, a ropa bywa przeładowywana na pełnym morzu na kolejne statki. Niekiedy tankowce są eskortowane przez rosyjskie okręty wojenne. Co więcej, istnieją podejrzenia, że niektóre tankowce są wyposażone w urządzenia szpiegowskie, a ich załogi zajmują się przemytem.

Reakcja zagrożonych państw jest niewystarczająca, ponieważ są one skrępowane przepisami międzynarodowego prawa morskiego. Jednak prawo przestaje mieć znaczenie, jeśli nie można go wyegzekwować od drugiej strony.

Konrad Kołodziejski

Infiltracja po skandynawsku

W wielu filmach kryminalnych lub szpiegowskich pojawia się motyw funkcjonariuszy państwowych werbowanych przez grupy przestępcze za pomocą stosunków seksualnych przez specjalnie podstawione osoby. W niemal wszystkich przypadkach są to opowieści o mężczyznach uwiedzionych przez atrakcyjne agentki.

Szwecja

Niedawno szwedzkie media ujawniły, że do podobnych sytuacji dochodziło także w ich kraju, jednak skandynawskie historie różniły się od filmowych narracji (oraz niekiedy ich autentycznych pierwowzorów) jednym zasadniczym elementem: to mężczyźni uwodzili kobiety, a konkretnie członkowie gangów rekrutowali policjantki, używając swych osobistych wdzięków.

Dziennik „Dagens Nyheter" opisuje historię niejakiej Elin (imię zmienione), studentki akademii policyjnej, która została poderwana przez gangstera o imieniu Jonas (tożsamość zmieniona przez gazetę). Gdy kobieta rozpoczęła pracę w wydziale kryminalnym w jednym z miast w południowej Szwecji, była już zwerbowana przez swojego kochanka. Informowała go o tajnych działaniach służb mundurowych, dzięki czemu przestępcy zawsze byli o krok przed ścigającymi ich policjantami. Członkowie gangu długo pozostawali bezkarni, dokonując napadów, handlując narkotykami i zastraszając świadków, a nawet policjantów. Trwało to przez kilka lat. Po zdemaskowaniu Elin przyznała, że do współpracy z Jonasem nie była zmuszana ani zastraszana, lecz robiła to dobrowolnie, ponieważ była w nim zakochana.

Nie jest to jednak przypadek odosobniony. Skala zjawiska ujawnionego przez szwedzkie media wywołała szok wśród tamtejszej opinii publicznej. Od 2018 r. odnotowano bowiem aż 514 przecieków z policji do świata przestępczego. Według doniesień „Dagens Nyheter" z szeregów policji usunięto z tego powodu co najmniej 30 osób, które stwarzały zagrożenie dla bezpieczeństwa swoich towarzyszy z pracy. Elin i innym byłym funkcjonariuszkom nie grozi jednak zbyt surowa kara. Za zdradę kolegów mogą dostać maksymalnie dwa lata więzienia.

Grzegorz Górny

eprasa.pl 84b1c1dbc7

Wielka Brytania

Czyżby powiew zmian?

Tzw. polityka samoidentyfikacji płciowej i inne podobne wynalazki radykalnej lewicy wyrządzają w Wielkiej Brytanii coraz większe szkody społeczne. Głosy sprzeciwu słychać już nie tylko ze środowisk konserwatywnej prawicy.

Zdaniem prawników z organizacji Sex Matters (Płeć ma Znaczenie) londyński King's College mógł złamać prawo poprzez blokowanie awansów własnym pracownikom naukowym. Jednym z nich jest dr John Armstrong, matematyk finansowy, któremu zaszkodził zarzut, że nie wspierał lansowanej przez uczelnię polityki różnorodności. Dotyczy to zresztą każdego, kto był przekonany o istnieniu wyłącznie dwu płci biologicznych. Uniwersytet stawiał ich w niezręcznej sytuacji, wymuszając udział w „inkluzywnych" i oczywiście „dobrowolnych" zajęciach prowadzonych przez organizację Stonewall. Organizacja ta od dawna infiltruje brytyjskie instytucje publiczne, ocenia je i kataloguje poprzez regularny „pomiar postępów w zakresie integracji osób LGBT w miejscu pracy" oraz prowadząc Indeks Równości w Miejscu Pracy.

Jak tłumaczy Toby Young, kierujący Unią Wolnego Słowa (FSU) walczącą nie tylko o respektowanie wolności badań naukowych, lecz także depolityzację uczelni wyższych, aktywiści celowo i fałszywie interpretują prawo dotyczące równości. „Ustawa o równości nie nakazuje stosowania ideologii tożsamości płciowej lub krytycznej teorii rasy" – podkreśla.

Ideologia, którą posługuje się Stonewall, zderzyła się ostatnio z obszernym raportem naukowym dr Hilary Cass, będącej jednym z najważniejszych autorytetów w dziedzinie pediatrii. Po dokonaniu wnikliwego przeglądu pacjentów kliniki Tavistock zajmującej się zmianą płci u dzieci, dr Cass zarzuciła ideologii transgenderyzmu „chwiejne" podstawy naukowe. W ub.r. brytyjski rząd ograniczył praktykę korekty płci u nastolatków i dzieci przeprowadzoną w tej klinice. Teraz dr Cass wezwała jej lekarzy do zaprzestania stosowania tzw. blokerów dojrzewania, a więc ciężkiej kuracji hormonalnej, która wprowadzała niemal nieodwracalne zmiany w organizmie nastolatków. Stwierdziła również, że osoby poszukujące tam pomocy powinny zostać raczej poddane badaniom psychiatrycznym. A polityka „afirmacji", czyli automatycznego wspierania „woli" dzieci w sprawie autoidentyfikacji płci była „niewłaściwą postawą kliniczną wprowadzoną przez wpływowe grupy aktywistów".

Takie głosy, czego dowodzą wspomniane decyzje brytyjskiego rządu, świadczą o tym, że na Wyspach coś się zmienia. Najbliższe lata pokażą, czy mamy do czynienia z trwałą tendencją.

Maciej Walaszczyk

Partia wojny

Armenia

W Armenii opozycja podjęła kolejną próbę obalenia rządu Nikola Pasziniana. Tym razem mamy jednak do czynienia z nowym zjawiskiem, bo na czele ogłoszonego „marszu gwiaździstego" na Erywań stoją duchowni lokalnej cerkwi prawosławnej.

Protest zaczął się we wsi Kiranc w prowincji Tawusz, gdzie trwają prace nad wytyczeniem granicy między Azerbejdżanem a Armenią. Po przegranej wojnie rząd Pasziniana postawił na normalizację relacji z Baku i wspierającą go Turcją. Premier Armenii uważa, że aby kraj mógł się rozwijać bez przeszkód, konieczna jest rezygnacja z Górskiego Karabachu, który po wojnie w 2023 r. wrócił pod kontrolę Azerów.

Przez 30 lat polityka utrzymania Karabachu oznaczała konflikt Erywania z potężniejszymi sąsiadami i pozostawanie na łasce Rosjan. Teraz Armenia zmienia orientację geostrategiczną, godząc się na utratę części terytoriów, które były w jej posiadaniu, choć w świetle prawa międzynarodowego stanowiły część Azerbejdżanu. Normalizacji stosunków służy trwająca delimitacja granicy między obydwoma państwami i właśnie to nie podoba się mieszkańcom wsi Kiranc, którzy twierdzą, że przebiega ona zbyt blisko ich domostw.

Protest poparł Bagrat Gałstanian, arcybiskup ormiańskiego kościoła prawosławnego, kierujący pracami diecezji Tawusz, który zorganizował „marsz gwiaździsty" na Erywań. Biskup wezwał do obalenia rządu Pasziniana, który – zdaniem duchownego – prowadzi „antynarodową politykę ustępstw" na rzecz Baku. Marsz wsparł też biskup diecezji Szirak, położonej w drugim końcu Armenii, co oznacza, że 9 maja do Erywania wybierały się przynajmniej dwie kolumny sił opozycyjnych. Data jest nieprzypadkowa – to nie tylko uroczyście obchodzony dzień zakończenia II wojny światowej, lecz także rocznica utworzenia ormiańskich Sił Obrony Górskiego Karabachu.

Opozycja ma zamiar, jak się spekuluje, wezwać do mobilizacji narodowej w obliczu zagrożenia ze strony Azerbejdżanu i nadmiernie ustępliwej polityki Pasziniana. Marsz poparły ugrupowania prorosyjskie, które rządziły Armenią do aksamitnej rewolucji w 2018 r., co może prowadzić do przesilenia. Zdaniem politologów prawdopodobieństwo obalenia rządu jest jednak niewielkie, bo konserwatywna cerkiew ormiańska nie jest na tyle popularna, aby zmobilizować tłumy, zwłaszcza w sytuacji, gdy społeczeństwo korzysta z ekonomicznej prosperity.

Marek Budzisz

Fot. Jo Jones/Shutterstock.com, Shutterstock x3

34b1c1dbc7

Spotkajmy się 28 sierpnia

Samuel Pereira

Polską politykę w ostatnich latach zdominował podział PiS – anty-PiS. Na naszych oczach powstaje nowa linia, bardzo konkretna i ważna dla Polski. To linia pro-CPK – anty-CPK.

Tak się składa, że w tej pierwszej grupie można znaleźć prawie wszystkich oprócz polityków obecnie rządzącej koalicji. Powodów jest kilka, ale główną przyczynę stanowi zależność partii satelickich od lidera głównej partii rządzącej, czyli Platformy Obywatelskiej. Dlaczego przewodniczący PO, a zarazem premier, faktycznie blokuje budowę CPK, wymyślając sam albo poprzez swoich przedstawicieli kolejne preteksty, żeby ją zatrzymać? Opinii jest wiele – jedni uważają, że to polityczny błąd, utrata słuchu, a inni, w tym ja, że to świadoma polityka realizowania niemieckich interesów, a przynajmniej nieszkodzenia im.

Niezależnie od tych motywacji Donalda Tuska widzimy, jak dużym poparciem cieszy się CPK i jak coraz bardziej staje się on symbolem, przez co popieranie jego budowy nie oznacza jedynie poglądu na kwestię lotniska i sieci komunikacyjnej, która doń prowadzi, ale konkretne, prorozwojowe podejście do polskich spraw i brak kompleksów sprowadzających się do stwierdzeń „nie da się", „a po co?", „nie idźmy w gigantomanię" itp. Tej energii nie można stracić, bo duża jej część drzemie w młodych ludziach, których miłość do ojczyzny, przywiązanie do jej rozwoju musi być podtrzymana dla dobra naszego kraju i już.

Popierający CPK to zwolennicy Konfederacji, PSL, Razem, Lewicy, Polski 2050, PiS, a nawet pewnie i część wyborców PO oraz oczywiście ci, którzy na nikogo nie głosują lub nie popierają. Wiadomo, że proporcje są różne, ale jest faktem, że w tej sprawie naprawdę łączą się ludzie o różnym spojrzeniu na świat. A gdyby tak się spotkać, np. 28 sierpnia, symbolicznie, bo w Święto Lotnictwa Polskiego, i razem, ponadpartyjnie, wykrzyczeć nasze „Tak dla CPK"? Nigdy nie organizowałem manifestacji, ale podrzucam pomysł tym, którzy się tym zajmują. Policzmy się, uśmiechnijmy do siebie i do Polski, może coś dobrego z tego wyjdzie. Gdy o tym myślę, widzę same zalety i żadnych wad.

Czerń ma wiele odcieni

Z aktorem Mariuszem Jakusem rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Fot. TVP

Czarny charakter pociąga aktora w każdym kostiumie?

Mariusz Jakus: Staram się przede wszystkim grać człowieka, a nie ogrywać kostium, ale oczywiście łatwiej wejść w rolę w dobrze dopasowanym stroju. Nie powiem też nic odkrywczego: ciekawiej buduje się bohatera ze skazą, bo można w nim znaleźć więcej barw. A i sama czerń ma wiele odcieni. Sprawą aktora jest, jak się odnajdzie w tych odcieniach.

Kim są pana najnowsi serialowi bohaterowie?

W „Matyldzie" gram zarządcę majątku, zausznika i prawą rękę Rubina, najbardziej mrocznego charakteru tej historii, więc i Żabiński nie jest figurą krystaliczną. Z kolei Lech z „Korony królów. Jagiellonowie" jest przedstawiany jako król krakowskich złodziei i żebraków. To dla mnie bardzo ciekawa postać, także dlatego, że w rolę wpisano sporo akcentów komediowych i quasi-miłosnych.

Do przeszłości zajrzał pan również na planie filmu „Kos".

Uwielbiam ten film. Jak na naszą kinematografię to najwyższa półka, wybitne kino i fantastyczna praca z reżyserem Pawłem Maśloną oraz kolegami, w tym moim przyjacielem Jackiem Braciakiem.

Gdzie jeszcze możemy pana oglądać?

Choćby w zrealizowanym w ramach cyklu Kobra spektaklu „Powiem wam, jak zginął" wg Joe Alexa, czyli Macieja Słomczyńskiego, w reż. Marka Bukowskiego [premiera w Teatrze TV 13 maja o godz. 20.30 – przyp. red.]. I w filmie Mitji Okorna pt. „Bokser" (z Erykiem Kulmem w roli tytułowej), gdzie zagrałem byłego pięściarza, mistrza olimpijskiego, inspirowanego postacią Jerzego Kuleja.

eprasa.pl 84b1c1dbc7

BRONISŁAW WILDSTEIN

Jak i dlaczego być konserwatystą

„1. Ludzie przychodzą na świat w rodzinach, plemionach i narodach, z którymi zespoleni są więziami wzajemnej lojalności.
2. Jednostki, rodziny, plemiona i narody rywalizują o szacunek, znaczenie i wpływy, dopóki zagrożenie lub wspólny cel nie przypomni im o wzajemnej lojalności, która ich łączy.
3. Rodziny, plemiona i narody mają hierarchiczną strukturę, a ich członkowie posiadają znaczenie i wpływy uzależnione od ich pozycji w hierarchii.
4. Język, religia, prawo oraz formy rządów i działalności gospodarczej są tradycyjnymi instytucjami, rozwijanymi przez rodziny, plemiona i narody, które dążą do zwiększenia własnego dobrobytu materialnego, integralności wewnętrznej i dziedzictwa kulturowego oraz do przekazania tych instytucji przyszłym pokoleniom.
5. Zobowiązania polityczne stanowią konsekwencję przynależności do rodzin, plemion i narodów.
6. Założenia te wywodzą się z doświadczenia i w świetle doświadczenia mogą być kwestionowane i ulepszane".

Ten konserwatywny dekalog stanowi zaprzeczenie obowiązującej dziś na Zachodzie doktryny. Zgodnie z nią jednostka winna emancypować się z tradycyjnych wspólnot i w wyzwoleniu takim odnajdywać godność oraz wolność. Tyle że praktyka, a więc doświadczenie, wskazuje, że takich właśnie jednostek nie ma, gdyż człowiek jest bytem wspólnotowym. Uwolnienie go z tradycyjnych struktur, które określały jego miejsce w świecie, czyni go samotnym i bezbronnym wobec jego potęg. Wolność, do której odwołuje się ideologia emancypacji, staje się zaprzeczeniem jej realnej, ufundowanej w kulturze formy, a godności człowieka liberalna idea nie ma na czym oprzeć.

Cytat wstępny pochodzi z wydanej właśnie w Polsce książki myśliciela amerykańskiego Yorama Hazony'ego „Konserwatyzm na nowo odkrywany". Jego druga po „Pochwale państwa narodowego" (omawiałem ją w tym samym miejscu kilka miesięcy temu) przetłumaczona na polski pozycja utwierdza ocenę autora jako jednego z ważniejszych współczesnych myślicieli politycznych. To niezwykle klarowna i syntetyczna apologia konserwatyzmu i uzasadnienie potrzeby jego odrodzenia jako niezbędnego warunku przetrwania ludzkiej cywilizacji.

Hazony broni konserwatyzmu w anglo-amerykańskiej wersji, odwołując się przy tym do jego biblijnego rodowodu, a więc również tradycji żydowskiej. Wyjaśnia przy tym, że wprawdzie jako Żyd uważa tę ostatnią za najpełniejsze wcielenie relacji człowieka z Bogiem, ale jako konserwatysta rozumie, że każdy naród poprzez swoją historię kreuje niekiedy bardzo różne modele porządku społecznego, a więc i relacji z wymiarem nadprzyrodzonym. Nie oznacza to, że nie powinniśmy ich hierarchizować, tak jak konserwatyzm nie oznacza – jak twierdzą jego przeciwnicy – bezkrytycznej akceptacji *status quo* oraz blokady zmian i ewolucji. Wprawdzie apeluje ogólnie o szacunek wobec tego, co istnieje, ale nie znaczy to aprobaty wszystkiego, a jego rzecznicy dokonują osądu konkretnych rozwiązań politycznych i cywilizacyjnych oraz zestawiają je pod kątem tego, jak służą one ludziom i do jakich konsekwencji prowadzą.

Konserwatyzm musi odwoływać się do przerastającego człowieka wymiaru. „W starożytnym świecie debaty na temat bogów nie dotyczyły przede wszystkim pytania, czy ten lub inny bóg istnieje. Koncentrowały się bowiem na czymś, co można nazwać normatywnym aspektem boskości: czy jest coś, co bóg nakazuje". Stąd tak wielkim przełomem było pojawienie się monoteizmu. Pociągał on za sobą uznanie, że trwa „jeden standard prawa niezależny od wszelkich lokalnych standardów", a więc taki, który staje się miarą wszystkiego.

Człowiek jednak nie jest Bogiem, a więc ma dostęp do Jego prawdy tylko do pewnego stopnia. „Wysiłki każdego narodu zmierzające do wdrożenia prawa naturalnego są zgodne z jego własnym, unikalnym doświadczeniem i warunkami".

Anglo-amerykańska tradycja najpełniej wyciągnęła wnioski z tego stanu rzeczy. Jej klasycy już w XV w. pisali o szczególnym ustroju angielskim (konstytucji), który szczególnie służy wolności i rozwojowi człowieka. System ten dojrzewał i umacniał się w oporze przeciw – jak przyjmuje Hazony – imperialnym roszczeniom Watykanu, a potem przeciw z jednej strony absolutystycznym, sprzecznym z tradycją angielską ambicjom Stuartów, a z drugiej przeciw fanatycznemu uniwersalizmowi purytanów, którzy uznawali, że to poprzez nich Bóg realizuje ziemski ład. To za ich kontynuatorów uznać można oświeceniowych racjonalistów projektujących jedyny ich zdaniem optymalny model, który obowiązywać winien wszędzie na ziemi. Ich następcami są zarówno marksiści, jak i współcześni liberałowie, którzy zdominowali kulturę i politykę Zachodu. Ich wysiłki, aby narzucić całemu światu jednolitą cywilizację oraz model polityczny prowadzą do wielu klęsk.

Siłą rzeczy wskazuję tylko kilka wątków z książki, która pogłębia nasze rozumienie świata również w jego najnowszej odsłonie.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 84b1c1dbc7

www.magdalenakobierecka.com

Walizka Magdaleny Kobiereckiej

malarki, właścicielki galerii, bielanianki

Można jechać tysiące kilometrów, żeby odpocząć. Ja odpoczywam na moich warszawskich Bielanach, gdzie można żyć w dobrym, własnym tempie. Bez pośpiechu, bez auta, bez stania w korkach. Tutaj można znaleźć pracę, rozrywkę, przyjaciół, relaks, naturę...dużo natury. Lasy dookoła! To kocham najbardziej. A moje wyprawy w ostatnim czasie to podróże w głąb swojej osobowości, swojej twórczości, tego o czym opowiadam, malując. To wszystko w przestrzeni bielańskiej galerii. W tym miejscu, które jest geograficznie stabilne, odbywa się wiele podróży, nie tylko moich. Spontanicznie lub na zorganizowanych warsztatach spotykamy się tutaj ze znajomymi, z przyjaciółmi z różnych kręgów, ale o podobnej wrażliwości i spojrzeniu na otaczającą nas rzeczywistość. Zwiedzający, którzy wiedzą, w jakich jestem godzinach, przychodzą na herbatę porozmawiać o sztuce i życiu. Z kolei na warsztatach można się czegoś nauczyć ze mną lub z zaproszonym instruktorem. Oprócz zajęć malarskich zainteresowani mogą wziąć udział w spotkaniach z muzyką, poznać technikę świadomego śnienia (interpretacji tych snów) czy relaksacyjnego masażu.

PALETA

Artefakt. Nie zawsze używam typowej palety, jaką zna większość. Przy malarstwie wielkoformatowym potrzebuję czegoś większego i używam niekonwencjonalnych przedmiotów do tego, by stworzyć kolor, tym bardziej że do każdego obrazu tworzę najpierw specjalny zestaw barw.

SYRENKA

Na szczęście świat zewnętrzny czasami widzi nas, artystów. Tutaj zostałam zauważona przez radnych Bielan i Warszawy, a niezwykły zbieg okoliczności polegał na tym, że nagrodę m.st. Warszawy dostałam w miesiącu, w którym podpisywałam umowę na lokal. Żeby tego było mało, wartość nagrody pokryła koszty przystosowania lokalu do funkcji galerii.

Fot. Michał Korsun, Magdalena Kobierecka, Shutterstock

eprasa.pl 84b1c1dbc7

BLUZA DO PRACY

Jako kilkulatka chodziłam na zajęcia malarskie do domu kultury na Bielanach. Podczas pewnych zajęć zalałam sobie spodnie czerwoną farbą. Zapłakana zapytałam panią, jak ja wrócę do domu taka brudna, na co ona odpowiedziała: „Farba to nie brud. To kolor!".

TABLICZKA

„Jestem tuż obok". Jeśli nie ma mnie w galerii, to znaczy, że jestem 20 m dalej w pracowni, gdzie edukuję artystów w każdym wieku: dzieci, młodzież, dorosłych. Tam powstała również większość obrazów z kolekcji na szkle i na płótnie.

SZPACHLE

Technika, z którą zadebiutowałam na rynku, to akryl na szkle z elementami sgraffito. O ile malowanie na szkle nie jest niczym nowym, to autorskość polega na tym, że moje obrazy powstają w wyniku pracy z narzędziami w mokrych warstwach farb. Fakt, że nie ma możliwości poprawek, a finalny efekt pojawia się na odwrocie tafli, tylko utrudnia proces twórczy.

PUF

Lubię, a czasami wręcz potrzebuję usiąść i pozwolić moim myślom przepływać swobodnie bez tego motoru – pracy, akcji, aktywności. To są takie chwile, gdy z kontemplacji miejsca tworzą się nowe pomysły, kompozycje i rozwiązania problemów życiowych.

PĘDZLE

Dla kontrastu i odpoczynku od twardych i ostrych narzędzi czwarty rok jestem w trakcie tworzenia kolekcji „Zjawiska". Są to obrazy w technice olejnej. Odpoczywam tu w miękkości, łagodnym rozprowadzaniu kolorów. Inspiracje do tej serii są zupełnie inne, znacznie głębsze. To opis mojej rzeczywistości niejawnej.

PŁYTY

Muzyka, której słucham, jest starannie dobrana, tak by nie bombardowała moich zmysłów jako dodatkowy bodziec z otaczającego życia. Jej dobrych i korzystnych dźwięków potrzebuję do ukojenia i wyciszenia.

REKSIU

Podobno nasi czworonożni i futrzaści pupile – psy i koty – to nauczyciele bezwarunkowej miłości.

TERMOMETR

Lubię ciepło. W Polsce jest mi ciepło przez 2 miesiące, a przez 10 miesięcy zimno. Zawsze powtarzam, że anioł, który mnie zrzucił na Ziemię, miał problem z nawigacją. Powinnam żyć w miejscu, gdzie proporcje ciepłych i zimnych miesięcy są odwrotne niż w moim kraju. Przez znajomych jestem odbierana jako osoba ciepła. Ciepło to też gama kolorystyczna, którą najchętniej się posługuję.

KWIATEK

Kontakt z naturą, przebywanie wśród zieleni jest czymś absolutnie potrzebnym dla utrzymania równowagi, dobrostanu. Z natury czerpię siły do samoleczenia, inspiracje do twórczości. Dzięki niej żyję pełnią życia.

Wysłuchał i zapisał
Michał Korsun

eprasa.pl 84b1c1dbc7

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Jak tu można nie być patriotą?

Jan Pietrzak

Nie da się ukryć, że przy okazji występów często słyszę podziękowania za emanujący z mojej twórczości patriotyzm. W ten sposób niedawno ktoś mi podziękował przy pomniku Armii Krajowej opodal Huszlewa i Wygody. Było to spotkanie z okazji Konstytucji 3 maja, a także upamiętniające 80. rocznicę bitwy, w której żołnierze 34. pułku piechoty Armii Krajowej pod dowództwem mjr. Stefana Wyrzykowskiego „Zenona" zlikwidowali niemiecką ekipę radiolokacyjną oraz wspierające ją formacje SS i żandarmerii.

Czuję się skrępowany, gdy w takiej sytuacji przypisuje mi się szczególnie patriotyczną twórczość. Kiedy się stoi obok prostego kamiennego pomnika, u zbiegu leśnych dróg, kiedy uczestniczy się w polowej mszy św., nie ma większych i mniejszych patriotów. Wszyscy jesteśmy Polakami jednej miary, łącznie z dziećmi, które będą tańczyć poloneza na trawie, przejętymi organizatorami uroczystości i paniami, które poczęstują nas grochówką po spotkaniu. Jesteśmy świadomi patriotyzmu, któremu składamy hołd. Bez heroizmu poprzednich pokoleń nie byłoby nas tutaj. Nie byłoby Polski. Jak można nie być patriotą?

Krzysztof Klenczon dawno temu śpiewał: „Tylko w polu biały krzyż / Nie pamięta już / Kto pod nim śpi". Kiedy odzyskiwaliśmy niepodległość, świadectwem narodowej godności stało się przypomnienie o „zapomnianych" krzyżach, mogiłach, łączkach, dołach śmierci. Cudzysłów stosuję, ponieważ te krzyże nie były zapomniane, były zakazane. W 1981 r. napisałem pieśń „Nielegalne kwiaty, zakazany krzyż" dotyczącą innego przypadku, lecz istota problemu jest ta sama. Oczywiście nie usłyszycie tego utworu w żadnej telewizji i radiostacji. Moje zakazane piosenki są dokładnie wygumkowane.

Nasi wrogowie ze Wschodu i Zachodu nie życzą sobie, by Polacy mieli pamięć. Dlatego chcą zamknąć IPN. Dlatego w Warszawie nie ma pomnika Bitwy Warszawskiej. Jak się okazało, Warszawą zarządza facet, który nie dość, że lotnisko ma w Berlinie, również stolicę ma w Berlinie, a Polskę ma w d...żym poważaniu.

Musimy pilnować polskości. Zbliżają się wybory. Jeżeli je przegramy, nigdy już nie zaśpiewamy wspólnie „Żeby Polska była Polską"...

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Gierek rulez

Dominik Zdort

Edward Gierek, komunistyczny aparatczyk, którego największymi walorami była potężna postura i znajomość języka obcego, młode lata spędził we Francji, Alzacji i Belgii, więc po prowincjalnym Władysławie Gomułce jawił się niemalże jako człowiek Zachodu. Kupował licencje od włoskiego Fiata, zadłużał się, budując nad Wisłą wielkie fabryki, korzystając z zachodnich technologii. Szynka „jak za Gierka" jest nadal sprzedawana w niektórych sklepach, choć czym dłużej towarzysz Edward działał, tym szynkę było trudniej dostać.

Gdyby w tamtych czasach pojawiła się idea legalizacji języka śląskiego, a komuniści – całkiem słusznie – uznaliby, że to służy ich celom niszczenia polskości, towarzysz Edward najpewniej by ją wsparł. Tak jak uczynił węgiel polskim złotem, a jego ludzie wykreowali śląskie i zagłębiowskie kluby piłkarskie na najważniejsze ośrodki sportowe w Polsce.

Gierek umarł, ślązakowskie lobby żyje i rozwija się. Ich dążenie do separacji od macierzy musi szokować, szczególnie w sytuacji, gdy ten region od dawna nie jest zasiedlony wyłącznie przez autochtonów. Po co dzisiejszym Polakom ze Śląska uznanie, że ich tzw. godka jest nie dialektem języka polskiego, ale całkiem oddzielnym językiem polskim (tym bardziej że już mało kto jej używa)?

Tak między nami: wiadomo, po co. Po to, żeby wykreować sztuczny byt, którym miałby być „naród śląski". Grupka śląskich działaczy, nie nazwę ich zaprzańcami, choć pewnie na to zasługują, tworząc wydumane byty społeczne, zabiega o stworzenie lobby, która da im paliwo do politycznych karier, miejsc w parlamencie, niekoniecznie tylko polskim.

To, że jakieś marginalne środowisko ma rozbuchane polityczne ambicje, nie szokuje, nie oburza. Każdy ma prawo. Poseł Braun może za pomocą gaśnicy atakować chanukowe świece, działaczka Lempart może pokazywać poziom swojej kultury, klnąc podczas występów w telewizji.

Gorzej jest, kiedy takie skrajne ugrupowania uzyskują wsparcie ugrupowań mainstreamowych. A dziś ślązakowcy uzyskali poparcie formacji rządzącej, zdobyli głosy koalicji rządzącej. Po latach politycznego i społecznego powszechnego oporu środowisk broniących polskości Śląska otwarto wrota tym, którzy uważają, że ten region tak całkiem polski nie jest. Powiedzmy wprost: ktoś tu zdradza ojczyznę.

Autor jest senior research fellow w projekcie Ordo Iuris Cywilizacja

eprasa.pl 84b1c1dbc7

Groźny scenariusz

Marta Kaczyńska-Zielińska

Planowana reforma traktatów konstytuujących Unię Europejską zmierza do przekształcenia Wspólnoty w imperium pochłaniające narody i ich państwa. Dlaczego imperium? Odejście od zasady podejmowania decyzji jednomyślnie i przejście do zasady większości głosów w układzie sił, w którym to miażdżącą przewagę mają Niemcy i Francja, a także przeniesienie wielu kompetencji dotychczas pozostających w zakresie suwerenności państw na rzecz organów UE sprawi, że władza w Unii będzie skupiona w rękach Niemiec, Francji oraz europejskich biurokratów niewyłanianych w drodze demokratycznych procedur. Warto zwrócić uwagę, że Niemcy i Francja uznają prymat swoich konstytucji nad prawem europejskim, a przez lata Komisja Europejska odmawiała takiego samego prawa Polsce. Ogłoszona w trakcie ostatniej wizyty Ursuli von der Lyen w sensie prawnej skuteczności czysto polityczna deklaracja o uznaniu przez rząd RP wyższości prawa unijnego nad Konstytucją RP doskonale uzmysławia, że wejście w życie wspomnianej reformy UE jest dla Polaków równoznaczne z utratą suwerenności i możliwości samostanowienia, a w konsekwencji sprawi, że staniemy się podporządkowani decyzjom zapadającym w Brukseli, Berlinie i Paryżu.

Historia, a zwłaszcza dorobek kulturowy i ekonomiczny Starego Kontynentu, dowodzi zaś jednoznacznie, że to porządek niepodległych państw narodowych stwarza największe szanse zbiorowego samostanowienia i umożliwia istnienie państw dysponujących jedynymi znanymi cywilizacji podstawami dla rozwoju wolnych instytucji oraz swobód obywatelskich. Każde państwo imperialne staje się despotyczne. W państwie imperialnym poszczególne narodowości nie są w stanie wytworzyć między sobą więzów wzajemnej lojalności. Nie mając wspólnego kodu kulturowego, nie postrzegają siebie jako członków jednej, wspólnej zbiorowości. Było to widoczne zarówno w Austro-Węgrzech, jak i Związku Radzieckim.

Nasuwa się pytanie, czy w mającym powstać imperium europejskim można określić łączące wszystkie narody dobro wspólne? Czym by miało być, skoro jest oczywiste, że nie istnieje jednolity europejski naród ani jednolita opinia publiczna; jest oczywiste, iż poszczególne europejskie narody różnią się od siebie i choćby z powodu różnych położeń geograficznych mają różniące się od siebie interesy i swoje indywidualne racje stanu, których nie da się wyeliminować, nie demolując tym samym ich godności i praw człowieka?

Trwałymi i skutecznymi instytucjami zaś są te, które są oparte przede wszystkim na więzach wzajemnej lojalności. Niszczona przez ideologie gender rodzina stanowi najmocniejszą i najbardziej żywotną ze wszystkich instytucji znanych w dziejach polityki. Prezydent Lech Kaczyński wskazywał, że „przez wieki główne źródło mocy Rzeczypospolitej stanowił nie tyle oręż czy pieniądz, ile siła moralna rodów tworzących tę wielką wspólnotę, jaką jest naród obywatelski. Zwłaszcza w okresie zaborów oraz okupacji naszego kraju przez Niemcy i Związek Sowiecki podczas II wojny światowej, a także później – za rządów komunistycznych – polskie domy stanowiły ostoję narodowej tożsamości i wiary w odrodzenie suwerennej ojczyzny. Również dzisiaj to z domów rodzinnych wynoszą Polacy poczucie solidarności z bliźnimi i gotowość do pracy na rzecz dobra wspólnego". Naród stanowi naturalny punkt odniesienia kształtujący poczucie tożsamości jego poszczególnych członków oraz społeczność, z którą odczuwa się więź, bliskość wynikającą z podobieństwa mentalności i duchowości ukształtowanych przez kulturę, religię i historię. Naturalnym odruchem jest poczucie wspólnoty i lojalności w pierwszej kolejności względem swoich pobratymców.

Europejski moloch, którego usilnie próbuje powołać do życia aktualny mainstream, jest tworem skazanym na porażkę z powodu oczywistego braku wewnętrznej spójności. Europejskie wielonarodowe państwo będzie strukturą o słabych filarach, pełną wewnętrznych sprzeczności, z biedniejącymi społeczeństwami drenowanymi przez Zielony Ład i atakowanymi przez kolejne fale nieasymilujących się migrantów. Czy to właściwy scenariusz w obliczu groźby eskalacji wojny?

REKLAMA

19/0424/F

eprasa.pl 84b1c1dbc7

TRENDY I OWĘDY

Nerwy wojny

Ryszard Makowski

Machiavelli wyróżniał cztery nerwy wojny – „Ludzie, oręż, pieniądze i chleb". Uważał, że jak się ma ludzi i oręż, to pieniądze oraz chleb można zdobyć. Trudno to podważać, ale od XVI w. sporo się zmieniło. Ważnym nerwem wojny stała się informacja, a dokładniej dezinformacja.

Weźmy naszą sytuację. W coraz bardziej zdestabilizowanym świecie, gdzie trwa wojna tuż za naszą granicą, a na Bliskim Wschodzie Izrael dopuszcza się zbrodni na Palestyńczykach i prowokuje Iran, co może w krótkim czasie doprowadzić do konfliktu pełnoskalowego, my mamy zainstalowany rząd gwarantujący „uśmiechnięte Niemcy". Ponieważ PiS nie miało odwagi zrobić porządku z narzuconymi mediami, te media zrobiły porządek z PiS. I nadal szkodzą pełną parą.

Tak się poskładało, pewnie samo i przypadkiem, że najbardziej opiniotwórcze media działające na naszym rynku reprezentują kapitał niemiecki, żydowski albo „luksemburski". W internecie najbardziej powszechne przeglądarki preferują niusy lansujące „nowoczesny" światopogląd. Co więcej, jeśli na YouTube pojawią się treści kontestujące jedynie słuszny przekaz, ich autorzy mają wyłączaną monetyzację albo to konto jest usuwane.

Polska awansowała o 10 pozycji w Światowym Indeksie Wolności Prasy: „Zwycięstwo opozycji pod koniec 2023 roku stwarza szansę na poprawę prawa do informacji". Proszę nie przecierać oczu, to jest raport Reporterów bez Granic. Ta poprawa to pewnie TVP i PR w stanie likwidacji.

Machiavelli Machiavellim, ale będąc pod ostrzałem współczesnych kołchoźników w czasach grożących wojną, trzeba mieć naprawdę mocne nerwy.

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB MACIEJEWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, MAŁGORZATA WOŁCZYK, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

FRATRIA grupa medialna

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

*REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

PBC POLSKIE BADANIA CZYTELNICTWA

BADANIE CONTROLOWANE

FOT. NA OKŁADCE: A. WIKTOR, T. JASTRZEBOWSKI/REPORTER x2, EPA/PAP, SHUTTERSTOCK x5

Autopromocja

eprasa.pl 84b1c1dbc7

GDZIE KUPIĆ TYGODNIK SIECI?

Drodzy Czytelnicy,

dbamy o to, żebyście mogli nas kupić w całej Polsce, szczególnie teraz, gdy z dystrybucji prasy wycofał się Ruch SA. Jeśli w Waszym punkcie sprzedaży brakuje prasy, znajdźcie nowe miejsce, gdzie tygodnik Sieci będzie na Was czekać w każdy poniedziałek.

- Sklepy:
  LIDL, BIEDRONKA, AUCHAN, CARREFOUR, STOKROTKA, DINO, INTERMARCHE, KAUFLAND, DELIKATESY CENTRUM, TOPAZ
- Salony prasowe i punkty sprzedaży prasy:
  EMPIK, INMEDIO, RELAY, 1-MINUTE, KOLPORTER, DISCOVER, MEDIA PRESS, MEDIA STAR, ŚWIAT PRASY
- Stacje benzynowe: **BP, ORLEN*,** placówki **POCZTY POLSKIEJ** oraz inne mniejsze punkty sprzedaży

*uwaga! możliwe chwilowe problemy z kupnem prasy

PRENUMERATA PAPIEROWA

1. WYBIERZ SWOJĄ PRENUMERATĘ

	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	109 zł	189 zł	349 zł

2. ZAMÓW I OPŁAĆ

- Zamów prenumeratę przez stronę **www.sieciprawdy.pl/prenumerata** i opłać przelewem ze swojego konta
- **Jeśli nie korzystasz z internetu**, opłać prenumeratę na poczcie, podając dane do wpłaty

Numer konta:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

Odbiorca: Fratria sp. z o.o.,
ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia

Tytuł: pełne dane adresowe do wysyłki prenumeraty

Informacje o prenumeracie:
tel. 22 616 36 00 (pon-pt w godz. 14-16)

PRENUMERATA CYFROWA

1. WYBIERZ SWOJĄ PRENUMERATĘ

	1 miesiąc	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	od 5,90 zł*	99,90 zł	119,90 zł

2. ZAMÓW I OPŁAĆ

- Zamów prenumeratę przez stronę **siec.wpolityce.pl/oferta** i opłać przelewem ze swojego konta

*cena za pierwszy miesiąc, następnie 12,90 zł za każdy kolejny i możesz zrezygnować, kiedy chcesz

ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

eprasa.pl 84b1c1dbc7

Tajna misja szpiega Łukaszenki

Tomasz Szmydt, czyli polski sędzia pracujący dla białoruskiego wywiadu, przez lata działał na zlecenie swoich rzeczywistych mocodawców. Jedną z jego najważniejszych misji było storpedowanie reformy sądownictwa i skompromitowanie jej autorów

WOJCIECH BIEDROŃ

Ta operacja częściowo się powiodła, ale nie zakończyła sprawy. Szmydt zbierał cenne informacje wywiadowcze i skutecznie skłócał reformatorską frakcję w środowisku sędziowskim.

POD „OPIEKĄ"

Znana warszawska restauracja. Sędzia Tomasz Szmydt biesiaduje ze znanym warszawskim sędzią. Ewidentnie pró-

eprasa.pl 84b1c1dbc7

Fot. twitter Belsat

buje go upić, dopytuje o środowiskowe sprawy, animozje, sporne kwestie. To jego popisowe zagranie. Skracanie dystansu, zapraszanie na suto zakrapiane imprezy, wyciąganie informacji od podchmielonych rozmówców. Tym razem jednak alkohol działa jednak głównie na Szmydta. Po kilku „głębszych" jest już kompletnie pijany. Nagle w restauracji zjawia się piękna Ukrainka, kobieta na poziomie, młodsza od Szmydta, majętna. Szybko transportuje swojego nietrzeźwego znajomego do „bezpiecznego" mieszkania, które mogło być jednocześnie lokalem operacyjnym obcych służb.

SZYBKA KARIERA

Kobiety zawsze miały ogromny wpływ na Szmydta, jego wybory i kierunki. Pierwsza żona, prawniczka, wprowadziła go do środowiska sędziowskiego. On, biedny chłopak z okolic Białegostoku, nie miał większych szans na mocne zaistnienie w tym zawodzie. W 2001 r. zaczyna w sądach na Mazowszu, ale bardzo szybko awansuje. W ciągu zaledwie pięciu lat z Sądu Rejonowego w Ciechanowie trafia do Sądu Okręgowego w Płocku. Zostaje tam wizytatorem. W 2012 r. jest już sędzią prestiżowego Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego w Warszawie.

Tu pojawia się kolejna kobieta w życiu sędziego Szmydta. Irena Kamińska to wszechwładna niegdyś była prezes skrajnie upolitycznionego stowarzyszenia „Themis", sędzia Naczelnego Sądu Administracyjnego. Zasłynęła słynnym stwierdzeniem o „nadzwyczajnej kaście sędziowskiej". Kariera Szmydta nabiera tempa. W oficjalnych dokumentach stowarzyszenia pojawia się jego nazwisko. Jest w grupie sędziów z „Themis", którzy w 2012 r. spotykają się oficjalnie z ówczesnym szefem resortu sprawiedliwości – był nim wtedy Jarosław Gowin. Szmydt trafia do Ministerstwa Sprawiedliwości. Deleguje go tam prezes Naczelnego Sądu Administracyjnego, czyli osoba w żaden sposób niezwiązana ze Zjednoczoną Prawicą. Szmydt ma wesprzeć komisję weryfikacyjną, która gromi warszawskie przekręty reprywatyzacyjne. Tu po raz pierwszy powinęła mu się noga.

„W 2017 r. doprowadziłem do tego, że po kilku miesiącach pan Szmydt, jako osoba w mojej ocenie niegodna zaufania, przestał zajmować się obsługą prac komisji ds. reprywatyzacji. Niestety później był delegowany jako sędzia w inne miejsca, na co nie miałem wpływu, ale co niepomiernie mnie dziwiło" – napisał prof. Kamil Zaradkiewicz, który był najważniejszą (po członkach) osobą w komisji.

Dlaczego Szmydt stracił tę posadę? „Więcej czasu spędzał na pogaduszkach niż przy biurku. Papierosek, udawanie pracy, on sam się chyba tym męczył. Nie nadawał się do tej pracy. Nie był dość dobry" – mówi nam osoba znająca Szmydta z czasów pracy w komisji weryfikacyjnej.

Potem, w 2018 r., Szmydt trafia do Krajowej Rady Sądownictwa. Zostaje dyrektorem. Słyszymy, że bardziej interesowały go kontakty towarzyskie niż praca. Z rady pozbywa się go nowy przewodniczący Leszek Mazur. Przygoda Szmydta w KRS trwa niecały rok.

MISJA HEJTERSKA

W sierpniu 2019 r. wybucha tzw. afera hejterska. Ówczesna żona Tomasza Szmydta Emilia przekazuje mediom zmanipulowane i niewiarygodne treści rozmów sędziów, które prowadzili w jednym z popularnych komunikatorów, a to doprowadza do potężnego tąpnięcia w resorcie. Fotel wiceministra traci sędzia Łukasz Piebiak, ale to nie koniec trzęsienia ziemi. Ta sprawa *de facto* rozbiła dalsze próby reformowania sądownictwa. Z resortu odeszli doświadczeni sędziowie, którzy chcieli, by „kasta" przestała dusić system sądowniczy, który od upadku PRL niewiele się zmienił. Od wybuchu afery sanacja sądownictwa zamiera. Środowisko reformatorów zostaje zastraszone. Brudne, esbeckie metody infiltracji i przekazywanie prywatnych korespondencji sędziów mediom paraliżują reformatorskie zapędy.

Dziś nasi rozmówcy są przekonani, że to właśnie działania małżeństwa Szmydtów wywołały aferę. Jest w tym wiele racji. Jaki był cel tej operacji? To oczywiste – chodziło o zablokowanie reform i skompromitowanie ich autorów. To klasyczne działania z repertuaru służb specjalnych. Tu „przykrywkowcem" był Tomasz Szmydt.

„Kreował się na zwolennika zmian w sądownictwie, reform, które przeprowadzaliśmy. Myślę, że działał na zlecenie obcych służb w zakresie orzecznictwa w Wojewódzkim Sądzie Administracyjnym w Warszawie. Jego kolejnym zadaniem mogło być monitorowanie działalności urzędników w Ministerstwie Sprawiedliwości. Uważam, że w Polsce działa spora grupa sędziów i prokuratorów powiązanych niegdyś ze służbami specjalnymi z czasów PRL lub ze służbami obcymi" – mówi nam sędzia Łukasz Piebiak, były wiceminister sprawiedliwości. Podkreśla, że stara nomenklatura w służbach i w sądownictwie trzyma się wyjątkowo mocno. „Reforma wymiaru sprawiedliwości była dla nich śmiertelnym zagrożeniem. My zabraliśmy tym ludziom pewne zabawki. Mieli wpływ na wiele interesujących wyroków, także tych dotyczących służb. Żeby wpływać, potrzebowali prezesów sądów, którzy decydowali,

eprasa.pl 84b1c1dbc7

kto i jaką sprawę dostanie. Zabraliśmy im to, wprowadzając losowanie spraw. Nagle okazało się, że wpływy się skończyły" – dodaje sędzia Piebiak. „W ten sposób wpływy dotychczasowej oligarchii sędziowskiej się skończyły, w tym również możliwości oddziaływania na rozstrzygnięcia konkretnych spraw, przez tzw. stare i/lub obce służby. Oni musieli zaatakować tę reformę i Szmydt dostał zadanie, by pomóc w powrocie starego, sprawdzonego porządku. Ponieważ nie dało się nas ani zastraszyć, ani przekupić, trzeba było odsunąć od wpływu na bieg zdarzeń w tym obszarze. Stąd wykreowana przez obcego agenta Szmydta tzw. afera hejterska – gdyby nie pozyskał on do współpracy swojej żony Emilii Szmydt i przyjaciela A. Cichockiego żadnej »afery« by nie było, a gdyby owej afery nie było, nie byłoby mojej rezygnacji z funkcji wiceministra w sierpniu 2019 r. i zastopowania reformy" – podkreśla Piebiak. Zaznacza, że „sukcesu" Szmydta by nie było bez polskojęzycznych mediów, które od blisko pięć lat lansowały tezy agenta.

Afera hejterska, która miała na celu zniszczenie Zbigniewa Ziobrę, nie kończy się w 2019 r. W 2022 r. Tomasz Szmydt pojawił się w TVN24, gdzie odgrywał swoją przedostatnią rolę. Tym razem udawał skruszonego sędziego, który „ujawnia" nowe fakty w aferze hejterskiej i „przeprasza" rzekomych poszkodowanych. Spektakl był starannie wyreżyserowany, włączały się w niego kolejne media. Doszło do kuriozalnej sytuacji, w której sędzia Szmydt pojawił się w Sejmie, chciał uczestniczyć w pracach komisji. Poseł Marek Ast się na to nie zgodził, ale Kamila Gasiuk-Pihowicz oraz poseł Arkadiusz Myrcha byli zachwyceni. Padły słowa pełne uznania, Szmydt był chwalony za „odwagę".

Tymczasem Szmydt prawie na pewno już wtedy współpracował z białoruskim reżimem. Wpuszczenie zdrajcy do Sejmu nie przeszkadza politykom obecnej władzy. Winią PiS za działania agenta Szmydta. To wyjątkowa perfidia. O swoim „świadku koronnym" zapomniały też media, takie jak TVN24 oraz „Gazeta Wyborcza". Oba tytuły atakują obecną opozycję.

Prawda jest taka, że Szmydt przewinął się przez wszystkie media, nie tylko liberalne, lecz także konserwatywne. Warto jednak zauważyć, że np. telewizja wPolsce zakończyła z nim współpracę już cztery lata temu. Media z ulic Czerskiej i Wiertniczej dopiero niedawno.

PIENIĄDZE

Kobiety, media i alkohol nie były jedynymi pasjami Tomasza Szmydta. Wielką namiętnością sędziego były też pieniądze. Nigdy nie miał ich dość. Z informacji zawartych w oświadczeniach majątkowych wynika, że był zadłużony na setki tysięcy złotych. To osobliwe, gdyż ujawniony w oświadczeniach majątek nie wskazywał na ogromne wydatki. Tymczasem uposażenia sędziego sięgały ponad 20 tys. zł miesięcznie. Co się stało z tymi kwotami?

„Żył na bogato. Lubił podróże, biesiady z dobrym alkoholem i kuchnią. Sporo wydawał na używki" – mówi jeden z warszawskich sędziów, który znał Szmydta.

Wciąż mówił o różnych możliwościach zarobkowych. Zamęczał kolegów pomysłami na szybkie pieniądze. Już kilka lat temu zaczął pasjonować się Rosją, Chinami i azjatyckimi tygrysami. Twierdził, że największe pieniądze są właśnie tam. Miał pomysły, by zostać konsultantem dla wielkich przemysłowych firm ze wschodu.

„Szmydt nie tylko mi opowiadał o »wielkich możliwościach« zarobkowych, które istnieją w związku z obrotem zagranicznym. Opowiadał jakieś niestworzone historie związane ze Wschodem. Kiedyś, już pod koniec naszej znajomości, przyszedł z tym do mnie, z sugestią, że ja przecież znam wielu różnych ludzi i mógłbym coś z tego mieć, gdybym pomógł w ich kontaktach z biznesem postsowieckim. Stanowczo odmówiłem nawet dalszej rozmowy na ten temat, stwierdzając, że przecież jesteśmy sędziami i mamy zupełnie inne zadania. Jeżeli zaś taka działalność tak bardzo go nęci, to zawsze może złożyć urząd i realizować się biznesowo, gdzie chce i z kim chce, ale niech mnie do tego nie namawia. Słyszałem, że spotykał się z różnymi ludźmi spoza środowiska sędziowskiego i starał się bardzo szybko skracać dystans i pozyskiwać zaufanie, najlepiej przy alkoholu. Ten człowiek mógł być zwerbowany już dawno temu i prowadzony długofalowo" – podkreśla sędzia Piebiak.

> Gdy patrzy się na życie i karierę tego zdrajcy, jasne się staje, że to klasyczny produkt „kasty" sędziowskiej w Polsce

LUKA W SYSTEMIE

Werbunek Szmydta mógł służyć jeszcze jednemu celowi. To dostęp do akt sądowych w sprawach dotyczących służb specjalnych. Właśnie takimi sprawami zajmował się upadły sędzia w Wojewódzkim Sądzie Administracyjnym. Portal Interia.pl informował o wokandach sędziego wyznaczonych na najbliższe tygodnie. Miał w nich rozpatrywać kwestie związane z działaniami służb. Choćby te związane z odmowami wydania poświadczeń bezpieczeństwa w zakresie dostępu do informacji niejawnych. Także tych dotyczących kwestii NATO! Przy okazji okazało się również, że sędziowie w tak ważnym wydziale WSA nie mają ochrony kontrwywiadowczej, a co za tym idzie, także kontroli służb. To ogromny problem systemowy, luka, która właśnie zakończyła się skandalem.

* * *

Tomasz Szmydt mieszka dziś prawdopodobnie w Mińsku, otoczony „opieką" bezpieki Łukaszenki. W Polsce oczywiście jest spalony, ale wiele wskazuje na to, że przegrał swoją grę wcześniej niż data stempla na białoruskiej granicy. Gdy jednak patrzy się na życie i karierę tego zdrajcy, jasne się staje, że to klasyczny produkt „kasty" sędziowskiej w Polsce.

eprasa.pl 84b1c1dbc7

Metoda Tuska

Donald Tusk – według rosyjskiej prasy „nasz człowiek w Warszawie" – na potrzeby kampanii europejskiej staje się największym rusofobem. Ale przeciwnikiem nowo narodzonego rusofoba nie będzie putinowska Rosja, lecz polska opozycja

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 84b1c1dbc7

PIOTR GURSZTYN

W ostatniej kampanii parlamentarnej Donald Tusk wystąpił w roli św. Mikołaja. Obiecywał Polakom masę cudownych prezentów zapakowanych w pakiet „100 obietnic na 100 dni". W czasie kampanii wyborczej nakazywał, aby go rozliczać z ich spełniania. 100 dni minęło, obietnice nie zostały spełnione. A nawet wiadomo, że nie zostaną dotrzymane – z czym najszybciej pogodzili się najbardziej fanatyczni zwolennicy Tuska. Kłamstwo założycielskie obecnego rządu stało się porządkiem dziennym. Nikt nie rozlicza, nikt nie zadaje pytań. Nawet opozycja jakby to odpuściła.

Teraz wraz z kampanią europejską zaczyna się podobna operacja. Donald Tusk nie ma żadnych obietnic, żadnego pozytywnego przekazu, więc dąży do przeprowadzenia kampanii na podobnej zasadzie. Podstawą znów ma być kłamstwo. Stawka jest wysoka, bo w czasie niedawnych wyborów samorządowych nie udało się zepchnąć Prawa i Sprawiedliwości na drugie miejsce. A były przecież takie odważne zapowiedzi wsparte prognozami gwiazd polskiej politologii. Ponowne zajęcie drugiego miejsca będzie kompromitacją.

Koalicja Obywatelska prezentuje się jako siła najbardziej unijna, wręcz ze swej natury europejska. Na dodatek wszyscy wiedzą, że KO ma największe resursy propagandowe i instytucjonalne, więc wstyd będzie przegrać z ugrupowaniem, które jest w tym zakresie o wiele bardziej „ubogie". Ponadto obecny rząd nie osiągnął żadnych wymiernych sukcesów, które większość obywateli mogłaby uznać za bezwzględnie pożyteczne dla wszystkich Polaków. Jest wręcz przeciwnie, nawet życzliwi komentatorzy uważają ekipę Tuska za nieporadną, a co gorsza, na horyzoncie widać już falę podwyżek, które mogą mocno zdemolować poparcie dla rządu.

TRUDNE WYBORY

Coś trzeba z tym zrobić! Oferty pozytywnej Tusk nie ma i chyba nie chce mieć. Na pewno nie ma do tego serca, co widać po jego aktywności komunikacyjnej. W odróżnieniu od dawnych lat nie stara się czarować opinii publicznej, nie udziela wywiadów, nie dba zbytnio o PR. Jedyne, co go ożywia, to internetowe ataki na PiS i prezydenta. Wyzwaniem w takich warunkach jest mobilizacja elektoratu. Z punktu widzenia Tuska debata publiczna przed wyborami europejskimi nie może być merytoryczna.

> Kłamstwo założycielskie obecnego rządu stało się porządkiem dziennym. Nikt nie rozlicza, nikt nie zadaje pytań. Nawet opozycja jakby to odpuściła

Jakie są główne tematy związane z kompetencjami Parlamentu Europejskiego i Komisji Europejskiej? To Zielony Ład, tzw. federalizacja UE, czyli *de facto* jej centralizacja, polityka migracyjna i sprawy bezpieczeństwa w kontekście rosyjskiej agresji. Tylko ten ostatni temat, który zresztą bardziej dotyczy kompetencji NATO i polityki obronnej poszczególnych państw, jest w miarę wygodny dla Donalda Tuska. Próbował prezentować się jako przeciwnik paktu migracyjnego czy też przerzucać odpowiedzialność za Zielony Ład na PiS. Jest to jednak zbyt ryzykowne, bo wiadomo, że to on utożsamia się z głównym nurtem polityki unijnej i nie zerwie z Brukselą czy Berlinem. W kierownictwie PiS są ponoć obawy, że część wyborców może „kupić" Tuska w nowym, eurosceptycznym kostiumie. Śladem tego są przestrogi Zdzisława Krasnodębskiego, który pisał w mediach społecznościowych o przeciekach, które miałyby o tym świadczyć.

Powtórzmy jednak, że zmiana kostiumu wiąże się z ryzykiem. Do tej pory wybory europejskie były traktowane przez Polaków dość lekceważąco jako nieco egzotyczna formalność. Frekwencja była wyższa w wielkich miastach, a i to tylko dlatego, że jakaś część liberalnego elektoratu traktowała to jako manifestację poglądów. Ale nawet najzagorzalsi „unijczycy polskiego pochodzenia" nie mieli poczucia sprawczości takiego jak w wyborach do Sejmu czy samorządu. Unia była czymś abstrakcyjnym, odległym i przez to niegroźnym. Częściej widziano „wyciskanie Brukselki" (jak kiedyś to nazwał Waldemar Pawlak) niż przykre konsekwencje działań doktrynerów z Brukseli i lobbystów z Berlina.

Zaszła jednak zmiana. Popierane przez większość społeczeństwa protesty rolnicze mają ścisły związek z polityką unijną. Coraz szersze jest zaniepokojenie planami Brukseli odnośnie do motoryzacji, energetyki, termomodernizacji i kilku spraw kluczowych dla każdego dorosłego człowieka. Najpierw Unia kazała kupować nam piece gazowe, a teraz każe je wyrzucać i kupować pompy ciepła? A co potem rozkaże, gdy pompy ciepła okażą się być nieekologiczne? Nie jest pewne, czy to zaniepokojenie znajdzie odbicie w najbliższych wyborach, ale wiadomo, że na te pytania Tusk nie ma dobrej odpowiedzi.

PALIWO DLA TUSKA

Zostaje więc kwestia bezpieczeństwa. Polacy boją się wojny i potencjalnego agresora, czyli Rosji. To ma być paliwo dla Tuska i jego najbardziej fanatycznych zwolenników spod znaku Silnych Razem. Ale nie na zasadzie pozytywnej, czyli zapowiedzi rozbudowy potencjału obronnego, lecz znów w formie polowania na czarownice. Widać było, w jaki szał wpadło to środowisko na wiadomość o ucieczce sędziego

eprasa.pl 84b1c1dbc7

Szmydta. Tych ludzi nie interesowały konsekwencje dla bezpieczeństwa Polski, pierwszym odruchem było rzucenie się na prawicę. W ich przypadku fakty nie odgrywają żadnej roli. Liczy się tylko jedna emocja – nienawiść wobec PiS.

ZAPIEWAJŁO NADAJE TON

Ale nie jest to tylko odruch, lecz sterowana kampania, której głównym zapiewajło jest Roman Giertych. Ogromnym błędem jest traktowanie go jako agresywnego, ale ekscentrycznego posła, który nie ma wpływu na realną politykę, więc wyżywa się w mediach społecznościowych. Otóż Giertych ma ogromny wpływ. Jest kimś w rodzaju personalnego coacha szefa rządu, który pobudza agresywność Tuska i nią steruje. To nie jest tak, że „Giertych mówi Tuskiem", bo to „Tusk mówi Giertychem".

Ktoś, kto dopiero teraz poznaje polską politykę, zdziwiłby się, że dawny lider Młodzieży Wszechpolskiej, propagator antyeuropejskiego sojuszu z Rosją, dzisiaj gwałtownie oskarża konkurencję polityczną o związki z Moskwą. I że są ludzie, którzy to kupują. To kompletny absurd i fałsz. Został jednak uznany za coś normalnego.

Mamy więc sytuację, że głównym sojusznikiem Kremla ma być polityk, który przez długie lata był oskarżany o rusofobię (przez tych samych ludzi). Jarosław Kaczyński – bo to o nim mowa – od kilkunastu lat głośno powtarza, że jego brat oraz cała reszta polskiej delegacji na uroczystości katyńskie zginęła w wyniku celowych działań władz rosyjskich. Jest za to brutalnie atakowany, a jednocześnie na jednym oddechu oskarżany o politykę prorosyjską. Fakt, że tysiące ludzi w Polsce nie widzi w tym sprzeczności, wskazuje, jak potężne moce ma manipulacja psychologiczna. Za pomocą odpowiednich kampanii, rozbudzania emocji, szczególnie nienawiści, można przerobić rzesze rozsądnych w innych okolicznościach ludzi w politycznych zombie. To skądinąd bardzo zły znak w obliczu zagrożeń, jakie może nieść prowadzona przez Rosję prawdziwa wojna kognitywna. Widać wyraźnie, że miliony Polaków mają bardzo niski poziom krytycyzmu i tym samym odporności na takie działania.

WYBIÓRCZA PAMIĘĆ

Mówi się często, że wyborcy mają krótką pamięć. Przede wszystkim ich pamięć jest wybiórcza. Zapamiętują to, co nie kłóci się z wpojonymi im stereotypami. Dlatego przez lata można oskarżać kogoś o rusofobię, propagować chęć zbliżenia z Rosją „taką, jaka ona jest", a potem nagle dokonać zwrotu i głosić całkowicie inny przekaz. Ludzie, którzy 9 maja pędzili, aby palić świeczki na sowieckich cmentarzach, którzy w latach 2010–2011 sprzeciwiali się nazywaniu Katynia ludobójstwem, dzisiaj tropią rosyjską agenturę wśród tych, których wtedy nazywali rusofobami.

> Giertych jest kimś w rodzaju personalnego coacha szefa rządu, który pobudza agresywność Tuska i nią steruje. To nie jest tak, że „Giertych mówi Tuskiem", bo to „Tusk mówi Giertychem"

Donald Tusk zażarcie zwalczał Komisję ds. Badania Wpływów Rosyjskich, a teraz zapowiada jej reaktywację. Bardzo dobrze, jednak pod pewnymi warunkami. Jakie lata obejmie zakres jej prac? Kto wejdzie w jej skład? Gdzie będzie szukała? Przykład sędziego-zdrajcy pokazuje, że polskie instytucje – niezależnie od tego, kto rządzi – mają poważne luki w zabezpieczeniu przed obcą agenturą. Pokazuje też, jak trudno jest wykryć i zatrzymać prawdziwego agenta. Czy zatem zamiast żmudnego zadania łapania prawdziwych szpiegów, Donald Tusk nie wybierze łatwiejszej szpiegomanii, której celem będzie wyeliminowanie konkurencji politycznej? Jego dotychczasowa metoda polityczna wskazuje, że nie jest to wariant niemożliwy.

PRZYPRAWIANIE GĘBY

Na koniec warto zadać pytanie – a co na to prawica? Otóż lekceważy to zagrożenie. Ludzie szeroko pojętej prawicy – zarówno politycy, jak i jej aktywni sympatycy – dobrze pamiętają zwroty w sprawie rusofobii. Znają poglądy swoich środowisk i wiedzą, jakie zawsze było w nich nastawienie wobec Rosji. Jeśli ktoś nie wie, to warto przypomnieć, że obowiązującym poglądem była i jest nieufność lub niechęć wobec Rosji. Historyczny polski strach przed brutalnym zaborcą, czy to w barwach carskich, czy komunistycznych. Zatem ludzie prawicy czują się zwolnieni z reagowania na całkowicie fałszywe zarzuty. Uważają je za absurdalne, więc niewiarygodne. Ich reakcją jest śmiech albo zamieszczenie w internecie zdjęcia Tuska obściskującego się z Putinem.

To może nie wystarczyć, o czym świadczy świeża analogia. W czasie kampanii parlamentarnej sztabowcy PiS z dużym opóźnieniem zareagowali na tzw. aferę wizową. Też uznali ją za absurd. Po pierwsze, nie było żadnej afery, a po drugie, politycy tej partii gremialnie uważali, że są najbardziej wiarygodni w temacie obrony przed nielegalną imigracją. Przecież przez lata byli oskarżani o ksenofobię. A tu nagle uśmiechnięty europejski liberał na moment przedzierzgnął się niemal w skina. I to był ten moment, który urwał PiS kilka mandatów w Sejmie. Dzisiaj wiemy, że wszystko było kłamstwem, ale już jest po wyborach?

Teraz może być podobnie. Prawica, przez całe lata oskarżana o rusofobię, obudzi się z przyprawioną gębą agentury Kremla. Wtedy nie pomoże nawet tysiąc memów z Tuskiem i Putinem. Kłamstwo obiegnie całą Polskę, zanim prawda nałoży buty – trawestując powiedzenie Marka Twaina. W tej sprawie prawda powinna być od dawna obuta i kolejny raz obiegać Polskę. Z jasnym przekazem o tym, kto chciał przyjaźni z putinowską Rosją, a kto przed tym przestrzegał.

eprasa.pl 84b1c1dbc7

Dziwne przypadki chodzą ostatnio po ministrach rządu Donalda Tuska. Jeden nie pojawił się na zwołanej przez siebie konferencji, drugi bardzo dziwnie się zachowywał podczas negocjacji z ukraińskimi rolnikami, a trzeciemu w wystąpieniu przeszkodził „pogłos". Niełatwo być ministrem

DOROTA ŁOSIEWICZ

Pechowy dzień ministra Kierwińskiego

Tego dnia szef MSWiA Marcin Kierwiński nie zapomni do końca życia. To była sobota, 4 maja. W obecności prezydenta RP z małżonką i marszałka Sejmu odbyły się Centralne Obchody Dnia Strażaka. Podczas uroczystości, która rozpoczęła się o godz. 11.00 na pl. Marszałka Józefa Piłsudskiego w Warszawie blisko 300 funkcjonariuszy Państwowej Straży Pożarnej zostało promowanych na pierwszy stopień oficerski. Wręczono także awanse generalskie oraz odznaczenia państwowe.

FERALNE WYSTĄPIENIE

Jednak wszystkim w pamięć zapadnie przemówienie ministra Marcina Kierwińskiego, który na mównicę wszedł po prezydencie Andrzeju Dudzie i marszałku Sejmu Szymonie Hołowni.

„Służba, poświęcenie, to są rzeczy najważniejsze, które wpisane są w prace strażaka" – zaczął dość niewyraźnie Kierwiński, nerwowo szarpiąc za mikrofon, a prezydent i marszałek zaczęli zerkać w jego stronę z niepokojem. „Codziennie wyjeżdżacie, aby ratować dobytek, życie, zdrowie Polaków i za to bardzo wam dziękuję" – mówił minister, a dźwięk, który dotarł do odbiorców zgromadzonych na placu i przed monitorami, był na tyle niewyraźny, że na youtubowym kanale Komendy Głównej PSP, która prowadziła transmisję na żywo oraz na platformie X (d. Twitter), zaroiło się od pytań: „Pan minister to trzeźwy?", „On pijany jest?", „Naj...y czy po prostu taką wymowę ma?", „Majówka u pana ministra ostra była. W sumie już po 12 to sobie pierdzielnął setkę" – to tylko niektóre komentarze z czata na kanale PSP.

Faktycznie, niektórzy ze zgromadzonych na uroczystościach strażaków zaczęli się uśmiechać, a zasiadający w loży goście zaczęli szeptać.

eprasa.pl 84b1c1dbc7

Fot. Tomasz Jastrzebowski/REPORTER

W tym czasie platforma X trzęsła się już od komentarzy, sugerujących niedyspozycję ministra Kierwińskiego. Te głosy dość szybko musiały dotrzeć do samego zainteresowanego, który półtorej godziny po wystąpieniu udzielił wywiadu, tłumacząc swoje wystąpienie problemami z nagłośnieniem i pogłosem. „Widać było, że nawet mówiący po mnie premier Pawlak zatykał ucho, mimo że występował. Wynikało to właśnie z tego pogłosu, który utrudnia zebranie myśli, jak człowiek słyszy część swojej wypowiedzi" – tłumaczył minister. Dodał, że „naprawdę nie ma tutaj żadnego drugiego dna, po prostu błąd techniki, zdarza się, mogę przeprosić, natomiast robienie na tym brudnej polityki wystawia tylko świadectwo tym, którzy to robią". Faktycznie Waldemar Pawlak podczas wystąpienia zatykał lewe ucho, ale jego wystąpienie nie było zniekształcone jak to szefa MSWiA. „Problemów z dźwiękiem" nie było także słychać podczas poprzedzających przemówienie ministra wystąpień prezydenta i marszałka Sejmu.

WALKA O WIZERUNEK

Jednak najwyraźniej minister i jego doradcy uznali, że sytuacja jest na tyle poważna, że takie tłumaczenie nie będzie wystarczające i Kierwiński udał się do Komendy Rejonowej przy ul. Malczewskiego na Mokotowie na badanie trzeźwości. O 15.31 na platformie X szef MSWiA zamieścił wpis: „Zanim wydacie wyrok, posłuchajcie moich wypowiedzi, których udzieliłem mediom po wystąpieniu. Mało tego natychmiast udałem się na komendę Policji, gdzie zbadano mnie alkomatem. Wynik = 0,0. To, co wydarzyło się na uroczystościach, spowodowane było kwestiami technicznymi i pogłosem". Jako dowód zamieścił wydruk z badania podpisany przez aspirant Ewę Burnett, który miał potwierdzać jego słowa, a w sieci natychmiast zaroiło się od nowych wątpliwości: „Kim jest Ewa Burnett?", „Burnett nie ma w bazie policji. Pytanie, czy w ogóle istnieje", „Burnett wieczorową porą" – złośliwie komentowali internauci.

Najwyraźniej sztab kryzysowy ministra uznał, że i to wyjaśnienie nie jest wystarczające, bo w poniedziałek w Radiu ZET Kierwiński oświadczył, że po badaniu alkomatem poddał się jeszcze badaniu krwi w szpitalu MSWiA. „Mam epikryzę wypisową, bo zgłaszam się w oczywisty sposób na SOR w takich sytuacjach. Zrobiłem to po to, by jak na sali sądowej spotkam się z tymi, którzy kłamali, insynuowali [upojenie alkoholowe – red.], żeby mieć mocne dowody" – powiedział Kierwiński. Minister dodał też, że zarzuty o spożywanie alkoholu w trakcie uroczystości państwowych to element brudnej kampanii i walki politycznej podczas wyborów do Parlamentu Europejskiego, w których kandyduje.

Także w poniedziałek posłowie Suwerennej Polski Sebastian Kaleta i Janusz Kowalski przeprowadzili kontrolę poselską w komendzie policji, w której Marcin Kierwiński miał poddać się badaniu alkomatem. Jej wyniki Kaleta opublikował w czwartek na platformie X, pisząc m.in.: „Poniżej przedstawiam ustalenia kontroli. 1. Marcin Kierwiński pojawił się na komendzie o godzinie 14.38 (czyli 3 godziny po przemówieniu). Towarzyszył mu mężczyzna, który nie był legitymowany, prawdopodobnie był to funkcjonariusz SOP przydzielony do jego ochrony. 2. Badanie przeprowadzono na urządzeniu stacjonarnym, które znajduje się w dyżurce komendy. 3. Minister udał się bezpośrednio do dyżurki, w której nie ma kamer monitoringu. 4. Standardowo badanie przeprowadza się w taki sposób, że wnioskodawca jest na korytarzu obok dyżurki, pochyla się do specjalnego okienka, przez które wydawany jest mu ustnik do badania. Miejsce to objęte jest monitoringiem. 5. Oznacza to, że przebieg badania nie został zapisany na monitoringu komendy. 6. Badanie przeprowadzili asp. Ewa Burnett i asp. Łukasz Ziomko. Byli obecni dzisiaj na komendzie i mieliśmy możliwość porozmawiania z nimi. 7. Z badania sporządzono pisemny protokół, który został nam dziś okazany. 8. O godzinie 14.51 Marcin Kierwiński opuścił komendę w towarzystwie osoby, z którą się tam pojawił".

ZDANIEM „EKSPERTÓW" I EKSPERTÓW

Przedstawione wyniki badania nie wszystkich przekonały. Były partyjny kolega szefa MSWiA i były wicewojewoda dolnośląski Jacek Protasiewicz, który stracił to stanowisko po serii swoich kontrowersyjnych wpisów na platformie X, tak komentował głośne przemówienie ministra: „Wczoraj byłem zajęty do późna. Dopiero teraz zobaczyłem wystąpienie M. Kierwińskiego. A więc: 1) byłem jego zastępcą jako szefa kampanii PO w 2011 r., więc spotykaliśmy się codziennie i często. Poznałem go całkiem dobrze. 2) Wiem, ile i co jest pite w gabinetach rządu PO, a zwłaszcza w willi premiera na Parkowej, na tarasie zwanym pieszczotliwie »Miami«. Wiem też, jak dużo tam (i w KPRM) się pijało. Podsumowując: M. Kierwiński wczoraj był napruty jak messerschmitt. Gadanie o problemach technicznych to ściema dla maluczkich, jak niegdyś o słynnym dziadku" – napisał Protasiewicz. A po tym, gdy szef MSWiA zapowiedział, że „osoby, które stały i stoją za szkalowaniem mojego dobrego imienia poniosą prawne konsekwencje tych nienawistnych działań" Protasiewicz napisał: „Hej, jeśli pośród tych osób jestem i ja, to wyślij pozew (adres Twoi ludzie ustalą w minutę). Czekam. Jeśli jednak myślisz

eprasa.pl 84b1c1dbc7

o »seryjnych samobójcach«, to odpuść. Pewnie znam ich wszystkich. Oni – znają mnie. Nic z tego nie będzie poza kolejną wtopą. Już winka w PE nie będzie".

W kolejnych wpisach Protasiewicz prowokował ministra, twierdząc, że czeka na pozew: „Hej, M. Kierwinski! Już godzinę czekam na twoich chłopaków! Nawet jajecznicy nie zrobiłem, a Senior zjadł leczo Darusi na śniadanie; wczoraj zapowiadałeś, że się rozprawisz z oszczercami; byłeś znowu na bańce czy dochodzisz, jak niegdyś Bart Sienkiewicz, do Białegostoku?". Na zarzuty o libacje w PO szef MSWiA odpowiedział we wspomnianym już wywiadzie dla Radia ZET: „Pomylił wszystko. Nawet się z panem Protasiewiczem nie znałem w 2011 r. W 2015 r. współpracowaliśmy. Nigdy nie piłem z panem Protasiewiczem alkoholu w willi na Parkowej. To są kłamstwa". To jednak tylko rozochociło byłego wicewojewodę dolnośląskiego, który w kolejnym wpisie zdradził, jaki obecny szef MSWiA miał pseudonim w PO: „M. Kierwiński, pseudonim nadany przez G. Schetynę – „Bobas", to prawdziwy bobas: myśli, że jak zamknie oczy, to zniknie! Szef gabinetu politycznego premier Ewy Kopacz i szef kampanii Platformy w 2011 r. twierdzi, że nie znał mnie, dyrektora Biura Krajowego PO i zastępcę szefa owej kampanii, czyli M. Kierwińskiego... a to dobrze wymyślone! Podpowiedziała Tobie tę strategię aspirant Ewa Burnett?".

W kolejnym wpisie Protasiewicz przypomniał wystąpienie Marcina Kierwińskiego sprzed roku. Wówczas sekretarz generalny PO miał podobne „problemy z dźwiękiem" jak podczas uroczystych obchodów Dnia Strażaka. Film opatrzony został komentarzem: „Ty! M. Kierwiński! A w Płońsku 2 maja też była bania u Cygana? Do rana? Głowa bolała? Wiem, wiem... współczuję! A przed tym wystąpieniem zrobiłeś lunetę (pamiętam – bez galarety) czy wariant b: lampeczka „sauté" + browarek? Gdybym był blisko, doradziłbym, a tak... głupio wyszło..." – czytamy.

Bardziej fachowej analizie niż Jacek Protasiewicz poddał wystąpienie Marcina Kierwińskiego Waldemar Krysiak, bloger, felietonista „Tygodnika Solidarność" i lingwista, który na platformie X prowadzi profili „Myślozbir".

„Szef MSWiA i jego zwolennicy twierdzą, że nie był pijany – dziwne przemówienie ma być kwestią nagłośnienia. Jako językoznawca powiem wam tak: mowa pijacka jest mierzalna. I mowa Kierwińskiego wykazuje cechy mowy po alkoholu. Te cechy to:

– zaburzona wymowa sybilantów prepalatalno-postalweolarnych (ż/rz). Kierwiński w nagraniu zmaga się z prawie każdym takim fonemem,

– zaburzona jest realizacja zbitek spółgłoskowych: język musi przeskakiwać między miejscami artykulacji w aparacie mowy, co mu nie wychodzi, bo mięśnie na alkoholu są niezdarne. Pan polityk ma problemy z »ści« w robiliście, na przykład,

– zaburzone są cechy suprasegmentalne, np. tak zwana prozodia (melodia) zdania. Polski jest językiem z silnym akcentem zdaniowym, a słabym akcentem słownym. Nacisk w zdaniu jest nałożony na nową/ważną informację, a nie na poszczególne słowa – te zlewają się często w jeden ciąg.

I u Kierwińskiego słychać zaburzony akcent: ABY ratować, miałem ZAAASZCZYT itd. Oprócz akcentu niepoprawna jest też tutaj długość samogłosek, które stają się zbyt długie,

– następuje wokalizacja spółgłosek bezdźwięcznych: Kierwiński wymawia np. partnerzy jako »bartnerzy«.

– pojawiają się błędy morfo-syntaktyczne: łączone lub podwajane są jedne sylaby, a inne zostają pominięte: Kierwiński wymawia np. »pojechaliście« jako »pojechaeliście«.

– wydłużone są przerwy między słowami – to oczywiste!

> Najwyraźniej minister i jego doradcy uznali, że sytuacja jest na tyle poważna, że Kierwiński udał się do Komendy Rejonowej przy ul. Malczewskiego na Mokotowie na badanie trzeźwości

Czy więc Kierwiński był pijany – tego analiza języka nie gwarantuje. Ale badania pokazują, że osoby mówiące danym językiem są w stanie na 70–80 proc. poprawnie ocenić, czy ktoś wzmacniał się procentami. Ocenę pozostawiam więc wam" – napisał Krysiak.

DZIWNE ZACHOWANIA

I pewnie wyborcom Platformy Obywatelskiej badania, które przedstawił minister, wystarczą, reszta pozostanie wierna swoim oczom i uszom. Z pewnością „pogłos" Kierwińskiego zostanie z nami na długo. Podobnie jak „Bobas", „luneta" i „Miami". Tym bardziej że po politykach koalicji 13 grudnia chadzają ostatnio dziwne przypadki.

Minister kultury Bartłomiej Sienkiewicz nie pojawił się na konferencji prasowej w miniony poniedziałek, którą wcześniej na godz. 11 sam zwołał. Tuż przed zaplanowanym spotkaniem z mediami okazało się, że ministra nie ma w budynku i konferencję odwołano. „Trudny poniedziałek" – komentowali dziennikarze.

W mediach było też głośno o „dziwnym zachowaniu wiceministra Michała Kołodziejczaka" podczas spotkania w resorcie rolnictwa ministra Czesława Siekierskiego z jego ukraińskim odpowiednikiem Mykołą Solskim. W rozmowach uczestniczyli również wspomniany Michał Kołodziejczak, ukraiński wiceminister gospodarki Taras Kaczka, a także przedstawiciele polskich i ukraińskich organizacji rolniczych. Po tym spotkaniu na profilu Ukraińskiego Stowarzyszenia Zbożowego (Ukrainian Grain Association) pojawił się komentarz dotyczący zachowania polskiego wiceministra: „Podczas negocjacji wiceminister rolnictwa i rozwoju wsi Michał Kołodziejczak zachował się dziwnie. Wiele razy zrywał się i wybiegał z pokoju, po czym wracał, pociągał nosem i zachowywał się dość nerwowo" – mogliśmy przeczytać na profilu UGA. Od tego czasu „medialny" Michał Kołodziejczak rzadziej pojawia się mediach.

No, ale nikt nie mówił, że praca w rządzie będzie łatwa. Może dlatego ministrowie tak palą się do pracy w Parlamencie Europejskim. Tam kontrola opinii publicznej będzie mniejsza.

eprasa.pl 84b1c1dbc7

Polityka niedorozwoju

Odłożenie budowy CPK oraz elektrowni jądrowych na dalszą przyszłość nie jest wyłącznie ciosem w nasze narodowe ambicje. To przede wszystkim duszenie polskiej gospodarki i kolejny dowód, że polityka rządu Tuska cofa nasz kraj w rozwoju

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Na wiadukcie warszawskiego mostu Gdańskiego ktoś zawiesił transparent z napisem „Tusk do roboty! Chcemy CPK". Takie same napisy pojawiły się także w innych miejscach, m.in. na stacjach trójmiejskiej SKM.

Prawdopodobnie żadna inna inwestycja w III RP nie budziła tylu emocji i nie miała zarazem tak silnego poparcia społecznego jak CPK. Jednak obecny rząd konsekwentnie staje w poprzek nastrojów społecznych i pomimo wysokich kosztów politycznych takiej strategii od pierwszych dni swojego istnienia hamuje budowę nowego lotniska. W tej kwestii, podobnie jak w przypadku elektrowni jądrowych i wielu innych projektów rozwojowych, Tusk w ogóle nie przejmuje się opinią publiczną i nie zabiega o jej poparcie. Dla każdego, kto pamięta szefa rządu z czasów jego pierwszej kadencji, jest to zadziwiające zachowanie. Bo przecież na kontynuacji budowy CPK oraz elektrowni atomowych można by ugrać sporo wyborczych głosów. Mimo to Tusk sprawia wrażenie, jakby te głosy nie były dla niego warte korekty dotychczasowej polityki.

Można się zastanawiać, dlaczego tak jest? Czyżby chodziło, jak się niekiedy spekuluje, o jakieś zobowiązania zaciągnięte przez partię Tuska? Bo przecież trudno zrozumieć szefa rządu, który tak otwarcie działa wbrew oczekiwaniom społecznym.

KOMBINACJE LASKA

Wokół CPK i elektrowni jądrowych toczy się dziwna gra. Oficjalnie nikt z rządu nie wycofuje się z tych projektów, ale nie ma też żadnych działań, które świadczyłyby o ich kontynuacji. Wręcz przeciwnie. Opinia publiczna ciągle słyszy o wysokich kosztach, konieczności audytu i nowych koncepcjach. Trolle z sekty ośmiu gwiazdek opowiadają zaś niestworzone brednie o tym, że budowa CPK leży w interesie Putina. Aż trudno uwierzyć, że znajdują się idioci, którzy wierzą w takie tłumaczenia. Wszystko wskazuje na to, że chodzi wyłącznie o zmęczenie ludzi tym tematem, by poczekać, aż o nim zapomną i go po cichu wygasić.

Na początku maja pełnomocnik rządu ds. CPK Maciej Lasek zaatakował bardzo sprytnie. Najpierw solennie zapewnił, że nie ma mowy o rezygnacji z lotniska, a jedyną kwestią sporną jest zakres prac oraz terminy. Jego zdaniem 2028 r. jako termin oddania CPK podany przez poprzednią ekipę jest zupełnie nierealny. W opinii obecnego rządu bardziej prawdopodobny byłby 2032, a nawet 2035 r. Uzasadnieniem tych dat mają być ekspertyzy wykonane przez firmy doradcze dla poprzedników Laska. Jak się okazuje, takie daty rzeczywiście miały się pojawić w tych dokumentach, ale wyłącznie jako wariant skrajnie pesymistyczny, który zresztą uznano za bardzo mało realny. Budowniczowie z Platformy uznali jednak ten skrajnie pesymistyczny wariant za swój punkt wyjścia. W tej sytuacji – jak twierdzą – jedynym wyjściem jest rozbudowa istniejącego lotniska na warszawskim Okęciu oraz lepsze wykorzystanie portów w Modlinie i Radomiu. Można jednak podejrzewać, że chodzi tylko o to, aby przerzucić środki na Okęcie (i tam je zmarnować), a potem oświadczyć, że wobec inwestycji w Warszawie budowa CPK nie ma już uzasadnienia.

Ktoś mógłby pomyśleć, że może to rzeczywiście lepsze rozwiązanie. Bo przecież budowy CPK jeszcze nie rozpoczęto, więc nie ma szans na otwarcie lotniska za kilka lat. Tyle że to nieprawda. Budowy nie rozpoczęto, bo obecny rząd jej nie chce. Wojewoda mazowiecki cofnął – na wniosek CPK (!) – zgodę na prowadzenie prac geologicznych na terenie przyszłego

eprasa.pl 84b1c1dbc7

lotniska. Wcześniej biuro Laska zwlekało z wnioskiem do wojewody w sprawie decyzji lokalizacyjnej dla budowy. Czy tak działa ktoś, kto chce przyspieszenia prac? To oczywiste, że nie.

Tymczasem przy sprawnej organizacji prac budowa lotniska w tak krótkim czasie jest możliwa. Są przecież przykłady z całego świata. Wielki port lotniczy w Stambule zbudowano w ciągu czterech lat, podobnie lotnisko w Oslo. Pięć lat trwała budowa lotniska w Monachium i w Denver. Nie ma żadnych powodów, dla których w Polsce musiałoby to trwać dłużej. Oczywiście pod warunkiem szerokiego wsparcia ze strony rządu, a tego brakuje dziś najbardziej. Dlatego nowego lotniska, choć mogłoby powstać, prawdopodobnie nie będzie. To polityczna decyzja Tuska, której motywy nie są całkiem przejrzyste. Rola Laska i jemu podobnych ogranicza się zaś do tego, aby pozorować jakieś działania i uspokajać opinię publiczną.

GORZEJ NIŻ W BANGLADESZU

Podobną strategię jak wokół Centralnego Portu Komunikacyjnego rząd przyjął w sprawie elektrowni jądrowych. Najpierw pojawiły się znane z CPK debaty o konieczności przeprowadzenia audytu i wyboru modelu finansowania. Potem były przepychanki w sprawie lokalizacji i terminu uruchomienia pierwszego bloku (już przecież ustalonych przez poprzedni rząd).

W ub. tygodniu minister przemysłu Marzena Czarnecka wskazała 2040 r. jako datę uruchomienia pierwszej polskiej siłowni atomowej na Pomorzu. Gdy wybuchła burza, pani minister szybko się z tego wycofała i przyspieszyła termin o pięć lat – do 2035 r. Mimo to nadal mamy do czynienia z odłożeniem budowy w czasie, ponieważ poprzedni rząd zakładał uruchomienie pierwszego bloku elektrowni w 2033 r. Zakładano też, że w 2032 r. miała się rozpocząć budowa drugiej elektrowni.

> Nowego lotniska prawdopodobnie nie będzie. To polityczna decyzja Tuska, której motywy nie są całkiem przejrzyste. Rola Laska i jemu podobnych polega zaś na pozorowaniu jakichś działań

Wygląda jednak na to, że nic z tego nie będzie. Zresztą do podanego przez panią minister terminu też nie warto się przywiązywać. Przypomnijmy, że Tusk podczas swojej pierwszej kadencji w fotelu szefa rządu obiecywał elektrownię w 2020 r.

W kontekście tzw. transformacji energetycznej i Zielonego Ładu dziwne gry obecnej ekipy są bardzo ryzykowne. Bez energetyki jądrowej polska gospodarka szybko stanie się niekonkurencyjna, a społeczeństwo wyda biliony złotych na opłaty emisyjne i karne podatki klimatyczne. Odwlekanie budowy elektrowni jest więc szkodnictwem popychającym Polskę ku gospodarczej zapaści i ubóstwu.

Podobnie jak w przypadku CPK nie ma mowy, że termin uruchomienia pierwszej polskiej elektrowni był wyśrubowany. Średni czas budowy bloku elektrowni jądrowej na świecie to 6,5 roku (w Japonii, Korei Płd. i Chinach – poniżej sześciu lat), przy czym 21 proc. działających dziś reaktorów powstało w mniej niż pięć lat. Francuski program atomowy ruszył pełną parą w 1974 r. i w ciągu kolejnych 15 lat uruchomiono we Francji – uwaga – 56 reaktorów atomowych. Dlatego nie ma żadnego technicznego uzasadnienia dla przesuwania otwarcia pierwszej elektrowni w Polsce. Oznaczałoby to bowiem, że u nas elektrownię buduje się (przy założeniu, że budowa rozpocznie się – jak zaplanowano – w 2026 r.) przez dziewięć lat. Nawet Bangladesz był w stanie postawić swoją pierwszą siłownię jądrową w ciągu sześciu lat (jej uruchomienie zaplanowano w br.). Okazuje się jednak, że Polska, jeszcze do niedawna aspirująca do grona 20 największych gospodarek świata, pod rządami Platformy nie potrafi dorównać ubogiemu państwu Trzeciego Świata. Czy chodzi tu tylko o skrajną niekompetencję obecnej władzy, czy może o jeszcze coś innego?

Jasne jest jednak – bo do tego nie potrzeba żadnego dochodzenia – że bez energetyki jądrowej polska gospodarka zostanie wkrótce zduszona, co leży w interesie Niemiec i kilku innych naszych „przyjaciół" z Unii Europejskiej, zaniepokojonych zbyt szybkim wzrostem Polski.

KOŁO ZAMACHOWE

Z tych samych powodów Berlin z niechęcią przypatrywał się budowie CPK, choć

Fot. Fatria

eprasa.pl 84b1c1dbc7

ostatnio pojawiły się dość zaskakujące doniesienia, że niemiecki rząd nie miałby nic przeciwko tej inwestycji. Jednocześnie na łamach „Die Welt" opublikowano artykuł, którego autor Philipp Fritz zauważył, że nowe lotnisko – o ile powstanie – byłoby bezpośrednią konkurencją dla nowego portu lotniczego Berlin-Brandenburg, a jego budowa oznaczałaby, że „Polska szykuje się do wywarcia presji na branżę lotniczą w Niemczech".

Według planów poprzedniego rządu CPK do 2035 r. miało osiągnąć przepustowość rzędu 40 mln pasażerów rocznie (docelowo 100 mln po dalszej rozbudowie), co oznaczało, że byłoby w stanie konkurować z największymi portami lotniczymi w okolicy, przede wszystkim ze wspomnianym lotniskiem Brandenburg w Berlinie, a po zwiększeniu przepustowości nawet z Frankfurtem. Dla porównania – w 2023 r. Okęcie odprawiło 18,5 mln pasażerów przy przepustowości wynoszącej maksymalnie 24 mln. Potem będzie trzeba przenieść ruch. No właśnie, gdzie? Do znacznie mniejszego Modlina i Radomia? Można, ale po co? Ich łączna przepustowość – wraz z Okęciem – nie przekroczy bowiem 40 mln pasażerów. To jedynie tworzenie kolejnej prowizorki i zablokowanie rozwoju LOT. Tym bardziej że CPK – co należy podkreślić – to nie tylko lotnisko pasażerskie, lecz także wielki port cargo i ogromny projekt kolejowy (aż 1800 km nowych linii).

Warto zauważyć, że w naszej części Europy nie ma ani jednego portu transportowego z prawdziwego zdarzenia. Dzisiaj na Polskę przypada jedynie 1 proc. lotniczego ruchu cargo w Unii, choć jesteśmy piątym pod względem liczby ludności państwem UE i zarazem dynamicznie rozwijającą się – przynajmniej do tej pory – gospodarką. Tak mały wolumen towarowego ruchu lotniczego w Polsce jest zaskakujący, jednak wyjaśnienie – proste. W tej chwili aż ponad 60 proc. polskiego frachtu lotniczego z Azji i Ameryki idzie przez Niemcy. Tam przywożone do nas towary są clone i opodatkowywane. Polska traci na tym – jak wynika z raportu firmy doradczej EY – 200 mld zł potencjalnych zysków rocznie, które wpływają do niemieckiego budżetu.

Jednak CPK to nie tylko ruch lotniczy. Tego rodzaju przedsięwzięcie ma znacznie szerszy wymiar i było pomyślane jako koło zamachowe dla całej gospodarki – rodzaj inwestycji generującej zyski i miejsca pracy, a tym samym zabezpieczającej naszą przyszłość. Warto przywołać tu dane z raportu firmy konsultingowej Kearney, z których wynika, że do 2040 r. CPK wygeneruje niemal 300 tys. miejsc pracy, a wartość PKB z tytułu działalności lotniska oraz powiązanej z nim infrastruktury wzrośnie w tym czasie łącznie o 986 mld zł.

> Rozbudowa Okęcia to reanimacja umarlaka i wyrzucanie pieniędzy w błoto. Jej skutkiem byłaby ucieczka pasażerów tranzytowych, a w efekcie prawdopodobny upadek LOT

Lotnisko ma także znacznie militarne i mogłoby posłużyć za newralgiczny port przerzutowy dla wojsk sojuszniczych. Nie w czasie wojny, ale przed jej wybuchem, gdy szybkość działania może mieć kluczowe znaczenie dla naszego bezpieczeństwa.

Wszystko to stracimy, jeśli projekt budowy CPK zostanie porzucony.

REANIMACJA UMARLAKA

Odłożenie budowy CPK, czyli *de facto* rezygnacja z tego projektu oznacza, że nasze miejsce zajmie ktoś inny. Chodzi nie tylko o lotniska w Niemczech, lecz także w Wiedniu i Budapeszcie, które od pewnego czasu aspirują do roli regionalnych hubów – również w branży cargo. Ucierpi też nasz narodowy przewoźnik lotniczy, który za pięć lat powinien – o ile dotrwa do tego czasu – obchodzić 100-lecie powstania. Utrącenie CPK jest bowiem równoznaczne z degradacją, a być może i upadkiem LOT.

Dzisiaj szanse przetrwania mają przede wszystkim te linie lotnicze, które potrafią przejąć cudzych pasażerów. LOT nie przeżyje, przewożąc wyłącznie pasażerów z Polski i do Polski. Dlatego buduje się huby – takie jak CPK – gdzie podróżni przesiadają się z jednego samolotu tych samych linii do drugiego. Dzięki gęstej siatce połączeń regionalnych oraz dobrej ofercie dalekodystansowej mieszkańcom naszej części Europy można zaoferować dogodne połączenia z całym światem. Wystarczy, że wsiądą oni do lotowskiego samolotu w swoim mieście i przesiądą się w CPK do następnego, który zawiezie ich do celu podróży. Warunek jest jeden – najpierw musi powstać Centralny Port Komunikacyjny.

Trudno sobie wyobrazić, aby taka strategia była możliwa w przypadku tzw. triportu Okęcie-Modlin-Radom. Kto o zdrowych zmysłach skorzystałby z usług przewoźnika, którego lotniska przesiadkowe dzieli dystans 100 km? Przykładowo najpierw lot do Radomia, potem jazda pociągiem do Modlina, a stamtąd dalszy lot. W sens takiej podróży mógłby uwierzyć chyba tylko jakiś wyjątkowo upośledzony wyznawca obecnej władzy.

Mimo to rządzący promują zabójczą dla LOT i naszej gospodarki ideę triportu. Okęcie miałoby zostać rozbudowane kosztem 2,4 mld zł, choć powszechnie wiadomo, że taka inwestycja jest obecnie niemożliwa. Nie tylko z powodu autostrady A2 biegnącej południowym skrajem lotniska, lecz także dlatego, że jego powiększenie musiałoby się wiązać z niesłychanie kosztownymi wywłaszczeniami i wysiedleniami tysięcy ludzi mieszkających w okolicy.

Rozbudowa Okęcia to reanimacja umarlaka i wyrzucanie pieniędzy w błoto, tym bardziej że oznaczałoby to konieczność tymczasowego ograniczenia ruchu na lotnisku, a więc zmniejszenie jego przepustowości na kilka lat. Skutkiem byłyby zatory i ucieczka pasażerów tranzytowych, a w efekcie prawdopodobny upadek LOT.

Być może jednak obecny rząd dostrzega w tym szansę. Bo bez własnego przewoźnika duży hub, taki jak CPK, nie będzie nam przecież potrzebny.

eprasa.pl 84b1c1dbc7

Wrócimy do władzy

Prawica nigdy nie rządziła tak długo, osiem pełnych lat. Nikt przed nami tak mocno, pozytywne nie zmienił Polski i jakości życia Polaków. To wielki kapitał, który będzie procentował

Michał Karnowski rozmawia z Adamem Bielanem, politykiem Prawa i Sprawiedliwości, posłem do Parlamentu Europejskiego, kandydatem w wyborach europejskich w okręgu nr 5, obejmującym część województwa mazowieckiego

Pół dnia trwało pana przesłuchanie przed komisją ds. wyborów korespondencyjnych. Dla pana to był problem w kampanii czy darmowa reklama? Jak pan znosił chamstwo niektórych przedstawicieli koalicji rządzącej?

Adam Bielan: Zachowanie członków komisji z ramienia koalicji 13 grudnia nie było dla mnie żadnym zaskoczeniem. Prawda dotycząca początków pandemii i kwestii organizacyjnych związanych z wyborami prezydenckimi w 2020 r. jest dla nich bardzo niewygodna, a jej wykazywanie wywoływało ogromną agresję, w szczególności w przewodniczącym Jońskim. Były wiceprezes łódzkiego basenu i jego ekipa podeszli do przesłuchania mnie z tezą, która nie ma nic wspólnego z rzeczywistością i którą fakty szybko burzyły.

Oglądając posiedzenia tej komisji, mam wrażenie, iż ktoś próbuje sfałszować przeszłość, bo te same siły polityczne, które prezydenckie wybory korespondencyjne zablokowały w czasie pandemii, twierdząc iż „koperty zabijają", dziś stawiają zarzut, iż próba ich przeprowadzenia się nie udała, że przepadły wydane na to pieniądze. Czy miał pan poczucie, że odbywa się tam dochodzenie do prawdy?

W myśl starej rzymskiej zasady – gdy nie ma chleba, trzeba dać ludziom igrzyska. Wszystkie komisje śledcze, w tym ta, opierają się na nieistniejących aferach wykreowanych przez Tuska na potrzeby kampanii parlamentarnej w 2023 r. Dziś te fikcyjne rozliczenia, które niczego nie dowodzą, mają przykryć niekompetencję rządzących, odwrócić uwagę od niespełnionych obietnic i niedopuszczalnych działań, jakie podejmuje dzisiejsza władza.

To prowadzi nas do szerszego pytania: w jakim stanie jest polska demokracja i państwo po pięciu miesiącach od przejęcia władzy przez koalicję 13 grudnia?

eprasa.pl 84b1c1dbc7

Mamy uśmiechniętą Polskę. Polskę ze zdewastowaną prokuraturą, zrujnowanymi mediami publicznymi, bez wyższej kwoty wolnej od podatku, bez paliwa po 5,19 zł. Do tego dochodzą rachunki grozy i gigantyczne podwyżki za gaz od lipca. Jakby tego było mało, jedną z pierwszych decyzji rządu Tuska, podjętą już 20 grudnia, było zatwierdzenie unijnego paktu migracyjnego. Czeka nas tysiące nielegalnych migrantów lub gigantyczne kary liczące ponad 40 tys. euro od każdej nieprzyjętej osoby. Tak wygląda uśmiechnięta i praworządna Polska w wydaniu koalicji 13 grudnia.

Do Warszawy przybyła szefowa Komisji Europejskiej pani Ursula von der Leyen, która poklepała Donalda Tuska po plecach, a wcześniej ogłosiła zamknięcie procedury naruszenia praworządności przez Polskę. W tym czasie żadna ustawa, która by zmieniała coś w tym obszarze, nie została przyjęta. Jedyne, co zrobili, to przejęli siłowo, nielegalnie wiele urzędów i instytucji. Racje mieli ci, którzy twierdzili, iż Bruksela to czysta przemoc, że za rządów PiS należało z nią ostrzej rozmawiać? Zdecydowanie odrzucić wszelkie próby wtrącania się w polskie sprawy?

Nie jest żadną tajemnicą, że elity brukselskie otwarcie grały na odsunięcie PiS od władzy. Cały proces przyznawania środków z Krajowego Planu Odbudowy, fikcyjne slogany o zagrożeniach demokracji i praworządności to była chłodna, polityczna kalkulacja na wsparcie ówczesnej opozycji. Z czego to wynika? Zjednoczona Prawica z prezesem Jarosławem Kaczyńskim na czele stawiała Brukseli nieprzekraczalne granice. Nie myli się tylko ten, kto nie robi nic. My także popełnialiśmy błędy, lecz zawsze twardo i stanowczo stawaliśmy w obronie polskich spraw. Dzisiejsza władza prowadzi politykę pokornie zgiętego karku przez Berlinem i Paryżem.

Przed nami wybory do Parlamentu Europejskiego, w których pan kandyduje. Z jakim przekazem?

Pod rządami Donalda Tuska polska suwerenność jest zagrożona. Tym większego znaczenia nabiera front europejski, gdzie możemy zablokować złe, niebezpieczne koncepcje przejęcia uprawnień państw narodowych, w tym Polski, przez biurokrację brukselską. Jestem przekonany, że to będą najważniejsze wybory w historii Parlamentu Europejskiego i z całą pewnością w historii naszego członkostwa w Unii. Ten przyszły parlament zdecyduje o kształcie traktatów, naszej suwerenności wewnątrz UE, ostatecznym kształcie paktu migracyjnego, Zielonego Ładu. We wszystkich sprawach, o których tak gorąco dyskutujemy w Polsce, decyzje będą zapadać w Strasburgu i Brukseli. Wydarzy się to w ciągu najbliższych dwóch, trzech lat. Wiem, jak tam działać skutecznie, jestem przekonany, że będę umiał obronić polskie interesy.

> To będą najważniejsze wybory w historii Parlamentu Europejskiego i z całą pewnością w historii naszego członkostwa w Unii. Ten przyszły parlament zdecyduje o kształcie traktatów, naszej suwerenności wewnątrz UE, ostatecznym kształcie paktu migracyjnego, Zielonego Ładu

Czyli jeśli chcemy zatrzymać te wszystkie szaleńcze i cyniczne pomysły, musimy iść na wybory europejskie? Bo one będą o sprawach jak najbardziej nas dotyczących?

Tak. Jeżeli chodzi o Zielony Ład i pakt migracyjny, to na szczęście większość Polaków już rozumie zagrożenie, a niektórzy tego doświadczają w swojej codziennej pracy, jak rolnicy, i rozumieją, iż brak reakcji oznacza pozbawienie ich możliwości funkcjonowania. Zwracam jednak uwagę na jeszcze większe zagrożenie, jakim jest przygotowywany przez siły rządzące dziś UE nowy unijny traktat. Bez przesady można powiedzieć, że to byłby koniec Polski jako niepodległego państwa.

Co by konkretnie zmienił?

Wedle tych planów polscy wyborcy straciliby możliwość decydowania o polityce zagranicznej, ochronie granic, sprawach obronnych, podatkach i w wielu innych dziedzinach. Musimy sobie uświadomić, co to oznacza: będziemy mogli wybierać sobie jakiś rząd, taki lub inny, ale to nic nigdy już nie zmieni w najważniejszych sprawach, bo one będą rozstrzygane poza nami. Celnie ujął to Jarosław Kaczyński – Polska przestałaby być państwem, stałaby się terenem zamieszkanym przez Polaków, ale zarządzanym z zewnątrz. Każdy polski rząd będzie miał związane ręce, bo większością głosów w każdej sprawie będzie można zdecydować inaczej w Brukseli.

Dziś mamy prawo weta, które podobno paraliżuje działania UE.

Proszę mi wskazać sprawy, w których do takiego paraliżu doszło. Nie ma ich, bo zwykle udaje się wypracować kompromis. Weto jest dziś używane niezwykle rzadko, ale pozostaje najważniejszym bezpiecznikiem praw państw spoza największej trójki, czwórki unijnych krajów. Gdy go zabraknie, Niemcy i Francja przejmą pełnię władzy nad pozostałymi. Z dawnej Unii, do której wstępowaliśmy, niewiele zostanie.

Dlatego Niemcy tak do tego prą, bez względu na barwy partyjne?

W praktyce nie zdarza się, żeby przegłosowano coś wbrew woli Berlina. Czyli kraj, który w ciagu ostatnich 15 lat najczęściej się mylił, czy to w odniesieniu do promowania współpracy z Rosją, czy społecznych skutków masowej migracji z krajów dalekich kulturowo, ma dostać nieograniczoną władzę, ma narzucać innym swoją wolę w każdej

Fot. Andrzej Skwarczyński

eprasa.pl 84b1c1dbc7

sprawie, bez specjalnego wysiłku! To skrajnie niebezpieczne zarówno dla Polski, jak dla całej UE.

Wygracie te wybory, tak jak udało się wam wygrać, trochę zaskakująco dla opinii publicznej, wybory samorządowe?

Mam nadzieję, że wygramy, ciężko na to pracujemy w terenie, mamy wyjątkowo mocne listy wyborcze, gdzie nikt nie może być pewny sukcesu bez wysiłku, gdzie każdy za plecami ma silnych konkurentów. Ale trzeba pamiętać, że sukces będzie trudny do powtórzenia. W wyborach samorządowych frekwencja jest wyższa w mniejszych miejscowościach i na terenach wiejskich, w europejskich zwykle bywała większa w ośrodkach wielkomiejskich. Taki rozkład w oczywisty sposób działa na rzecz obecnie rządzących. Jednak nic nie jest rozstrzygnięte, wierzę, że nasi wyborcy znów się zmobilizują i pokażą kolejną żółtą kartkę rządzącym, za to, co wyrabiają w kraju i pomogą pokazać czerwoną kartkę tym siłom w Unii, które nie szanując woli wyborców, narodowych konstytucji, prą w kierunku przymusowej centralizacji.

Po drugiej stronie, na listach Koalicji Obywatelskiej, aż czterech ministrów obecnego rządu, w tym Bartłomiej Sienkiewicz. Dlaczego ucieka? Coś poszło nie tak?

Myślę, że ma świadomość, jakich rzeczy się dopuścił. Sposób, w jaki on i jego ludzie przejmowali media publiczne, całkowicie bezprawnie, z pomocą policji, z wyłączeniem sygnału, to były standardy białoruskie. Nikt po 1989 r. nie sięgnął po bezprawie i brutalną siłę w tej skali. Widać było metody służb specjalnych, które pan Sienkiewicz zna, bo wiele lat w nich pracował. Za to wszystko grozi jednak odpowiedzialność prawna. Jest przed czym uciekać.

Czyli start do PE to jednak nie nagroda dla Sienkiewicza, ale zsyłka?

Przypomnę, że pan Sienkiewicz mówił w lutym, powtórzył to w marcu, że nigdzie się nie wybiera, bo Parlament Europejski jest „cmentarzyskiem politycznych słoni", polityczną emeryturą. Co nie jest prawdą, bo PE gra dziś naprawdę dużą rolę. Poza Sienkiewiczem z rządu ewakuują się ministrowie aktywów państwowych Borys Budka i spraw wewnętrznych Marcin Kierwiński. Coś się tam zatem stało. W mojej ocenie w kręgach rządzących narasta poczucie, że ta koalicja może nie przetrwać pełnych czterech lat, nie dotrwa do końca kadencji.

> Z rządu ewakuują się ministrowie Sienkiewicz, Budka i Kierwiński. Coś się tam zatem stało. W mojej ocenie w kręgach rządzących narasta poczucie, że ta koalicja może nie przetrwać pełnych czterech lat, nie dotrwa do końca kadencji

Na czym opiera pan ten wniosek?

Zobaczmy, ile napięć uruchomiła jedna porażka w wyborach samorządowych, zobaczmy, jak mało tam spójności programowej, pozytywnej oferty dla Polaków. Łączy ich wyłącznie niechęć do PiS.

To mimo wszystko silne spoiwo.

Zgoda, ale czy na tyle silne, by rządzić kilka lat? Czy da się zdławić oczekiwania i marzenia Polaków ciągłym szczuciem na PiS? Bardzo wątpię. Dziś Polacy wymagają więcej, za naszych czasów przyzwyczaili się, że rządzący realizują obietnicę, pchają polskie sprawy do przodu, rozpędzają inwestycje. To wszystko jest dziś negowane. Zauważmy, jak krótko trwał zachwyt sejmowym „Hołownia show". Było zabawnie, ale po chwili wyborcy pytają: OK, a gdzie konkrety? Plan dla Polski?

Dlatego Szymon Hołownia zmienia właśnie stanowisko wobec Centralnego Portu Komunikacyjnego, przy okazji bredząc o ogrodach botanicznych rozrywanych liniami kolejowymi?

Mamy do czynienia z ogromnym społecznym zrywem, który oczekuje rozwoju Polski, oczekuje poważnych i przyszłościowych inwestycji, takich jak CPK. Cały rząd zaplątał się w narracji, że wszystko, co proponowało PiS jest złe i natychmiast należy to skasować. Dziś boją się efektów swojej polityki i próbują jakoś wybrnąć. Brednie pokroju rozrywania miast i ogrodów botanicznych liniami kolejowymi, gigantyczne wywłaszczenia, gdzie przypomnę – nie było ani jednego takiego przypadku, i tym podobne bzdury mają im to ułatwić. Przyznanie, że PiS miało rację, nie przeszłoby marszałkowi Hołowni przez gardło.

Jak ten brak spójności obozu władzy i trzymanie wszystkiego wyłącznie na hasłach antypisowskich wpłynie na poziom jego brutalności? Mam obawy, iż dojdą do wniosku, że aby przetrwać, muszą wprowadzić jakiś „stan wojenny", zamykać bezprawnie w aresztach, prześladować, także niezależne media. Bo normalną rywalizację polityczną przegrają.

Mamy ciekawe relacje z tamtej strony, doniesienia o Tusku, który pogania mających wątpliwości ministrów, żeby działali jeszcze brutalniej, porzucili wszelkie przywiązanie do prawa i odrzucili każdy wyrzut sumienia. Do ministra Adama Bodnara miał mówić, że jak nie chce bezprawnie brutalnie przejmować prokuratury, to może sobie odejść. Te opisy publikują bliskie władzy media, zapewne po to, by cały ich obóz polityczny dowiedział się, jak brutalnie i bezprawnie trzeba działać. Zwróćmy jednak uwagę, że nawet panowie Joński i Szczerba, szefowie rzekomo najważniejszych komisji śledczych, startują do PE.

Dlaczego?

Też chyba widzą, że opinia publiczna zaczyna mieć dość tych spektakli, które kompromitują jak na razie głównie śledczych, a niczego na PiS

eprasa.pl 84b1c1dbc7

nie znalazły. Bo i nic tam nie ma. Nie było władzy równie kontrolowanej jak nasza – co złego zrobiliśmy, a błędy zawsze się zdarzają, dawno jest znane opinii publicznej. Twardy, ośmiogwiazdkowy elektorat dalej domaga się politycznej pisowskiej krwi, ale wyborcy umiarkowani, którzy zwykle decydują o wyniku wyborów, zaczynają rozumieć, iż to są igrzyska mające odciągnąć uwagę od spraw najważniejszych i obietnic wyborczych.

Wyborcy potraktowali je serio? Tusk nie jest raczej znany z dotrzymywania słowa.

Część wyborców o tym zapomniało, inni są za młodzi, by pamiętać tamte lata. Pamiętajmy, że po pandemii, przy putinflacji, te rzucane szerokim gestem obietnice niektórych uwiodły. Miała być kwota wolna od podatku, paliwo po 5,19 zł, rachunki za gaz mniejsze o połowę, akademiki za złotówkę. Dziś widać, że było to największe oszustwo wyborcze w historii wolnej Polski. Nagle twierdzą, że na nic nie ma pieniędzy, choć budżet zostawiliśmy w doskonałym stanie.

Sztabowcy PO chyba uznali, że czas wyciągnąć temat tragedii smoleńskiej. Jak pan ocenia zapowiedzi, że pomnik ofiar 10 kwietnia 2010 r. stojący na pl. Piłsudskiego w Warszawie może zostać usunięty?

Granie największą tragedią w historii współczesnej Polski przez Tuska to zwykła prowokacja i próba wywołania wielu negatywnych emocji, które mają przykryć nieudolność rządów koalicji 13 grudnia. Obserwujemy skandaliczne zachowania podczas każdej miesięcznicy, ruszenie miejsca pamięci ofiar 10 kwietnia czy wniosek o uchylenie immunitetu prezesa Jarosława Kaczyńskiego to kolejne etapy nagonki na ludzi wspominających tragicznie utraconych bliskich.

Często pewnie słyszy pan od wyborców pytanie, czy to się tak musiało potoczyć? Czy mogliście utrzymać władzę?

Na pewno popełnialiśmy błędy, na pewno w momencie wyborów zbiegło się kilka niezależnych od nas niekorzystnych czynników, na pewno zderzyliśmy się z falą kłamstw i manipulacji w potężnej skali. Pamiętajmy jednak, że druga kadencja była obiektywnie bardzo ciężka, powiem nawet, że najtrudniejsza dla rządzących po 1989 r. Największy konflikt zbrojny na kontynencie europejskim

Fot. Andrzej Wiktor

po 1945 r., czyli napaść Rosji na Ukrainę. Towarzysząca temu wielka fala migracji – ponad 2 mln Ukraińców, którzy zostali przyjęci z otwartymi rękoma.

Choć po pewnym czasie na tym tle też pojawiło naturalne zmęczenie, znużenie, napięcia społeczne.

I Tusk też tym cynicznie zagrał. Wszystko to działo się tuż po pandemii, która bardzo zmęczyła społeczeństwa, zmuszała władze do wdrażania bardzo bolesnej polityki zamknięcia. Świetnie, że udało nam się w tym czasie utrzymać niski poziom bezrobocia, ale było to kosztem zwiększonej inflacji. Tych nieszczęść spadło na nas mnóstwo. Każde z nich osobno mogło obalić rząd. My przetrwaliśmy, realizując do tego w tym czasie ambitne projekty inwestycyjne, odbudowując armię. Wygraliśmy wybory, ale za słabo, by utrzymać władzę. Z dzisiejszej perspektywy uważam, że mogliśmy zdobyć o 3 lub 4 pp. więcej. Ale czy to by wystarczyło do utrzymania władzy – nie wiem.

Może z Konfederacją?

Wtedy ta formacja nie była gotowa do podjęcia odpowiedzialności za Polskę wspólnie z nami, bo sądziła, że jak my przegramy, to nadejdzie jej czas. Nic na to nie wskazuje. Tak naprawdę mamy tam cztery bardzo różne partie, co bardzo utrudnia jakieś poważne rozmowy.

Sama kampania mogła być poprowadzona inaczej?

Jej kształt wynikał z bardzo dogłębnych badań i w mojej ocenie był dobry. Rozumiem tęsknotę wielu za wyłącznie pozytywnym przekazem, ale to było niemożliwe – atak ze strony Tuska był za silny, za brutalny, to by nas zdemolowało. Gdy tak to było prowadzone, rosła Konfederacja, a nam groziło spadnięcie na drugie miejsce. Bardzo nam zaszkodziła tzw. afera wizowa, kompletnie wymyślona, operująca kłamstwami o jakichś setkach tysięcy wiz rozdanych nielegalnie. Dziś nawet ludzie tej władzy przyznają, że to były kłamstwa, że nikt nie sprzedawał polskich wiz na straganach w Afryce, że doszło do może 300 przypadków nielegalnego przyspieszenia miejsca w kolejce po wizę, a aferę wykryły służby państwowe kierowane przez polityków PiS.

Można było lepiej zareagować na te zarzuty?

Można było, niestety jako sztabowcy mieliśmy tu bardzo ograniczone możliwości działania, nie dostaliśmy odpowiednich informacji, które pozwoliłyby odpowiednio zareagować. O sprawie należało też poinformować wcześniej, a nie tuż przed wyborami. Czasu nie cofniemy, trzeba wyciągać wnioski. I warto pamiętać, że za nami okres wielkich sukcesów. Prawica nigdy nie rządziła tak długo, osiem pełnych lat. Nikt przed nami tak mocno, pozytywne nie zmienił Polski i jakości życia Polaków. To wielki kapitał, który będzie procentował. Wrócimy do władzy, będziemy kontynuowali ten dobry kurs, a wszyscy, którzy dziś łamią prawo, zostaną pociągnięci do odpowiedzialności.

eprasa.pl 84b1c1dbc7

STANISŁAW JANECKI

Fiasko wielkiej ucieczki

Obozowi władzy nie udało się zrealizować zapowiadanych działań na pierwsze 100 dni rządów. Barwna koalicja nie ma też pomysłu ani na rekonstrukcję gabinetu premiera, ani na kampanię europejską

Gdy koledzy pytali, dlaczego trzech konstytucyjnych ministrów rządu Donalda Tuska „wybrało wolność na Zachodzie", tylko pozornie było to zabawne nawiązanie do „ucieczek na Zachód" w czasach PRL – mówi się na zapleczu premiera. Od razu znaleźli się tacy, którzy jako pierwsi chcieli donieść Donaldowi Tuskowi, że w takich kategoriach opowiada się o wyjściu z jego rządu. Bo przecież to sugerowało, że gabinet Tuska był swego rodzaju obozem, a chęć „ucieczki" z niego była silniejsza od marzeń o tym, żeby w nim pozostać. Jedynym, któremu sam premier obiecał „zwolnienie z obozu", był Bartłomiej Sienkiewicz, pozostali sami chcieli dołączyć do „ucieczki".

Sam szef rządu miał być ponoć zaskoczony, że ten gabinet nie funkcjonuje jeszcze nawet pół roku, a już połowa ministrów chciałaby z niego zwiać. Tylko nie wszyscy odważyli się o tym mówić i nie wszyscy mieli możliwość przeprowadzki w tak dobre miejsce, jak Parlament Europejski, czyli do Brukseli i Strasburga.

Chęć zwiewania z rządu miała mocno poirytować Donalda Tuska, więc postanowił odwrócić znaczenie tego faktu i ogłosić rekonstrukcję, czyli zmiany w rządzie wynikające z jego woli, a nie będące skutkiem „wielkiej ucieczki". W tym kontekście jeszcze na kilka tygodni przed 9 czerwca 2024 r., czyli datą wyborów europejskich, zaczęto mówić o rekonstrukcji rządu jako decyzji właściwie niezależnej od „ucieczki" trzech konstytucyjnych ministrów i kilku innych polityków, ważnych dla rządzącego układu ze względu na specjalnie powierzone im zadania. Choćby takich, jak Dariusz Joński czy Michał Szczerba. I o ile Tusk był w stanie zgodzić się na „ucieczkę" kilku swoich zasłużonych ludzi, jak Marcin Kierwiński, Borys

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 84b1c1dbc7

Budka czy Bartłomiej Sienkiewicz, to już denerwowało go, że chcieli do nich dołączyć koalicjanci, m.in. Krzysztof Hetman (minister rozwoju) czy Czesław Siekierski (szef resortu rolnictwa).

Nawet w takiej wersji, że na pierwszym miejscu jest rekonstrukcja z woli premiera, a gdzieś daleko na horyzoncie wypełnienie luk po tych, którzy „uciekają na Zachód", nie było to dobrym komunikatem do opinii publicznej, że ktoś może być szczęśliwy nie z powodu zasiadania w rządzie Tuska, tylko z tego, iż z niego „ucieknie".

Minimalizując straty, Donald Tusk miał postanowić, żeby najbardziej bojowi czy też chlapiący na lewo i prawo politycy rządzącej koalicji przestali publicznie występować w czasie kampanii do europarlamentu albo – przede wszystkim w przypadku ministrów i wiceministrów – wypowiadali się wyłącznie w kwestiach dotyczących ich resortów, a nie ogólnie polityki. I od początku maja 2024 r. takie zakazy oraz nakazy miały być realizowane, ale zdarzył się incydent z dziwnym przemówieniem ministra Marcina Kierwińskiego podczas Dnia Strażaka i wszystko się posypało.

ZEPSUTY PLAN

Przez zamieszanie z Kierwińskim, bodaj najważniejszym „uciekinierem", bo nie tylko szefem MSWiA, lecz także sekretarzem generalnym Platformy Obywatelskiej, zamiast milczeć albo mówić o sprawach, które Koalicji Obywatelskiej w ogóle nie szkodzą, trzeba było się tłumaczyć. A sama rekonstrukcja rządu przebiegała w cieniu skandalu.

Oliwy do ognia regularnie dolewał Jacek Protasiewicz, obecnie w Trzeciej Drodze, ale wcześniej ważny polityk PO (szef struktur partyjnych na Dolnym Śląsku prowadzący w imieniu Donalda Tuska wojnę z Grzegorzem Schetyną, wiceprzewodniczący Parlamentu Europejskiego). Objawił się on w mediach społecznościowych nie tylko jako osoba znająca zwyczaje i obyczaje Marcina Kierwińskiego, lecz także partyjne tajemnice, ze szczególnie zastanawiającą kwestią „seryjnych samobójców", która w mediach społecznościowych zaczęła być interpretowana jako seria tajemniczych zgonów po katastrofie smoleńskiej. Protasiewicza ignorowano, Kierwiński straszył pozwami, ale to nie zmieniło fatalnej atmosfery, w której przebiegała rekonstrukcja rządu.

W obozie rządzącym głośno było o tym, że gdyby listy do europarlamentu nie zostały zamknięte, to chętnych do „ucieczki" byłoby jeszcze kilkunastu ważnych polityków. Donald Tusk jak zwykle się wściekł i miał wezwać Kierwińskiego na dywanik, sztorcując go przez ponad godzinę, ale herbata już się wylała. Przede wszystkim odchodzący z rządu szef MSWiA zepsuł zamiar odciągnięcia uwagi opinii publicznej od spraw i polityków rządzącej koalicji, w ramach którego miano tylko atakować PiS oraz Konfederację.

Plan był prosty: z debaty publicznej i kampanii wyborczej miały zniknąć problemy obozu rządzącego, a jedynym tematem miały być „antyeuropejskie" i „proputinowskie" wypowiedzi PiS oraz Konfederacji. Jako rozbijające jedność Unii (choćby przez sprzeciw wobec zmiany ustroju UE oraz wobec Zielonego Ładu), szczególnie w obliczu zagrożenia, a przez to ułatwiające Putinowi dzielnie Unii i rozbijanie skuteczności jej pomocy dla Ukrainy. W tej strasznej bajce (niczym ze zbioru braci Grimm) Viktor Orbán (premier Węgier), Marine Le Pen (poważna kandydatka na prezydenta Francji) i Matteo Salvini (wicepremier rządu Włoch) grają role największych sojuszników Putina, winnych za niedostateczną pomoc dla Ukrainy, w dodatku zamieniających w ich sojusznika także Prawo i Sprawiedliwość.

Plan był bardzo grubo ciosany kamienną siekierą, ale miał być skuteczny dzięki wielkiej przewadze medialnej obozu rządzącego. W mediach ta przewaga już zaczęła być wykorzystywana w ten sposób, że rządzący są przedstawiani jako zatroskani o Polskę i Polaków dobrzy gospodarze, zaś PiS jako aferzyści, złodzieje i stronnicy Putina (tu dołącza się jeszcze Konfederację). Z PiS i Konfederacją łączy się wszelkie zło, czemu mają służyć „materiały śledcze" publikowane w ostatnich tygodniach kampanii w TVN, TVP, TOK FM, „Gazecie Wyborczej", Onecie, OKO.press czy Wirtualnej Polsce.

ZMIANY, ZMIANY, ZMIANY

Plan Tuska był realizowany w ten sposób, że zamilkli (przynajmniej w stosunku do tego, co mówili wcześniej) szefowie dwóch sejmowych komisji śledczych – Dariusz Joński (przewodniczący komisji ds. wyborów korespondencyjnych) oraz Michał Szczerba (przewodniczący tzw. komisji wizowej). Przestał istnieć publicznie minister rozwoju i technologii Krzysztof Hetman z PSL. Nakaz milczenia i unikania mediów miał dostać obsadzany od kilku tygodni w roli następcy w resorcie Krzysztof Paszyk. Schowano wiceministra rolnictwa Michała Kołodziejczaka, choć nigdzie nie kandyduje. A to z tego powodu, że kwestie rolnictwa i związanego z nim częściowo Zielonego Ładu uznano za wodę na młyn obecnej opozycji, a Kołodziejczak tylko dostarczał jej paliwa. Głównie w związku z Zielonym Ładem i podwyżkami cen energii bardzo ograniczyła swoje występy minister klimatu Paulina Hennig-Kloska, typowana do wymiany praktycznie od początku urzędowania, choć liderzy Trzeciej Drogi deklarowali, że „po ich trupie". Sam schował się odchodzący minister aktywów państwowych Borys Budka. Podobnie jak obsadzana już w kwietniu 2024 r. w roli jego następczyni w resorcie Agnieszka Pomaska. Pod koniec kwietnia 2024 r. zamilkł też wiceminister aktywów państwowych Robert Kropiwnicki, żeby nie tracić szans na objęcie stanowiska po Budce mimo lepszych notować Pomaskiej u Donalda Tuska. Zakaz wypowiadania się o czymkolwiek innym poza sprawami dotyczącymi zdrowia i leków miała dostać minister zdrowia Izabela Leszczyna – żeby nie dostarczać pretekstów do atakowania rządu albo tłumaczenia się z czegokolwiek przez premiera.

Do zaleceń Tuska mieli się dostosować koalicjanci, np. kandydujący do Parlamentu Europejskiego Michał Kobosko z Polski 2050 oraz przewodniczący klubu parlamentarnego Polska 2050 Mirosław Suchoń. Zakaz wypowiadania się w innych sprawach niż europejskie miała dostać nawet Róża Thun, europosłanka Polski 2050, której wcześniej nikt nie był w stanie

eprasa.pl 84b1c1dbc7

opanować i pohamować. Kontrowersyjnych i zaczepnych wypowiedzi mieli unikać posłowie Nowej Lewicy Katarzyna Ueberhan, Marcin Kulasek (do rekonstrukcji wiceminister aktywów państwowych), Anna Maria Żukowska, Joanna Scheuring-Wielgus (do rekonstrukcji wiceminister kultury), Andrzej Szejna (wiceminister spraw zagranicznych), Maciej Konieczny, Wanda Nowicka, Krzysztof Śmiszek (do rekonstrukcji wiceminister sprawiedliwości), Anita Kucharska-Dziedzic. Mieli zakaz wszczynania takich awantur, jaka zaszła między europosłem Markiem Baltem a kandydującym do europarlamentu Maciejem Koniecznym. Balt nie kandyduje, a Konieczny ma się już nie zajmować jego przytykami. Nakaz milczenia otrzymała Wanda Nowicka, a jedynym wyłamującym się był Krzysztof Śmiszek, chroniony przez współprzewodniczącego Nowej Lewicy Roberta Biedronia. Pohamować swoje jadowite wypowiedzi miał nawet kandydujący z list Lewicy były premier Włodzimierz Cimoszewicz.

PISTOLETY I CIAMCIARAMCIE

Opornych lub kontestujących zalecenia premier Donald Tusk straszył „wielką rekonstrukcją", choć ci straszeni byli przekonani, że „wielka" być nie może. Po prostu szef rządu przyznałby wtedy, że albo kompletnie się nie zna na ludziach, z którymi chciał pracować, albo już nie jest w stanie ich kontrolować, albo nie osiągnął zakładanych celów, co można wprawdzie zwalić na podwładnych, ale o ich szefie mówi to jeszcze więcej. I nie jest to nic dobrego.

Marcin Kierwiński, Borys Budka czy Bartłomiej Sienkiewicz zorientowali się, że z czasem może być dla nich tylko gorzej. Odnieśli „sukcesy": udane polowanie ludzi Kierwińskiego na Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika, i to na terenie siedziby prezydenta RP; udane polowanie Budki na prezesa Orlenu Daniela Obajtka; zdobycie szturmem (dosłownie) przez ludzi Sienkiewicza mediów publicznych i osadzenie tam odpowiedników wojskowych komisarzy z czasów stanu wojennego. Tylko że te sukcesy są jednocześnie dowodami klęski, bo stanowią koronne argumenty przeciwko ich ojcom w przyszłych postępowaniach przed sądami powszechnymi i Trybunałem Stanu.

Niezależnie od nazwisk i pozycji osób, które weszły do rządu Tuska w ramach rekonstrukcji, „pistoletów" tam nie ma, brakuje nawet oddanych desperatów porównywalnych do Kierwińskiego czy Sienkiewicza. Tomasz Siemoniak to wręcz „ciamciaramcia", podobnie jak Czesław Mroczek, a Paweł Graś, którego znaczenie rośnie i będzie rosnąć ze względu na to, iż jest numerem jeden wśród najbardziej zaufanych, to raczej cynik i potajemny załatwiacz niż wykidajło działający na rympał. Wbrew pozorom Graś jest jedynym w otoczeniu premiera, gdy chodzi o ludzi, z którymi może on otwarcie „knuć" i „szczerze" omawiać najtajniejsze plany. „Niepowoływalny" na stanowiska, gdzie można dla pożytku Tuska używać różnych form siły czy wręcz przemocy, jest Roman Giertych, ale nie cieszy się on bezgranicznym zaufaniem obecnego premiera.

W deklaracjach wierności w ostatnich tygodniach przed rekonstrukcją wyróżniał się Paweł Kowal, ale jego polityczna ranga jest niewielka, a demonstrowany ostatnio arywizm wręcz odstręcza niektórych w obozie władzy. Ale prof. Kowal jest oczywiście użyteczny.

Rekonstrukcja Tuska ma tę podstawową wadę, że dokonała się bardzo szybko po utworzeniu rządu. To sprzyja ucieczce do przodu, ale jednocześnie jest dowodem słabości jego gabinetu. Rekonstrukcja wprawdzie zawsze daje nowy impuls, ale przeprowadzona tak szybko uniemożliwia skuteczne granie tym narzędziem w przyszłości, gdy może być dużo potrzebniejsze niż obecnie. W dodatku Tusk musiał ją zrobić ze względu na to, co funkcjonuje poza nim i jego wolą, a to sprawia, że rekonstrukcja traci swą moc odstraszającą i dyscyplinującą.

W resortach mówi się: no dobrze, premier postraszył, ale właściwie to nie ma się czego bać, bo jego możliwości są ograniczone. Tym bardziej że jest szefem rządu koalicyjnego. Gdy „życzliwi" podpowiadali Tuskowi, żeby dał nauczkę Nowej Lewicy i ograniczył jest stan posiadania (ma 4 ministrów oraz 17 wiceministrów), okazało się to dużo bardziej skomplikowane, niż sądzono. Tusk już wcześniej chciał wyrzucić Lewicę z koalicji, przejmując jej kilkunastu posłów, ale wbrew wstępnemu porozumieniu, potem jednak potencjalni renegaci się wycofywali. W rządzącej koalicji panuje zgoda, że nie ma alternatywy poza współpracą, ale jednocześnie nie ma też właściwie możliwości dyskryminowania któregoś z koalicjantów czy przykręcania mu śruby.

Tusk miał do wyboru: zagranie va banque i demonstrację siły albo zwykłe łatanie dziur. Tyle że to pierwsze oznaczałoby wielką awanturę na cztery tygodnie przed europejskimi wyborami, co mogłoby pogrzebać szanse wielu kandydatów. Wybory europejskie mogą więc być wygodnym wytłumaczeniem wersji łatania dziur w imię wyższego dobra. Nie zmienia to jednak dość powszechnego przekonania, że rząd Donalda Tuska się sypie, i to w tempie, jakiego mało kto się spodziewał.

Rząd Donalda Tuska się sypie, i to w tempie, jakiego mało kto się spodziewał. Jako premier miał do wyboru: zagranie va banque i demonstrację siły albo zwykłe łatanie dziur. Tyle że to pierwsze oznaczałoby wielką awanturę na cztery tygodnie przed europejskimi wyborami, co mogłoby pogrzebać szanse wielu kandydatów

eprasa.pl 84b1c1dbc7

MAREK BUDZISZ

Interwencja państw NATO na Ukrainie?

Póki co pomysł wysłania zachodnich wojsk na Ukrainę jest wyłącznie narzędziem gry politycznej. To dyplomatyczna presja, która ma zmusić Rosję do podjęcia rozmów pokojowych. Ale jeśli dyplomacja zawiedzie, a sytuacja armii ukraińskiej bardzo się pogorszy, to prawdopodobieństwo bezpośredniego wejścia żołnierzy z państw NATO na Ukrainę znacznie wzrośnie

Ingrida Šimonytė, premier Litwy, powiedziała w rozmowie z dziennikiem „The Financial Times", że jej rząd rozważa wysłania wojska „na ćwiczenia" na teren Ukrainy. Parlament wyraził na to zgodę, ostatnią przeszkodą jest brak oficjalnej prośby Kijowa w tej sprawie. Jak zauważyła, ma świadomość, że krok ten zostanie odczytany na Kremlu w kategoriach prowokacji, ale jej zdaniem „gdybyśmy myśleli tylko o reakcji Rosji, nie bylibyśmy w stanie nic wysłać". Litewska premier nie obawia się też nuklearnych pogróżek Moskwy, które ostatnio uległy nasileniu po tym, jak Putin wydał rozkaz rozpoczęcia ćwiczeń oddziałów obsługujących taktyczną broń jądrową. Poproszona o komentarz w tej sprawie Šimonytė odparła, że „co drugi tydzień słyszy" o groźbie ataku jądrowego i te zapowiedzi nie robią na niej już wrażenia.

Czy deklaracje szefa litewskiego rządu wskazują na to, że bezpośrednie zaangażowanie państw NATO w ukraiński konflikt to kwestia czasu, na dodatek nieodległego?

„NATO nie ma zamiaru wysłać wojsk na Ukrainę. Kijów o to nie poprosił" – powiedział w tym samym czasie po rozmowach z premier Włoch Jens Stoltenberg, sekretarz generalny NATO, dodając przy tym, że kiedy był niedawno w stolicy Ukrainy, jedyne prośby, jakie słyszał, dotyczyły większych dostaw sprzętu i amunicji.

O oficjalnej prośbie Kijowa jako warunku koniecznym do ewentualnego wysłania żołnierzy z państw sojuszniczych mówił też w ostatnim wywiadzie dla tygodnika „The Economist" prezydent Emmanuel Macron, wielokrotnie deklarujący w ostatnich miesiącach, że „nie należy odrzucać" scenariusza wysłania żołnierzy. Jednak jak wynika z wypowiedzi prezydenta Francji, stanowisko NATO w tej kwestii nie ma nic do rzeczy, bo decyzje będzie podejmował każdy rząd

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 84b1c1dbc7

na własną odpowiedzialność, a o tym, co mogą robić żołnierze dyslokowani na Ukrainę, przesądzą bilateralne umowy, negocjowane w trybie indywidualnym.

Mimo to europejska prasa spekuluje, że powstała grupa państw popierających wysłanie żołnierzy, do której oprócz Francji zalicza się Bałtów i Polskę. O tym, że Warszawa też poważnie rozważa tego rodzaju opcję, miałyby świadczyć słowa ministra Sikorskiego opowiadającego się za polityką „strategicznej ambiwalencji", czyli za podjęciem takich kroków, by Putin nie wiedział, co Zachód chce zrobić i pod wpływem tych wątpliwości zrewidował swój dotychczasowy plan działania.

KONIECZNE WSPARCIE

O co chodzi w dyskusji, która już od końca lutego, czyli od momentu, kiedy premier Słowacji Robert Fico po raz pierwszy wspomniał publicznie o planach wysłania wojska na Ukrainę, trwa w gabinetach europejskich polityków i w coraz większym stopniu zaczyna intrygować opinię publiczną? Gra, która się toczy, jest wielowymiarowa i niekoniecznie związana z fizyczną dyslokacją żołnierzy z państw NATO, choć takiej opcji nie należy odrzucać.

Zacznijmy od wymiaru militarnego. Macron, najgłośniejszy orędownik takiej polityki, mówił, że drugim z warunków, które muszą być spełnione, aby wysłać żołnierzy, jest załamywanie się siły ukraińskiego oporu. Jeśli Rosjanie, którzy ostatnio przesunęli linię frontu w tempie najszybszym od wiosny 2022 r., przejdą do zapowiadanej na miesiące letniej ofensywy, a linie obrony nie wytrzymają presji, to wówczas sytuacja strategiczna Ukrainy może pogorszyć się na tyle, że trzeba będzie przyjść w sukurs walczącym. Mark T. Kimmitt, generał brygady amerykańskich sił zbrojnych, w przeszłości pełniący też funkcję zastępcy szefa Departamentu Stanu, napisał w „Politico", że „sama pomoc w sprzęcie i amunicji" może nie wystarczyć, bo Putin ma obecnie przewagę i perspektywa przegrania przez Ukrainę wojny jest realna. W jego opinii, aby odwrócić niekorzystny bieg wydarzeń, potrzebne są daleko idące działania.

Po pierwsze, państwa Zachodu muszą zdjąć ograniczenia, jeśli chodzi o użycie broni dostarczanej na Ukrainę. Do tej pory oficjalnie zrobiła to Wielka Brytania, wywołując wściekłą reakcję Kremla. Lord Cameron, kierujący brytyjskim resortem spraw zagranicznych, oświadczył, że Londyn zniósł wcześniejsze zakazy i teraz Kijów może przy użyciu dostarczonych mu rakiet Storm Shadow atakować cele znajdujące się na terenie Federacji Rosyjskiej, a nie wyłącznie na obszarach uznawanych w świetle prawa międzynarodowego za część Ukrainy. W odpowiedzi Maria Zacharowa, rzeczniczka rosyjskiego MSZ, zagroziła, że Kreml uzna za uprawnione atakowanie brytyjskich celów nawet z użyciem broni jądrowej. Nawiasem mówiąc, oświadczenie Camerona, które z pewnością ma potencjał eskalacyjny nie mniejszy niż deklaracje Macrona na temat wysłania wojska, nie wywołało takich emocji jak wypowiedzi francuskiego prezydenta.

> Zarówno Wielka Brytania, jak i Francja opowiadają się za bardziej zdecydowanymi krokami wspierającymi Ukrainę. Natomiast Waszyngton, nadal obawiając się eskalacji konfliktu ze strony Rosji, jest zwolennikiem ostrożniejszej polityki

Wracając jednak do warunków powstrzymania przez Kijów rosnącej presji Rosjan, o których pisał Kimmitt, to do dwóch pozostałych zaliczył on zwiększenie skali dostaw, a także przekazanie systemów, których Ukraina do tej pory nie otrzymuje, oraz większą aktywność amerykańskiej dyplomacji na rzecz utrzymania jedności politycznej Zachodu.

NIESKUTECZNA STRATEGIA WASZYNGTONU

Ta ostatnia kwestia z pewnością jest jednym z elementów brytyjsko-francuskiej gry, w której argumentami są deklaracje Macrona o wysłaniu wojska i Camerona o atakowaniu celów w Rosji. Tom Rogan, komentator wojskowy brytyjskiego „The Telegraph", napisał, z czym trudno się nie zgodzić, że „narastają różnice między Londynem a Waszyngtonem w kwestii strategii wobec Ukrainy". W jego opinii europejskie mocarstwa, zarówno Wielka Brytania, jak i Francja, opowiadają się za bardziej zdecydowanymi krokami, a Waszyngton, nadal obawiając się eskalacji ze strony Rosji, jest zwolennikiem ostrożniejszej polityki. Przed jubileuszowym szczytem w stolicy USA zwolennicy większego zaangażowania wywierają presję na administrację Bidena, aby ta skorygowała swoją strategię (jej jądrem jest deklaracja o niewysyłaniu wojska na Ukrainę i unikaniu atakowania celów w Rosji, bo to mogłoby prowadzić do „rozlania się wojny" i bezpośredniego zaangażowania). Jeśli teraz, na poziomie retorycznym, amerykańscy sojusznicy z Francji i Wielkiej Brytanii mówią, że i tak rozpatrują scenariusz wysłania własnych oddziałów z pomocą Ukrainie i rakietowych uderzeń na cele w Federacji Rosyjskiej, to może się okazać, że strategia Waszyngtonu okaże się nieskuteczna, bo w efekcie tych działań NATO i tak może się znaleźć w wojnie z Rosją. A to powinno skłonić Amerykanów do korekty dotychczasowej, zdaniem Europejczyków, zbyt ostrożnej linii.

PRESJA FRANCJI

Ale w tej grze chodzi również o coś znacznie poważniejszego – przyszłość Europy. Deklaracje Emmanuela Macrona w kwestii wysłania wojska na Ukrainę miały miejsce przed zapowiedzianą już od dawna wizytą Xi Jinpinga w Paryżu. W jej toku francuski prezydent zaproponował, aby na czas igrzysk ogłosić „rozejm olimpijski". Chiński przywódca werbalnie poparł tę propozycję, jednocześnie podkreśla-

eprasa.pl 84b1c1dbc7

jąc, że Pekin nie pomaga Rosji w kontynuowaniu wojny, jest neutralny wobec konfliktu, a mówienie o konieczności „skracania łańcuchów zaopatrzenia" to przejaw myślenia zimnowojennego. Amerykanie uważają inaczej.

Kurt Campbell, architekt polityki Waszyngtonu wobec Chin, powiedział nawet niedawno, że w obliczu narastającej pomocy Pekinu dla Moskwy „nie będziemy siedzieć z założonymi rękoma". Na czym polega w tym przypadku gra Macrona? Otóż mówiąc o scenariuszu zaangażowania wojskowego na Ukrainie w sposób jednoznaczny, sugeruje on, że sytuacja może się zaostrzyć, jeśli Rosja nie skoryguje swej polityki i nie zgodzi się na rozmowy pokojowe. Wówczas zwycięży „myślenie zimnowojenne", Europa zbliży się do Stanów Zjednoczonych i w efekcie z powodów bezpieczeństwa ograniczać zacznie współpracę gospodarczą z Chinami, tym bardziej jeśli Pekin nadal będzie handlował z Moskwą. A zatem również w interesie Chin jest uniknięcie eskalacji, co w praktyce jest możliwe tylko wtedy, gdy Pekin zdecyduje się na wywarcie presji na Moskwę, aby Putin nie myślał o zwycięstwie na polu boju ani pokoju na własnych warunkach.

Deklaracje Macrona są również czytelne dla Waszyngtonu. Jeśli Europa we współpracy z Pekinem byłaby w stanie wynegocjować akceptowalne zakończenie wojny, to ziściłby się sen francuskiego prezydenta o „suwerenności strategicznej" naszego kontynentu. Nie oznacza ona wyłącznie zdolności wojskowych, choć Francja jest również orędownikiem ich rozbudowy, ale przede wszystkim możliwości kształtowania sytuacji strategicznej na obrzeżach kontynentu, w swoim bezpośrednim otoczeniu.

Takie francusko-chińskie doraźne porozumienie, dzięki któremu można byłoby zainicjować proces pokojowy, a potem gwarantować jego trwałość, zasadniczo mogłoby zmienić sytuację geostrategiczną Europy. Już w 2022 r., kiedy pojawiły się pierwsze głosy na temat scenariusza „zamrożenia wojny" na wzór sytuacji w Korei, orędownicy takiego rozwiązania argumentowali, że jego przyjęcie oznacza wysłanie kontyngentu wojskowego, najlepiej międzynarodowego, na Ukrainę. Wówczas mowa była o wiodącej roli Indii w tym procesie. Emmanuel Macron był w Indiach pod koniec stycznia br. Warto przypomnieć, że jego pierwsze wypowiedzi w sprawie „scenariusza" zakładającego wysłanie kontyngentu wojskowego na Ukrainę miały miejsce miesiąc później. Przypadek? Wątpliwe.

Paryż ma też świadomość, że sukces jego projektów zakończenia wojny na Ukrainie w połączeniu z rosnącą rolą czynnika wojskowego w Europie i elastycznością dyplomatyczną może dać Francji rolę faktycznego przywódcy kontynentu w nowych czasach. Państwa, którego gospodarka i stan finansów publicznych może nie predestynują do przywódczej roli, ale za to armia, potencjał jądrowy i odwaga w myśleniu dają oczywistą przewagę.

Wydaje się, że Niemcy podobnie odczytują propozycje Macrona i dlatego Friedrich Merz, który niedawno został ponownie wybrany olbrzymią większością głosów (90 proc. delegatów) na stanowisko szefa CDU i ma największe szanse tworzyć rząd Niemiec po przyszłorocznych wyborach, po kongresie swej partii nieoczekiwanie oświadczył, że „nie zrobiliśmy wystarczająco dużo", aby udaremnić wyjście Wielkiej Brytanii z Unii. Ten krok zmienił układ sił we Wspólnocie, powodując, że Berlin ma dziś problem w równoważeniu impetu Francuzów. Nawet na wschodniej flance NATO Niemcy mogą liczyć wyłącznie na posłuszny im gabinet Tuska, w sytuacji gdy Bałtowie i Rumunii prezentują bardziej profrancuskie stanowisko, nie mówiąc już o postawie Włoch czy Hiszpanii.

ODEBRAĆ ROSJI PRZEWAGĘ

Póki co pomysł wysłania wojska na Ukrainę jest wyłącznie narzędziem gry politycznej, a także komunikacji strategicznej. Macron składa tego rodzaju deklaracje po to, aby, jak sam mówi, pozbawić Putina jego strategii zwycięstwa. Zakłada ona, że czas gra na rzecz Rosji, która ma większy potencjał demograficzny i gospodarczy niż Ukraina, co oznacza, że wojna na wyniszczenie wzmacnia pozycję Moskwy. W świetle tej strategii Zachód, jeśli odrzuci bezpośrednie zaangażowania w konflikt, będzie zmuszony uznać porażkę lub wcześniej „znudzi" się pomaganiem Kijowowi, bo koszty tego wsparcia będą zbyt wielkie nawet jak na zamożną Europę. Jeśli jednak poważnie brać pod uwagę scenariusz, w którym rosyjskie postępy na froncie przyspieszą i spowodują wejście do konfliktu państw NATO, wówczas ta kalkulacja jest nieprawidłowa. Zaangażowanie Zachodu w wojnę oznacza, nawet jeśli udział sił zbrojnych miałby przypominać wojną Francji i Wielkiej Brytanii z Niemcami w 1939 r. i na początku 1940 r., że kalkulacje strategiczne Putina legną w gruzach. Wówczas należy porównywać połączone potencjały Ukrainy i czynnie wspierających Kijów państw Zachodu z możliwościami Rosji, co wskazuje na to, iż wojna na wyniszczenie nie jest dla Putina żadną opcją, bo Federacja taki konflikt przegra. Chyba że Moskale odwołaliby się do swego potencjału nuklearnego, co właśnie robią. Nie po to, aby go używać, ale by zastraszyć i zablokować niekorzystny dla siebie scenariusz. Deklaracje premier Šimonytė mogą jednak świadczyć, że i ta opcja nie gwarantuje Rosjanom sukcesu.

Xi Jinping, choć w Paryżu poparł propozycję „olimpijskiego rozejmu", zdaniem analityków nie sygnalizuje gotowości wywarcia presji na Putinie, aby ten usiadł do stołu rokowań. Sprawy nie są jeszcze zamknięte, choć zaplanowana na czerwiec w Szwajcarii konferencja pokojowa zapewne zakończy się fiaskiem, bo Pekin stoi na stanowisku, że jej agendę winny zaakceptować obie strony konfliktu, a delegacja Rosji nie została zaproszona na rozmowy. Nie zmienia to jednak faktu, że świat zaczął poszukiwać politycznego rozwiązania i myśleć o tym, jak zakończyć wojnę. Mówienie o gotowości wysłania własnych wojsk na Ukrainę jest elementem tej gry, deklarowaniem gotowości eskalacji i determinacji, aby nie dopuścić do niekorzystnego obrotu sytuacji. Może się zatem okazać, że gra dyplomatyczna doprowadzi do przełomu bez konieczności, jak to mówią Amerykanie, „boots on the ground", czyli wysyłania własnych żołnierzy. Należy jednak pamiętać też o tym, że jeśli dyplomacja zawiedzie, to wówczas w tej fazie wojny prawdopodobieństwo jej rozszerzenia, czyli bezpośredniego wejścia żołnierzy z państw NATO na Ukrainę, rośnie.

eprasa.pl 84b1c1dbc7

Quo vadis, Europo?

Po czerwcowych wyborach do europarlamentu europejska prawica, jeśli wzniesie się ponad podziały i uprzedzenia, po raz pierwszy od dekad ma szansę współdecydować o Unii Europejskiej

DARIUSZ MATUSZAK

To jedno z najbardziej pretensjonalnych i najczęściej fałszywych stwierdzeń, jakie można usłyszeć w debatach politycznych: „W każdym normalnym kraju to rząd podałby się do dymisji; minister zostałby odwołany...". Taka litania zależna od okoliczności. Niestety, ale początek tej frazy przychodzi na myśl, gdy przyjrzymy się Unii Europejskiej. W każdych normalnych okolicznościach politycy i partie, które doprowadziły do permanentnego kryzysu, w jakim tkwi UE, zostałyby na lata odsunięte od władzy. Czy chodzi o państwa jak Niemcy, Francja, czy ugrupowania polityczne jak Europejska Partia Ludowa i Partia Europejskich Socjalistów, które trwale rządzą w Brukseli, przywództwo tych bytów zostałoby zakwestionowane i odrzucone. Póki co tak się nie dzieje, a powinno. Ludy Europy są pogrążone w odrętwieniu intelektualnym, skoro pozwalają wciąż tym samym tworom wieść się na zgubę. Być może w czerwcowych wyborach do Parlamentu Europejskiego pojawi się szansa, by zejść z samobójczego kursu. Trzeba być ślepym albo zaślepionym, głuchym czy ogłuszonym, niemym albo oniemiałym, by nie zdawać sobie sprawy z dramatycznej sytuacji Europy, nie mówić o niej, nie chcieć jej zmienić. Najbardziej obiektywne są miary gospodarcze, więc to nimi najlepiej się posługiwać, pokazując, jak źle się dzieje w państwie brukselskim.

„STARA" UNIA ZASTYGŁA W ROZWOJU

Gdy w marcu 2000 r. przyjmowano tzw. strategię lizbońską, wieszczono, że do 2010 r. Unia będzie obszarem szybciej rozwijającym się i o wyższym PKB niż Stany Zjednoczone. Drugi cel na chwilę osiągnięto – po przyłączeniu w 2004 r. 10 krajów. Od tego czasu UE już tylko traci dystans. W 2023 r. PKB USA wyniosło ok. 26 bln dol., a Unii 16 bln dol. Gospodarka Ameryki jest o 60 proc. większa niż Europy. „Stara" Unia stała się jedynym obszarem świata, który niemal nie rozwija się gospodarczo. Siłą napędową Wspólnoty są tak naprawdę tylko nowe kraje członkowskie i dwa raje podatkowe: Irlandia i Luksemburg. W latach 2008–2022 PKB Francji spadło o 6 proc., Włoch o 17 proc., Hiszpanii o 14 proc. Mniejsze jest też PKB Grecji, Portugalii czy Finlandii. 15 zmarnowanych lat. Niemcy urosły w tym czasie o 8 proc, a Polska o 30 proc.

W 2007 r. PKB Szwajcarii było o 20 mld dol. wyższe niż Belgii. Dziś jest wyższe o ponad 200 mld dol., czyli mamy 801 mld dol. Szwajcarii vs. 594 mld dol. Belgii. Prawdziwą skalę zniszczeń dokonywanych w gospodarce przez Unię widać dopiero, gdy się policzy zakumulowane straty Belgów względem Szwajcarów w latach 2007–2022. Sięgają one 2,2 bln dol. Podobnie Szwecja: w 2007 r. PKB takie jak w Szwajcarii – 490 mld dol., a dziś o 165 mld dol. niższe. Bezrobocie wśród młodych ludzi (18–34 lata) w Grecji, Portugalii, Francji, Włoszech wynosi kilkanaście procent, w Hiszpanii sięga powyżej 30 proc. Dane Europejskiego Banku Rozwoju pokazują, że w krajach obecnej strefy euro wydajność pracy jeszcze w latach 70. rosła o ok. 7 proc. rocznie. Odkąd powstała UE, nie przekracza ona 1 proc. Dodajmy do tego zapaść demograficzną, permanentny kryzys społeczny i ten związany z imigracją, trwały kryzys energetyczny, który powoduje prawdziwy exodus firm produkcyjnych z Europy, a otrzymamy naprawdę ponury obraz Starego Kontynentu.

SZANSE PRAWICY

Jak powinien się więc zachować wyborca, widząc nie chwilowe niekorzystne zjawiska, ale trwałe tendencje i arogancję władców Unii, którzy chcą jeszcze więcej tego samego, co wiedzie ku katastrofie?

Fot. trabantos/Shutterstock.com

eprasa.pl 84b1c1dbc7

Europejski lud powinien w wyborach wywieźć na wozach gnoju brukselskie elity. Czy tak się stanie? Są na to szanse, a największym problemem zdają się być odwieczne podziały, ambicyjki i kłótnie o detale na prawicy. To one sprawiają, że w Europie mogą trwać mniejszościowe rządy lewicy – we Francji, Holandii, Belgii, Hiszpanii, ale po prawej stronie to właściwie zjawisko niespotykane. Wyjątkiem jest Szwecja, gdzie rządzi ciepła, bezpłciowa prawica.

Ostrożny w prognozach paneuropejski think tank European Council on Foreign Relations (ECFR) przewiduje zwycięstwo prawicowych, populistycznych partii aż w dziewięciu krajach – w Polsce, Francji, Czechach, Austrii, Słowacji, Belgii, Holandii, na Węgrzech i we Włoszech. W kolejnych dziewięciu prawica może zająć drugie miejsce, w niektórych przypadkach wystarczające, by zyskać ogromny wpływ na układy w UE. Chodzi o Niemcy (AfD), Bułgarię, Szwecję, Łotwę, Portugalię, Rumunię, Estonię, Hiszpanię i Finlandię. Na pierwszy rzut oka wygląda to imponująco. Gorzej, gdy się zagłębić i wziąć pod uwagę czynniki irracjonalne, takie jak wzajemne niechęci i rywalizację.

KTO Z KIM PRZECIWKO KOMU

Największe szanse na otwarcie okien w dusznych unijnych salonach, na spuszczenie zatęchłej wody z brukselskiego bagna – powtórzmy za Donaldem Trumpem: „drain the swamp" (osuszmy bagno) – mają Francuzi. To kraj z największą po Niemczech liczbą europosłów – 79. Tam też może dojść do przytłaczającego zwycięstwa prawicy. Wedle badań Portland Communications partia Marine Le Pen Zjednoczenie Narodowe w wyborach do europarlamentu może liczyć na 33 proc. głosów. Do tego 7 proc. może dołożyć narodowa, antyimigrancka partia Reconquete Erica Zemmoura i jej sojusznicy, jak Marion Marechal. Nazwa partii – Rekonkwista – wiele mówi o programie powstrzymania islamu i odzyskania Francji. Razem mają 40 proc., podczas gdy sondaże dają partii Emmanuela Macrona ledwie 13 proc.

Prawdziwym szokiem okazały się wyniki sondaży Ipsos dotyczące francuskich wyborów krajowych. Partia Le Pen z 278 deputowanymi w Zgromadzeniu Narodowym miałaby niemal bezwzględną większość. Na dodatek partie popierające obecne brukselskie układy są skłócone. Republikanie, choć wchodzą w skład EPL, zapowiadają, że nie poprą Ursuli von der Leyen w jej staraniach o drugą kadencję przewodniczącej Komisji Europejskiej.

Trzecim największym krajem Unii są Włochy i wedle wielu badaczy życia brukselskiego to pani premier tego kraju może się okazać największym zwycięzcą czerwcowych wyborów do europarlamentu. Liczba europosłów jej ugrupowania Bracia Włosi może wzrosnąć z 3 do 30 i stanowić o sile Europejskich Konserwatystów i Reformatorów, w skład których wchodzi również PiS. Niestety, bilans włoskiej prawicy może się niewiele poprawić, bo jednocześnie, według przewidywań, Liga Matteo Salviniego straci 20 mandatów z 29, które ma teraz. Jakkolwiek będzie, to Giorgia Meloni może zyskać siłę układania w Brukseli tego, kto z kim przeciwko komu. To u niej po poparcie będą antyszambrować władcy Unii. No cóż, im dłużej Włoszka jest premierem, tym ma większą skłonność do dogadywania się z brukselskimi elitami, o co oskarża ją m.in. Le Pen. To, co eurokracja postrzega jako wielką zaletę – oportunizm i kunktatorstwo, przekonanie, że można się dogadać z każdym – jest być może przyczyną odwiecznej niemocy prawicy w Brukseli. Ona zawsze przegrywa, gdy gra z lewicowymi oszustami, więc pani Meloni nie powinna z nimi siadać do stolika w stylu Ludwika XVI, tylko zdjąć pantofelek i walić nim w blat, jak Chruszczow w ONZ swym butem.

Włochy mają najczystszy, najoczywistszy interes w tym, by rozwalić Unię, a przynajmniej obalić jej ustrój i są w stanie zrobić to samodzielnie. Jeszcze w 1998 r., dwa lata przed przyjęciem euro, miały takie jak Niemcy PKB na mieszkańca, a więc i poziom życia, wyższą niż one wydajność pracy i nadwyżkę w handlu zagranicznym. Ale gdy weszło euro – mechanizm drenowania unijnych prowincji i plasowania w nich niemieckiego eksportu – skończyło się dolce vita. Wedle obliczeń niemieckiego Centrum Polityki Europejskiej Włochy na przyjęciu euro do 2017 r. straciły 4,3 bln euro, każdego mieszkańca słonecznej Italii kosztowało to 73,6 tys. euro. Aż strach pamiętać, co się działo w latach 2017–2023. Wspomnijmy tylko, że zadłużenie Włoch sięga 2,9 bln euro – ok. 145 proc. rocznego PKB.

eprasa.pl 84b1c1dbc7

Tu się więc nie ma co zastanawiać, tu się trzeba strzelać – by sparafrazować asp. Benka z policyjnego serialu „Pitbull". Włochy powinny obalić niszczący je ustrój Unii, dominującą siłę Niemiec. Tak naprawdę razem z Francją mogłyby zrobić w niej, co chcą, ale dwie panie Marine Le Pen i Giorgia Meloni się nie lubią i na to już nie ma żadnej siły.

„TAKA UNIA MUSI UMRZEĆ"

Na pewno nie pogodzą ich Niemcy, a już zwłaszcza jeden z liderów AfD, jej szef w Turyngii Björn Höcke, którego hasłem wyborczym jest rzucone na zjeździe partii w Magdeburgu zawołanie: „Taka Unia musi umrzeć, żeby prawdziwa Europa mogła żyć". Nie wszyscy w AfD (partia liczy na 20 mandatów w europarlamencie, teraz ma 10) są tak radykalnie racjonalni, choć nawoływanie do „demokratycznej" likwidacji UE jest powszechne. Partia domaga się też referendum w sprawie obecności w strefie euro. Połowa Niemców chce powrotu do marki. To piękne marzenia, oby się spełniły. Ewentualne opuszczenie strefy euro przez Niemcy oznaczałoby całkowity upadek tej waluty. Podobnie jak w przypadku Włoch. Aż dziwi, że Italia nie grozi tym Brukseli i Berlinowi.

Prawdziwie filmowa, pełna dramaturgii sytuacja jest w Belgii, podzielonej, ale sklejonej z Flandrii na północy i Walonii na południu. W środku flamandzkojęzycznej Flandrii leży enklawa Walonów – francuskojęzyczna, mniemana stolica Europy – Bruksela. W czerwcu Belgowie pójdą do podwójnych wyborów: europejskich i krajowych. Największe szanse na zwycięstwo w nich ma partia Vlaams Belang, która chce podziału kraju na Flandrię i Walonię. „Belgia jest małżeństwem z przymusu. Jeśli jedno z małżonków chce rozwodu, to powinno rozmawiać się o tym jak dorośli. Musimy dojść do uporządkowanego podziału kraju. Jeśli Walonowie nie siądą do rozmów, zrobimy to jednostronnie" – mówił „Politico" Tom Van Grieken, szef partii Vlaams Belang.

Nie będziemy się bawić w spekulacje, ale jakież to by było filmowe, gdyby pękło i rozpadło się samo serce Unii. To by było wielkie dzieło, na miarę dziejów starożytnych, jak z „Dziejów wojny żydowskiej przeciwko Rzymianom", które spisał Józef Flawiusz. Oto święte miasto Jerozolima: wewnętrzny okręg świątynny okupują powstańcy z frakcji Eleazara. Oblegają ich i walczą z nimi zajmujący okręg zewnętrzny i część Dolnego Miasta zeloci pod przywództwem Jana. Tych z kolei oblegają bojownicy Szymona, którzy opanowali Górne Miasto. Całą zaś Jerozolimę oblegają Rzymianie. Walonowie i Flamandowie nie chcą być jednym, ale Bruksela zmusi ich, by nim byli, podobnie jak my z Niemcami, Rumuni z Duńczykami. Bułgarzy ze Szwedami.

> Paneuropejski think tank European Council on Foreign Relations (ECFR) przewiduje, że w europejskich wyborach partie prawicowe i populistyczne wygrają aż w dziewięciu krajach, w tym w Polsce, Francji, Czechach, Austrii, Słowacji, Belgii, Holandii, na Węgrzech i we Włoszech

Separatyzmy rozsadzają także Hiszpanię. To właśnie separatyści wygrają wybory regionalne w Kraju Basków (gdy państwo to czytają, jest już po głosowaniu). Paradoksalnie w Hiszpanii silniejsza może być nawet proeuropejskość niż prohiszpańskość. Tam euroentuzjazm idzie w poprzek podziałów politycznych i dzielą go komuniści z Podemos, jak i prawica Vox. Ta druga partia ma jednak w sobie determinację do zmieniania UE zgodnie z konserwatywnymi wartościami, czego nie da się powiedzieć o niby-prawicowej Partii Ludowej. To jeden z bytów prawicowych tylko z nazwy. Ot, jak niemiecka CDU czy szwedzka Umiarkowana Patia Koalicyjna, rządząca tylko dzięki poparciu eurosceptycznych Szwedzkich Demokratów, którzy są drugą co do wielkości partią w Riksdagu i zamierzają podwoić swój stan posiadania w Parlamencie Europejskim do sześciu posłów. Ostania tragedia, która się wydarzyła w Szwecji – zastrzelenie Szweda pochodzenia polskiego na oczach syna przez młodocianych bandytów – sprzyja postawom antyunijnym i antyimigranckim.

Pokazaliśmy ledwie kilka z obrazków Europy, która w czerwcu idzie do wyborów. Gdy spojrzeć na chłodno na niepasujące do siebie elementy – sprzeczności, niechęci, rywalizacje, wykluczające się interesy – można dojść do wniosku, że twór taki jak Unia Europejska nie ma prawa istnieć. Wydaje się, że jak w nieznoszącym się małżeństwie scala je tylko pętla finansowa i otępienie wywołane nieustającą probrukselską propagandą. Trudno pojąć, co wstrzymuje ludy Francji czy Włoch przed radykalnymi działaniami wolnościowymi. Ambicje, odwaga, duma z własnego narodu zdają się być ciasne jak owa pętla, którą chciałyby tylko poluzować zamiast zerwać.

Mimo to prawica ma coraz większy, wciąż rosnący posłuch i pierwszą od dekad szansę, by stanowić o UE, a przynajmniej zatrzymać ją na drodze ku całkowitej katastrofie, do której prowadzi ją sojusz skorumpowanych elit i lewicy.

Czy prawicy uda się odnieść zwycięstwo w Europie i je skonsumować to oddzielna sprawa. Musiałaby wznieść się ponad doraźne interesy i uprzedzenia. Spójrzmy na Polskę. Tak naprawdę Zjednoczona Prawica przynajmniej w kilku okręgach powinna mieć wspólnych kandydatów z Konfederacją, tak by nie wykończyli się wzajemnie i nie sprawili, że w Brukseli znów będą posłować Sylwia Spurek, Róża Thun czy wypierający się polskości Łukasz Kohut. Konfederacja musi zrozumieć, że nie doczeka się trupa PiS, na którym urośnie jak na nawozie, a Prawo i Sprawiedliwość pojąć, że na prawo od niego istnieje coś więcej niż ściana. Inaczej Europę wciąż będą urządzać nam pogrobowcy komuny, jak Miller czy Cimoszewicz (może nie startują, ale idee Lenina są wiecznie żywe i przechodzą na kolejne pokolenia) albo tacy, jak Robert Biedroń, którzy nie odróżniają wolności od rozwiązłości.

eprasa.pl 84b1c1dbc7

Bez Giorgii ani rusz (o koalicyjnych grach w Unii Europejskiej)

Im bliżej terminu czerwcowych wyborów europejskich, tym mocniejsze spięcia między dwiema wielkimi europartiami: chadecką i socjalistyczną

JAN ROKITA

Coraz liczniej pojawiają się sygnały, że dominująca w Europie chadecka międzynarodówka EPL miałaby ochotę po tegorocznych wyborach zerwać wieloletni sojusz z socjalistami. Zaś w odwecie z międzynarodówki socjalistycznej S&D słychać coraz bardziej stanowcze głosy potępiające skłonności liderów chadecji do jakiegoś „odchylenia prawicowego", a ostatnio nawet wprost formułowane groźby odrzucenia chadeczki Ursuli von der Leyen jako kandydatki na szefową Komisji Europejskiej w kolejnej pięcioletniej kadencji.

To wyraźne naprężenie na linii EPL–S&D widać publicznie już od paru miesięcy, odkąd w lutym 2024 r. von der Leyen zasugerowała, iż w razie uzyskania nominacji od Rady Europejskiej mogłaby szukać politycznego poparcia wśród partii prawicowych. Ostatnio doszło do kolejnego spięcia przy okazji przedwyborczej debaty w Maastricht z udziałem kandydatów poszczególnych partii na przyszłego szefa Komisji (zwanych potocznie z niemiecka „szpicenkandydatami").

UMIZGI DO WŁOCHÓW

Z polskiej perspektywy cała rzecz jest interesująca w dwójnasób. Idzie bowiem nie tylko o ideologiczne ukierunkowanie przyszłej Komisji w sprawach takich, jak wojna na Wschodzie, migracje czy Zielony Ład, lecz także o polityczną rolę, jaką grać będą w Brukseli przez następnych pięć lat polscy prawicowi europosłowie. Obiektem umizgów ze strony EPL stała się bowiem międzynarodówka EKR (Konserwatyści i Reformatorzy), w której kluczową rolę odgrywają dwie partie krajowe: Bracia Włosi pod wodzą charyzmatycznej premier Giorgii Meloni oraz PiS. Jeśliby zatem von der Leyen po dość prawdopodobnej (choć bynajmniej nie absolutnie pewnej) nominacji na kandydatkę na kolejną kadencję faktycznie wszczęła po wyborach jakieś starania o poparcie na prawicy, to kłopot z politycznym usytuowaniem formacji Jarosława Kaczyńskiego wobec nowych władz Unii musiałby stanąć na europejskim porządku dziennym i tak czy inaczej zostać rozwiązany.

Kiedy w lutym von der Leyen, ubiegając się wówczas o przyznanie jej przez EPL roli „szpicenkandydata", mówiła o możliwości współpracy z EKR, dość obcesowo obwarowała to ideologicznymi warunkami, które ewidentnie miały brzmieć zaporowo wobec PiS. Mowa tam była wówczas, iż partnerami na prawicy mogą być tylko ugrupowania „proeuropejskie, pronatowskie, proukraińskie i wspierające nasze wartości demokratyczne". Von der Leyen stawiała pięć pytań, na które – jej zdaniem – „odpowiedzi musiałyby być bardzo jasne", wśród nich były i takie: „Czy jesteś za demokracją?" oraz: „Czy jesteś bardzo stanowczy w przestrzeganiu praworządności?".

Dobrze wiadomo, że w brukselskim ideologicznym żargonie tego rodzaju sloganów zawsze używano do piętnowania polskiej prawicy. Trudno zatem było traktować tę typową euronowomowę inaczej niźli jako próbę uspokojenia obaw wszystkich śmiertelnych wrogów PiS w szeregach samej chadeckiej międzynarodówki (z Platformą Tuska na czele), iż hipotetyczna współpraca z EKR mogłaby wiązać się ze zdjęciem odium izolacji nałożonego na polską prawicę.

Tyle tylko, że każdy rozumie, iż tego rodzaju „uspokojenie" jest mało logiczne. Opowieści o współpracy z EKR z wyłączeniem polskiej prawicy nie trzymają się kupy, zważywszy, że w obecnej kadencji PiS ze swoimi

eprasa.pl 84b1c1dbc7

27 europosłami jest hegemonem tej grupy, a będzie nim także zapewne po czerwcowych wyborach, dzieląc się co najwyżej ową hegemonią z rosnącą w siłę postfaszystowską partią włoskich Braci.

Chyba że poszukiwaniom jakiegoś zwrotu w prawo ze strony von der Leyen przyświeca skrywana intencja rozbicia międzynarodówki EKR przez wyciągnięcie z niej właśnie formacji Giorgii Meloni. Na taki plan wskazywałaby inna wypowiedź von der Leyen sprzed kilku miesięcy, gdy dociskana przez dziennikarza o jej przyszły stosunek do EKR odrzekła w końcu: „Ale nie wiemy przecież, jakie partie po wyborach opuszczą EKR i na przykład dołączą do EPL".

W ostatnich dniach cała sprawa nabrała aktualności, gdy 28 kwietnia, podczas oglądanej online przez ćwierć miliona Europejczyków debaty w Maastricht, von der Leyen (już jako oficjalny „szpicenkandydat" EPL) znów powróciła do zamysłu szukania w EKR głosów dla poparcia hipotetycznej przyszłej Komisji pod swoim przewodnictwem. Tym razem wyraziście zróżnicowała swoje podejście do dwóch odłamów prawicy w przyszłym Parlamencie Europejskim, wykluczając jakiekolwiek układy z nacjonalistyczną międzynarodówką ID (czyli francuską Le Pen, włoskim Salvinim i niemiecką AfD), zaś sojusz z EKR uzależniając ponownie od tego, „kto po wyborach znajdzie się w jakiej grupie". Gazeta „Politico", która była współorganizatorem debaty w Maastricht, zinterpretowała całość wywodów dotychczasowej szefowej Komisji jako jednoznaczne „otwarcie na porozumienie z grupą EKR [...], aby zapewnić sobie drugą kadencję na najwyższym stanowisku w Europie".

OBAWY SZPICENKANDYDATKI

Mogłoby z tego wynikać, że niemiecka szefowa Komisji obawia się o wynik głosowania w Parlamencie Europejskim, nawet jeśli jej kandydatura zostałaby zaakceptowana przez unijne rządy. Do uzyskania wotum zaufania von der Leyen będzie potrzebować bezwzględnej większości 353 na 705 europosłów. Jeśliby zatem założyć, że nowa większość w europarlamencie miałaby być politycznie tożsama z większością popierającą do tej pory Komisję pod wodzą von der Leyen, to nic nie wskazuje na to, aby mogły powstać jakieś kłopoty z wynikiem głosowania. Sondaże przedwyborcze dają bowiem dotychczasowej czwórpartyjnej koalicji (chadecy-socjaliści-liberałowie-zieloni) wyraźną przewagę znacznie ponad 400 mandatów. Jeśli zatem von der Leyen istotnie obawia się o wyniki głosowania, to są po temu tylko dwa wytłumaczenia. Albo przywództwo EPL nie chce już eurokoalicji z socjalistami, albo też zakłada, iż po wyborach mogą się oni zbiesić i odrzucić w głosowaniu kandydaturę von der Leyen.

Ten ostatni scenariusz ciągle zdaje się mało prawdopodobny. Od dłuższego czasu widać wyraźnie, że to właśnie międzynarodówka socjalistyczna naciska na to, aby była przez chadeków traktowana jako jedyny i najlepszy partner do współrządzenia Europą, z wykluczeniem i izolacją wszystkich partii prawicowych. Ostatnio jednak można odnieść wrażenie, że socjaliści są coraz bardziej oburzeni na swych chadeckich partnerów, iż ci albo grają wobec nich nieuczciwie, albo „zdradzają" wspólne wartości, albo w końcu kombinują, jakby zrobić po wyborach jakiś zwrot na prawo, a socjalistów zostawić na lodzie.

Nieuczciwą grę socjaliści zarzucili ostatnio EPL w związku z przewlekłym hiszpańskim kryzysem politycznym, bo, jak mówi sekretarz generalny S&D Włoch Giacomo Filibeck, chadecy wspierają tam ze wszystkich sił „faszystowską taktykę" obalenia premiera Sánchezа za pomocą brudnych intryg i pomówień skierowanych przeciw jego rodzinie. Nic dziwnego zresztą, że Madryt jest polem bitwy między chadekami i socjalistami, bo EPL zażarcie walczy, aby przed termi-

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 84b1c1dbc7

nem rozstrzygania w Radzie Europejskiej kwestii nowego szefostwa Unii wyrzucić ze składu Rady socjalistę Sáncheza i zastąpić go chadekiem Feijóo. W sytuacji, gdy spośród dużych państw unijnych EPL rządzi obecnie tylko w Polsce, dodanie do tego stanu posiadania Hiszpanii zasadniczo wzmacniałoby akcje von der Leyen.

Bardziej jednak prawdopodobne, iż to liderzy EPL kombinują, jakby trochę rozluźnić coraz bardziej uwierający ich uścisk z lewicą. Zwłaszcza konsekwentne doktrynerstwo socjalistów, gdy idzie o kształt Zielonego Ładu, ich negatywny stosunek do żądań farmerów, a także ideologiczne zacietrzewienie w kwestii praw imigrantów i polityki multikulti wywołuje wzmożone zniecierpliwienie chadeków. Chadecy chcieliby drastycznie uderzyć w imigrację, zrobić wielkie ustępstwa wobec wsi oraz odroczyć Zielony Ład, gdyż z powodu ideologicznego zacietrzewienia w tych kwestiach Komisji i Parlamentu Europejskiego partie ludowe należące do EPL przegrywają wybory. Ale takiej polityki nie da się prowadzić wespół z socjalistami.

Nic więc dziwnego, że już w 2023 r. szef EPL Manfred Weber domagał się wyraźnego zwrotu na prawo, oskarżając socjalistycznych członków Komisji (w szczególności komisarza Timmermansa), iż to ich fanatyzm sprowadził na Europę groźną falę rolniczych protestów i zamieszek.

Kiedy więc w Maastricht von der Leyen powróciła do idei współpracy z EKR, odzew socjalistów tym razem był wyjątkowo ostry. Deklaracja S&D, podpisana m.in. przez wściekłego na chadeków Sáncheza oraz Timmermansa, rozżalonego po odejściu z Komisji i przegraniu wyborów w Holandii, żąda od EPL „zdecydowanego odrzucenia jakiejkolwiek normalizacji, współpracy czy sojuszu ze skrajną prawicą". Zaś 4 maja w Berlinie „szpicenkandydat" lewicy Luksemburczyk Nicola Schmit krzyczał z trybuny wiecowej: „Jestem tu w Berlinie wspierany przez socjalistów z całej Europy, aby raz jeszcze zawołać: Żadnej współpracy ze skrajną prawicą!". A wiadomo, że w postępowym żargonie lewicy tym mianem określane są wszystkie partie zarówno z nacjonalistycznej międzynarodówki ID, jak i konserwatywnej EKR. Zwracając się wprost do chadeków, socjaliści ostrzegają ich, że „jeśli nas będziecie ignorować, to zrobicie to na własne ryzyko". Groźba związana z ewentualnym przyszłym głosowaniem nad von der Leyen po raz pierwszy jest tutaj jawna.

PLAN ROZBICIA EKR

Tak czy owak, jest całkiem jasne, że zarówno Weber, jak i von der Leyen będą w pierwszej kolejności próbować po wyborach rozbić międzynarodówkę EKR, wyprowadzając z niej Włochów Giorgii Meloni. Premier Włoch, jeszcze nie tak dawno publicznie traktowana jako „faszystka", jest dziś obiektem niezliczonych umizgów ze strony chadeckich polityków i liberalnych mediów.

Oczywiście głównym przegranym takiej akcji ma być PiS. Bez Meloni polska prawica pozostanie w asyście małych partyjek z różnych stron Europy, z których żadna (może poza czeskim ODS i hiszpańskim Voxem) nie odgrywa w swym kraju istotnej roli. Być może pozostanie jej sojusz z węgierskim Fideszem, ale w dzisiejszych okolicznościach powiększy to tylko skalę europejskiej izolacji. PiS stara się dotąd trzymać na dystans wobec nacjonalistycznej prawicy z Marine Le Pen na czele, ale samo jest trzymane na dystans przez wszystkie partie europejskiego centrolewu. Prawo i Sprawiedliwość pozbawione przyjaźni i sojuszu z Giorgią zostanie zepchnięte w Brukseli w ciasną polityczną niszę.

> Jest całkiem jasne, że zarówno Weber, jak i von der Leyen będą w pierwszej kolejności próbować po wyborach rozbić międzynarodówkę EKR, wyprowadzając z niej Włochów Giorgii Meloni

Dlatego trudno zrozumieć, z jakiego powodu Kaczyński zablokował w EKR plan wysunięcia przez tę grupę własnego „szpicenkandydata", czyli lidera listy, mającego być symbolicznym kandydatem na przyszłego szefa Komisji. W ten sposób EKR pozostała jedyną istotną międzynarodówką, która nie wysunęła własnego lidera listy.

Opór PiS ma zapewne swe źródło w pryncypialnym sprzeciwie wobec samego konceptu „europejskiej listy wyborczej", skoro i tak wybory europejskie mają w istocie głównie wymiar narodowy. To prawda, że owi „szpicenkandydaci" to w znacznym stopniu polityczna fikcja i można dać głowę, że Polacy głosujący w czerwcu – powiedzmy – na polską Lewicę nie będą mieć pojęcia, że ich „szpicenkandydatem" jest jakiś niemieckojęzyczny Luksemburczyk o nazwisku Schmit.

Jednak w niezbyt wygodnej sytuacji europejskiej, w jakiej znalazło się PiS, jego interesem jest na wszelkie sposoby kleić, a nie rozklejać koalicję i przyjaźń z Włochami. Premier Giorgia Meloni będzie w tych wyborach liderką wszystkich list wyborczych Braci Włochów, na co zezwala włoskie prawo wyborcze. A jej ideowa bliskość wobec PiS, powszechna rozpoznawalność i charyzmatyczny talent przywódczy to na tyle silne atuty, aby było ją warto mianować „szpicenkandydatem" całej listy EKR. Rzecz bowiem w tym, aby po czerwcowych wyborach Weber i von der Leyen mieli tylko jeden wybór na prawicy: albo rozmawiać o współpracy z Meloni i Kaczyńskim, albo z żadnym z nich. W tym drugim przypadku musieliby jednak nadal tkwić w ścisłym i coraz bardziej uwierającym ich uścisku z lewicą.

eprasa.pl 84b1c1dbc7

Zakazana teoria

„Oni nie uwierzą we własną śmierć nawet wtedy, gdy zostaną zabici" – mówi o społeczeństwach Zachodu Renaud Camus, popularyzator teorii wielkiej podmiany. Podkreśla, że to nie spisek, a obserwacja i straszny, złowieszczy fakt. Rację przyznaje mu 61 proc. Francuzów, choć nie wolno im na ten temat dyskutować. To współczesna myślozbrodnia

MACIEJ WALASZCZYK

Powielanie teorii wielkiej podmiany (The Great Replacement Theory) to politycznie niepoprawny występek. Narracja ta zakłada bowiem, że globalne elity sprzymierzyły się przeciwko białej, wciąż chrześcijańskiej cywilizacji Zachodu, aby zastąpić ją nową, zbudowaną na populacjach pozaeuropejskich, głównie muzułmańskich, z Afryki i Bliskiego Wschodu. Oczywiście poprzez masową imigrację, przy równoczesnym spadku urodzeń w Europie.

Większość pewnie w lot rozumie, o co chodzi. Sytuacja przypomina bowiem nieco dowcip z czasów późnego sowietyzmu: – Czy to prawda, że promieniowanie z Czarnobyla jest niebezpieczne? – Jeśli będziesz o tym mówił, to tak! W Polsce na szczęście wciąż możemy dyskutować dosyć swobodnie, ale jak długo? Na początku marca br. Volker Türk, wysoki komisarz Narodów Zjednoczonych ds. praw człowieka, wyraził zaniepokojenie „rosnącym wpływem teorii spiskowych dotyczących wielkiej podmiany w wielu krajach, w tym w Europie i Ameryce Północnej". A więc nie bombardowania Gazy, wojna i zbrodnie na Ukrainie, prześladowania w Birmie, ataki na chrześcijan, chiński totalitaryzm (o tym trochę mówił), ale powielana w sieci, opisywana w kilku trudno dostępnych książkach „myślozbrodnia" zagraża prawom człowieka? Komisarz sam chyba nie wyczuwa, że takie stawianie sprawy tylko potwierdza jej główne założenie.

NIE TEORIA, ALE OPIS

Narracja o wielkiej podmianie weszła do obiegu jakiś czas temu i narodziła się we Francji. Liberalna prasa doszukuje się jej rodowodu w politycznej gorączce III Republiki, u Maurice'a Barrèsa i jego koncepcji republikańskiego nacjonalizmu. Współcześnie w czasie ostatniej kampanii prezydenckiej próbował jej Éric Zemmour, deklarując, że jako prezydent chce odpowiedzieć na nawiedzający Francuzów lęk przed „wielkim zastąpieniem przez islamizację". „To nie jest fantazja, ani spisek, to dramat historyczny naszych czasów" – mówił licząc, że stanie się on centralnym tematem kampanii. Medialna maszyneria konsekwentnie ośmieszała to stwierdzenie jako prawicowe szaleństwo z dziedziny „politycznej literatury fantasy", piętnując za brak podstaw statystycznych czy biologiczny rasizm. Jednocześnie czujnie omijała tę narrację Marine Le Pen, choć nie unikał jej już sprzymierzony z nią były gaullista Nicolas Dupont-Aignan czy politycy Zjednoczenia Narodowego.

Jakiś czas temu burmistrz Béziers Robert Ménard również użył tego określenia, odnosząc się do dużej, bo sięgającej 69 proc. liczby muzułmańskich uczniów w jego mieście. Policja wszczęła śledztwo i dokonała przeszukań w merostwie, polując na nielegalne kartoteki etniczno-religijne. W konsekwencji sąd nałożył na niego grzywnę w wysokości 2 tys. euro za rozpowszechnianie „mowy nienawiści". We Francji od 1978 r. obowiązuje zakaz statystyk etnicznych i religijnych. Par. 226-19 ustawy o wolności informatycznej (CNIL) zakazuje ich gromadzenia pod groźbą 300 tys. euro grzywny i pięciu lat pozbawienia wolności.

„Poważni demografowie, tacy jak Michèle Tribalat, w ogóle nie odnoszą się do teorii wielkiej podmiany, ale ich prace pokrywają się ze stojącymi za nią intuicjami. Natomiast demografowie w służbie systemu, fałszerze rzeczywistości o łysenkowskim podejściu do statystyk, spędzają czas na kampaniach nienawiści i powielaniu dziesiątków artykułów i książek, żeby »udowodnić«, jak bardzo jest ona niepoważna" – wyjaśnia Adam Gwiazda, publicysta mieszkający we Francji, autor popularnego bloga Tweety znad Sekwany. Dodaje, że potem wprowadzono kilka kolejnych ustaw, np. o „przestępstwach z nienawiści", obejmujących imigrantów szczególną ochroną. Przejawia się ona w niepisanym, acz zupełnie realnym i odczuwalnym laksyzmie wymiaru sprawiedliwości wobec przestępczości imigranckiej. „Powoduje to jej faktyczną bezkarność, a resztki woli oporu ze strony autochtonów są skutecznie tłumione m.in. przez penalizację samoobrony" – dodaje publicysta.

Ale narracja rozlewa się też poza Europę. O wielkiej podmianie wspominał Viktor Orbán, a wspierający kampanię Donalda Trumpa Vivek Ramaswamy zupełnie niedawno stwierdził, że to nie teoria, ale ideologiczny fundament Partii Demokratycznej. Dziennikarz Tucker Carlson zarzucił Bidenowi, że wspierając masową emigrację, próbuje zastąpić obecny elektorat nowymi, bardziej posłusznymi wyborcami z Trzeciego Świata.

SOJUSZ LEWICY, KAPITAŁU I ISLAMU

Od lat 70. XX w. Bat Ye'or (Gisèle Littman-Orebi), brytyjska eseistka egipskiego pochodzenia, wylansowała zaczerpnięte z teologii islamskiej i szariatu pojęcie „dhimmi", stosowane przez arabsko-muzułmańskich zdobywców wobec sprowadzonej do roli służebnej, rdzennej ludności niemuzułmańskiej. Twierdzi, że celem europejskich elit, globalnych kapitalistów i lewicy jest zbudowanie Eurabii, oskarżając ich o antysyjonizm i uleganie światu islamskiemu w zamian za ekonomiczne profity. Wpłynęła na poglądy Oriany Fallaci, a także niemieckiego ekonomisty Thilo Sarrazina czy autora bestselerowych powieści Michela Houellebecqa. Autor „Uległości", przedstawiającej islamistyczny przewrót we Francji, inspirował się także rozmowami z Renaudem Camusem. To postać nietypowa dla prawicy: pisarz, filozof, raczej skłaniający się ku lewicy ekolog, gardzący antysemityzmem, autor aforystycznych tweetów i jednocześnie zadeklarowany homoseksualista i ateista. Ale Camus jest także francuskim patriotą przerażonym skutkami niekontrolowanej migracji.

Temat wielkiej podmiany przyszedł Camusowi do głowy ok. 1996 r., kiedy pisał przewodnik turystyczny dla departamentu Hérault. Zaszokowało go, że w tamtejszych średniowiecznych wioskach pojawiły się kobiety w hidżabach, a biali autochtoni wyprowadzają

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 84b1c1dbc7

się z miejsc opanowywanych przez ludność kolorową. Po raz pierwszy opisał to zjawisko w wydanym w 2010 r. „Elementarzu niewinności", rok później spopularyzował je w broszurze „Wielka podmiana", a potem w jeszcze kilku kolejnych filozoficzno-publicystycznych publikacjach. Opisuje on nie tylko spisek wąskiej elity przeciw białym Francuzom i Europejczykom, lecz także zastąpienie mężczyzny przez kobietę lub kobiety przez mężczyznę, człowieka przez smartfon, duszy przez maszynę, bytu poprzez posiadanie, życia przez syntetyzm czy piękna przez brzydotę, a w końcu wywłaszczenie zakorzenionego dotąd Europejczyka przez jego wykorzenionego sobowtóra. Używa przy tym pojęcia „ludobójstwo przez substytucję", w którym współczesny człowiek Zachodu zostaje najpierw przekształcony w pozbawionego swojego imienia, rodowodu i dziedzictwa, w końcu ojczystego języka, kultury, lojalności „absolutnego proletariusza", stając się z czasem przekształcanym w systemie edukacji, medialnej perswazji, biurokratycznych szykan i ciągłej konsumpcji człowiekiem-zamiennikiem.

Ten niszczący zakorzenienie globalny kapitalizm, jak pisze, produkuje „niezróżnicowaną materię ludzką, ludzką Nutellę, którą można smarować według własnego uznania". Nieustannie powtarza przy tym, że jego teoria nie dotyczy rasy, ale całej zachodniej cywilizacji. Dlatego forsowaną przez unijne elity politykę masowej imigracji określa jako największą zmianę dokonywaną na narodach i ich wartościach od czasu najazdów barbarzyńców w III w., które doprowadziły do upadku imperium zachodniorzymskiego.

„Wielka podmiana to straszny i złowieszczy fakt, a nie teoria" – podkreśla Camus. Jak dodaje Adam Gwiazda, nie chodzi tylko o to, że pierwotnie istniejące lokalne społeczeństwa i narody są zastępowane przez imigracyjne grupy społeczne, zmieniając tym samym krajobraz kulturowy i demograficzny kontynentu. „W szerszym kontekście zjawisko to obejmuje także zmiany społeczne czy antropologiczne, a nawet przemiany w sposobie myślenia o ludziach i ich roli w społeczeństwie" – wyjaśnia. Camus nazywa to wielką dekulturacją, a więc formą cywilizacyjnego samobójstwa, która dociera również do naszej części Europy. Naród zdekulturowany to taki, który nie wierzy, że jego kultura jest warta obrony, a wszyscy, którzy rzeczywiście się przed tym bronią, ryzykują, że zostaną zepchnięci na margines jako rasiści. Europejczycy odwrócili się plecami od własnej kultury, znienawidzili ją, wykpili i w końcu o niej zapomnieli. Jak twierdzi Camus, nauczyła ich tego lewicowa ideologia w szkołach, liberalne media propagujące wielokulturowość, a także konsumpcjonizm, globalizm gospodarczy i triumf technologii.

> Teoria wielkiej podmiany zakłada, że globalne elity sprzymierzyły się przeciwko białej, wciąż chrześcijańskiej cywilizacji Zachodu, aby zastąpić ją nową, zbudowaną na populacjach pozaeuropejskich, głównie muzułmańskich, z Afryki i Bliskiego Wschodu

Z tych samych powodów dzieje się to także w Stanach Zjednoczonych. Dlatego, jak tłumaczy Camus, wielka podmiana jawi się jako „cnotliwa synteza wielkich współczesnych totalitaryzmów". Nie wolno lub nie wypada na ten temat dyskutować, zjawisko „globalnego negacjonizmu" tworzy w świadomości ludzi fałszywą „rzeczywistość", ale, co optymistyczne, na tyle kruchą, że jak w przypadku późnego Związku Sowieckiego może się ona zawalić w wyniku zderzenia z prawdą. „Konstatacje Camusa zdają się być zabójcze dla liberalnej demokracji" – przyznaje Adam Gwiazda.

ZABÓJCZE „PRAWA CZŁOWIEKA"

Mechanizm imigracji kolonizacyjnej został uruchomiony decyzjami politycznymi. W czasie powojennej prosperity lat 60., w obliczu zapotrzebowania na ręce do pracy, do Francji sprowadzono nawet 3 mln cudzoziemców. W połowie lat 70. weszła ustawa o łączeniu rodzin i zamiast odesłać zbędnych pracowników do domu, pozwolono im sprowadzić rodziny, odbierając motywację do spontanicznych powrotów. Jak wielki magnes zadziałał także szczodry system socjalny z zasiłkami, mieszkalnictwem, darmową edukacją i służbą zdrowia. Oznaczało to powstanie wielomilionowej wspólnoty z zupełnie innego kulturowo świata.

Filozof Jean-Louis Harouel zwraca uwagę, że ten cichy podbój Europy przez islam jest skutecznie realizowany od wewnątrz za pomocą praw człowieka, które z biegiem czasu przekształciły się w świecką, państwową religię krajów demokratycznych, wyczuloną na punkcie niedyskryminacji. I o ile dawne prawa człowieka miały chronić obywateli przed nadużyciami władzy, o tyle dzisiaj ludzie stają się ofiarami ich współczesnej mutacji, która pozbawia wolności i zabrania bronić się przed najazdem obcych narodów i cywilizacji. Cnotliwie samobójcza moralność państwa, twierdzi Harouel, łamie społeczny opór, uniemożliwia polityczną reakcję, narzuca reżim dyscyplinarny, którego celem jesteśmy my sami. Obywatele są miażdżeni przez ideologiczne tabu, których naruszenie jest surowo karane przez prawo.

Jak twierdzi Camus, tak zbudowany system jest w stanie skłonić ludzi do głosowania za wywłaszczeniem siebie samych, za własnym ludobójstwem przez substytucję, a w końcu za swym osobistym i narodowym poniżeniem. „Żyją oni w fałszywej rzeczywistości zastępczej, co oznacza, że nie wierzą we własną śmierć nawet wtedy, gdy zostaną zabici" – dodaje.

Spisek? Jak twierdził niemiecki politolog Günter Maschke, bez spisków, „które nie muszą odbywać się ani w hotelu w Biarritz, ani na praskich cmentarzach, to, co polityczne i polityka są w ogóle niewyobrażalne".

eprasa.pl 84b1c1dbc7

Janusz Rosikoń i Norman Davies w Jerozolimie. Razem odwiedzili wiele miejsc na szlaku żołnierzy Andersa

Śladem armii Andersa

Temat armii gen. Władysława Andersa, jak mówił Norman Davis, chodził za nim całe lata, wręcz od czasu studiów, i cały czas go pasjonował. Uważał, że jest to bardzo ważny rozdział II wojny światowej. Wyprowadzenie ponad 120 tys. ludzi z niewoli ze Związku Sowieckiego było wyczynem niesamowitym, który nigdzie nie został całościowo opisany

Z Januszem Rosikoniem, fotografem i wydawcą, rozmawia Goran Andrijanić

„Szlak nadziei. Armia Andersa. Marsz przez trzy kontynenty" to tytuł książki słynnego brytyjskiego historyka Normana Davisa wydanej przez Rosikon Press, w której znalazły się zdjęcia pańskiego autorstwa. Po raz pierwszy opisaliście w niej cały szlak armii Andersa. Odwiedziliście Rosję, Iran, Izrael, Włochy, a nawet Nową Zelandię, Afrykę i Meksyk. Jak postał pomysł na tę książkę?

Janusz Rosikoń: Kiedy skończyliśmy z Daviesem album „Od i do", w którym autor opisuje współczesną historię Polski, korzystając z historycznych świadectw w listach i kartkach pocztowych, Norman podzielił się z nami pomysłem, który nosił w sercu od studiów.

Kiedy studiował historię w Oksfordzie, jego wykładowcą był syn oficera armii brytyjskiej, który, walczył w Apeninach i opowiadał o męstwie polskich żołnierzy. Dla Daviesa było to coś nowego, bo niewiele wiedział o armii Andersa. Później poznał Kazimierza Michalskiego, który przeszedł cały szlak bojowy – od Syberii do Wielkiej Brytanii i pracował w księgarni w Oksfordzie. Kiedy z kolei po studiach jechał do Związku Sowieckiego na praktykę, zatrzymał się w Krakowie, bo odmówiono mu wizy rosyjskiej. W Krakowie również poznał kilku andersowców. Ten temat,

Fot. ROSIKON PRESS

eprasa.pl 84b1c1dbc7

Szlak bojowy armii Andersa

jak mówił, chodził za nim całe lata i cały czas go pasjonował. Kiedy zakończyliśmy pracę nad książką „Od i do", zaproponował napisanie „Szlaku nadziei".

Myślał, żeby książka była zrobiona wyłącznie w formie zdjęć i podpisów, ale w trakcie pracy napisał wspaniałe teksty do 20 rozdziałów. Temat był mu doskonale znany, a w trakcie pracy przybywały nowe świadectwa i zdjęcia archiwalne, nigdzie dotąd niepublikowane.

> Naszą podróż szlakiem armii Andersa rozpoczęliśmy z Normanem Davisem w Moskwie, na Łubiance. Stamtąd wezwano gen. Andersa i awansowano na dowódcę armii

Dlaczego ta książka jest dziś ważna?

Norman uważał, że jest to bardzo ważny rozdział II wojny światowej. Wyprowadzenie ponad 120 tys. ludzi z niewoli ze Związku Sowieckiego było niesamowitym wyczynem, który nigdzie nie został całościowo opisany. Jak dobrze wiemy, w okresie komunizmu nie wolno było wspominać o armii Andersa. Za nucenie piosenki „Czerwone maki na Monte Cassino" można było wylecieć ze szkoły. Do tego stopnia była zakazana pamięć o Andersie i jego żołnierzach.

Niewiele wiedziało się o losie Polaków wywiezionych na Syberię. A to było piekło. W książce zamieszczamy sporo relacji, głównie napisanych przez Polaków, którzy zostali na emigracji i dlatego nie bali się o tym opowiedzieć.

Chcieliśmy zostawić ślad tej niezwykłej drogi armii Andersa ze Związku Sowieckiego przez Persję do Iraku, Palestyny, a potem Włoch, gdzie żołnierze walczyli przeciwko Niemcom.

Długo istniała luka, jeśli chodzi o historyczną wiedzę na temat armii Andresa.

Historii po wojnie nie pisali Polacy, ale autorzy z Zachodu i Związku Sowieckiego. W żadnej z tych książek nie wspominano o tym niezwykłym wydarzeniu. To był w pewnym sensie exodus. 120 tys. ludzi przeszło ponad 12 tys. kilometrów, i to nie tylko żołnierzy, bo przecież tam były tysiące dzieci, kobiet, starców. Gen. Władysław Anders postanowił wywieźć z Rosji wszystkich, których uda mu się uratować.

Sam Anders ledwie przeżył sowiecką okupację. Jak wspomina w swoich pamiętnikach, siedząc najpierw w więzieniu we Lwowie, potem w kilku kolejnych, na końcu na Łubiance, codziennie spodziewał się, że mogą go rozstrzelać. Wiedział, że taki los spotykał wielu wojskowych. Bardzo się zdziwił, kiedy pewnego wieczoru

eprasa.pl 84b1c1dbc7

Generał Anders na tle ruin klasztoru Monte Cassino

Fot. ROSIKON PRESS

wyprowadzono go z celi, a on, przechodząc po coraz lepszych dywanach, trafił do jakiegoś pokoju, gdzie zajęto się poprawą jego wyglądu i kondycji. Po tygodniu spotkał się ze Stalinem, który zaproponował mu tworzenie armii w Związku Sowieckim.

Jak wyglądała wasza praca nad książką, jaki dokładnie szlak przebyliście?

Rozpoczęliśmy go w Moskwie na Łubiance. Stamtąd wezwano Andersa i awansowano na dowódcę armii. Potem pojechaliśmy w kilka miejsc, gdzie wojsko się formowało. Byliśmy też w Iranie, gdzie spotykaliśmy Polaków, głównie kobiety, które poślubiły Irańczyków i zostały tam razem z rodzinami. Odwiedziliśmy tam kilka domów irańsko-polskich. Wstrząsające wrażenie zrobiły na nas rzędy grobów dzieci „nieznanych". Adoptowane przez żołnierzy – inaczej nie mogliby opuścić „nieludzkiej ziemi" – nie pamiętały swoich imion ani nazwisk, znana była tylko data ich zgonu. Potem w Palestynie spotkaliśmy wielu andersowców, podobnie we Włoszech.

W Italii pamięć o Polakach jest mocna. Na południu Włoch usłyszałem niesamowitą opowieść. Amerykańskie wojsko wylądowało na Sycylii i po jej szybkim opanowaniu ruszyło dalej wzdłuż włoskiego wybrzeża. Włoska ludność zanotowała, że kiedy żołnierze kończyli jeść, zawijali resztki jedzenia w papierowy obrus i wyrzucali do śmieci. Polacy, którzy przypłynęli do Włoch nieco później, nigdy tak nie postępowali. Dzielili się z ludźmi swoimi racjami. Przeszli Syberię, wiedzieli dokładnie, czym jest głód, a we Włoszech szczególnie na południu było wielu głodnych.

Pamięć o żołnierzach armii Andersa jest we wschodnich Włoszech niezwykła. Uczyli dzieci polskich piosenek i rozdawali upragnione słodycze.

W książce jest ciekawy rozdział o pobycie armii w Palestynie. Ciekawy z powodu relacji między Żydami i Polakami.

Kiedy Anders stworzył armię, Stalin chciał, żeby do wojska przyjmować tylko Polaków narodowości polskiej. W ZSRS notowane było obywatelstwo i narodowość. Generał oświadczył, by przyjmować wszystkich oprócz Polaków narodowości niemieckiej, bo bał się zdrady. Wbrew opinii niektórych autorów książek, że w armii Andersa był antysemityzm, przyjęto do niej ponad 5 tys. żołnierzy pochodzenia żydowskiego. Kilku uciekło już z Iranu, czyli z Persji, do Palestyny, by tam wziąć udział w walce o niepodległość Izraela. Anders zdawał sobie sprawę z tego, że Żydzi walczą o swoje niepodległe państwo, w związku z czym przymykał oko na dezercję żołnierzy.

W Palestynie z tych przeszło 5 tys. zostało ponad połowę żołnierzy. Oświadczyli, że są Polakami i idą dalej walczyć z Niemcami. Fotografowałem wiele wojskowych cmentarzy na terenie Włoch. Oprócz chrześcijańskich na każdym cmentarzu są groby żydowskie czy muzułmańskie. W armii byli chrześcijanie wszystkich wyznań, Żydzi, muzułmanie. Dlatego Anders od razu utworzył dla nich opiekę duszpasterską.

Następny rozdział to oczywiście Monte Cassino. Jedna z najcięższych i najkrwawszych bitew II wojny światowej, szczególnie w tej części Europy. W tym roku przypada 80. rocznica walki o klasztor na Monte Cassino, w której zginęło ponad 11 tys. żołnierzy alianckich, w tym kilka tysięcy Polaków walczących w 2. Korpusie Polskim jako części brytyjskiej 8. Armii.

Monte Cassino było bardzo ważnym epizodem wojny. Stało się symbolem, o którym nie wolno było mówić w Polsce Ludowej. Armia od momentu tworzenia się w Związku Sowieckim przygotowywała ludzi do walki. Szkolenie żołnierzy zaczęło się w Rosji, ale najpierw musiano ich odkarmić. Publikujemy w książce sporo archiwalnych zdjęć z tego okresu. To były szkielety, nie ludzie. Oczywiście brakowało oficerów, bo ponad 20 tys. zostało po prostu zabitych z rozkazu Stalina. Prawdziwe szkolenie żołnierzy do walki zaczęło się w Iranie, a kontynuowano je w Palestynie. Tu już armia zaczęła dochodzić do sił. Żołnierze byli odkarmieni i lepiej się czuli. Ćwiczyli na przygotowanych poligonach i używali prawdziwej broni.

Brakowało nie tylko oficerów, lecz także kierowców. Bardzo szybko utworzono więc służbę ochotniczą kobiet, które wykonywały wiele prac i prowadziły też ciężarówki. Kiedy byliśmy w Recanati niedaleko Loreto, w mieszkaniu włoskiego gen. Terenzia

eprasa.pl 84b1c1dbc7

Morena, wspomniał on spotkanie z armią polską. Miał 14 lat, kiedy do ich wyzwolonego miasteczka wjechały ciężarówki prowadzone przez Polki. We Włoszech był zakaz wydawania jakiegokolwiek prawa jazdy kobietom.

Marzeniem Polaków było bić się z Niemcami. Po szkoleniu w Palestynie przyszedł rozkaz ewakuacji przez Egipt do Włoch. I wtedy Anders usłyszał od brytyjskiego generała Olivera Leesa pytanie, czy zgodzą się zaatakować Monte Cassino. Anders miał 10 minut na podjęcie decyzji. Zdawał sobie sprawę, że jego żołnierze prą do walki z armią niemiecką.

Monte Cassino już wcześniej było atakowane przez aliantów. Wszystkie próby okazały się nieudane, ponieważ teren był bardzo trudny i świetnie umocniony. Niemcy mieli czas na to, żeby zbudować niezwykle skuteczną linię obronną. Anders, widząc wolę walki swoich żołnierzy, wiedział, że będzie to dla nich chrzest bojowy. Każdy szedł chętnie, mimo że wiedział, iż prawdopodobieństwo śmierci jest duże.

Dla Niemców Monte Cassino było kluczowym punktem oporu, bo wiedzieli, że w momencie, kiedy zostanie zdobyte, alianci otworzą drogę do Rzymu. Amerykanie zdecydowali się zbombardować klasztor, z czym nie zgadzał się Anders, ponieważ nie uważał, aby to cokolwiek dało. Zdawał sobie również sprawę z tego, że jest to perła architektury. Niestety Amerykanie zrównali klasztor z ziemią, co podczas ataku nie pomogło, bo w ruinach Niemcy doskonale się bronili.

Po zdobyciu klasztoru 18 maja 1944 r. na jego ruinach zatknięto polską flagę, a trębacz zagrał słynny hejnał mariacki.

Monte Casino zostało zdobyte, w czym kluczową rolę odegrali Polacy. Armia Andersa poszła dalej.

Tak, po zdobyciu Monte Cassino armia ruszyła w kierunku północnym. My również ruszyliśmy tym szlakiem. Po drodze spotykaliśmy i weteranów tej wojny, a także ich dzieci, które dbają o pamięć o tamtych wydarzeniach. Niezwykle ciekawy jest witraż w słynnej bazylice w Loreto. Kiedy wycofujący się Niemcy zbombardowali kościół, polscy żołnierze, którzy tam akurat stacjonowali, błyskawicznie pomogli go ugasić. Ten fakt został uwieczniony na nowym witrażu w Kaplicy Polskiej.

Polski cmentarz wojenny u stóp klasztoru Monte Cassino

Fot. Andrzej Skwarczyński

> Armia Andersa była pewnego rodzaju państwem na kółkach, bo działały w niej szpitale, przedszkola, szkoły podstawowe i gimnazja, szkoła kadetów, teatry, wydawnictwa, mleczarnia, wytwórnia serów, hodowla świń

Czego uczy nas dzisiaj ta historia?

Niezwykle ważna była solidarność panująca wśród Polaków, mimo że wojsko Andersa to była zbieranina wszystkich narodowości oprócz niemieckiej. Wśród żołnierzy panowała harmonijna współpraca. Szeregi armii zresztą wciąż zasilali polscy uciekinierzy siłą wcieleni do niemieckiego wojska i żołnierze z wyzwalanych w Niemczech obozów.

Armia Andersa była pewnego rodzaju państwem na kółkach, bo działały w niej szpitale, przedszkola, szkoły podstawowe i gimnazja, szkoła kadetów, teatry, wydawnictwa, mleczarnia, wytwórnia serów, hodowla świń.

Książka, którą Davies pisał po angielsku, została wydana również w Wielkiej Brytanii. Celem jest, aby wiedza o armii Andersa przebijała się do świadomości. Jest to nasz obowiązek, aby ją szerzyć, bo nikt nie zrobi tego za nas.

Jest to opowieść nie tylko o żołnierzach, lecz także cywilach. Kilkanaście tysięcy dzieci, częściowo z matkami, częściowo z ojcami, którzy nie nadawali się do służby wojskowej, została wysłana przez Andersa do Australii, Nowej Zelandii, Afryki czy Indii. Maharadża Nawanagaru, przez polskie dzieci nazwany „dobrym maharadżą", przyjął 650 dzieci. Zbudował im miasteczko i adoptował, bo tego wymagało prawo, aby mogły tam przebywać. Na pytanie, jak się mogą odwdzięczyć, prosił, by nazwać jego imieniem jakąś ulicę w Warszawie. Mieliśmy okazję spotkać się z tymi już nie dziećmi. Spełniły prośbę swego dobroczyńcy. W Warszawie na Ochocie jest skwer Dobrego Maharadży.

Polacy trafili również do Afryki. Zbudowano tam dla nich ok. 20 obozów, z tym najsłynniejszym widokiem na Kilimandżaro. Byłem też w Santa Rosa w Meksyku, gdzie spotkałem się z córką andersowego dziecka, które chodziło tam do szkoły. Ślady Polaków są na całym świecie, i to ślady dobre. Ci ludzie byli zdecydowanymi antykomunistami, bo wiedzieli, co znaczy komunizm. Mieli doświadczenie dwóch totalitaryzmów.

eprasa.pl 84b1c1dbc7

Powojenna tułaczka żołnierzy 2. Korpusu Polskiego

Fot. NAC

STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

Bitwa o Monte Cassino okryła chwałą żołnierzy 2. Korpusu Polskiego. To jedna z najważniejszych polskich batalii, a polski dowódca gen. Władysław Anders przez wiele lat był postrzegany jako polityczny i wojskowy przywódca Polaków mimo życia na emigracji. Żołnierzy korpusu, mimo pięknej karty, jaką było m.in. wyzwalanie Półwyspu Apenińskiego z rąk Niemców, nie czekały zaszczyty i splendor, a tułaczka i poniewierka. W jaki sposób i dlaczego do tego doszło?

eprasa.pl 84b1c1dbc7

2. Korpus Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie formalnie utworzono 21 lipca 1943 r. na bazie Armii Polskiej na Wschodzie dowodzonej przez gen. Władysława Andersa. W styczniu 1944 r. korpus liczył 46 tys. żołnierzy, jednak liczba ta po skierowaniu na front włoski szybko rosła dzięki masowym dezercjom wcielonych przymusowo do niemieckiej armii Ślązaków i Kaszubów. Stan osobowy korpusu zwiększył się wówczas do 56 tys. żołnierzy.

Korpus rozpoczął walki we Włoszech nad rzeką Sangro, potem został przerzucony w rejon Monte Cassino, gdzie znajdowała się kluczowa pozycja niemieckiej obrony – tzw. linii Gustawa. Polskie oddziały brały udział najpierw w czwartym szturmie aliantów na wzgórze klasztorne 11–12 maja 1944 r., zakończonym niepowodzeniem. Dopiero piąte natarcie kilka dni później, 17–18 maja, zakończyło się sukcesem i pozwoliło zająć polskim żołnierzom benedyktyński klasztor, będący najważniejszą niemiecką pozycją obronną w regionie. Zwycięstwo otworzyło drogę siłom alianckim w głąb Półwyspu Apenińskiego i umożliwiło zdobycie Rzymu. Walki pochłonęły wiele ofiar – zginęło prawie 1 tys. polskich oficerów i żołnierzy, a rany odniosło prawie 3 tys. Korpus kontynuował szlak bojowy w walkach na tzw. linii Gotów w północnych Włoszech. 18 lipca 1944 r. zajął Ankonę, a 21 kwietnia 1945 r. Bolonię. Amerykanie zjawili się tam dopiero dwie godziny po Polakach. Bolończycy entuzjastycznie witali żołnierzy Andersa, którzy ich uwolnili. Polacy wierzyli, że niedługo w podobny sposób będą przyjmowani nad Wisłą.

„NIE JESTEŚMY POTRZEBNI"

Po zakończeniu II wojny światowej 2. Korpus Polski wszedł w skład sojuszniczych sił okupacyjnych Włoch jako jednostka, która walnie przyczyniła się do wyzwolenia tego kraju. Gen. Anders, spodziewając się szybkiego wybuchu kolejnego globalnego konfliktu, starał się zwiększać stan osobowy korpusu, tworzył nowe oddziały i związki taktyczne. W pewnym momencie 2. Korpus Polski stał się największą siłą militarną na Półwyspie Apenińskim. Liczył wówczas prawie 115 tys. żołnierzy. Coraz liczniejsze były także Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie. Po zakończeniu wojny liczyły prawie 194 tys. żołnierzy, a w grudniu 1945 r. ich stan wzrósł do 249 tys. PSZ stacjonowały w Niemczech, we Włoszech, w Wielkiej Brytanii i na Środkowym Wschodzie.

5 lipca 1945 r. rządy brytyjski i amerykański uznały komunistyczne władze w Polsce, tym samym cofając mandat polskiemu rządowi emigracyjnemu w Londynie. Ustalenia odbywającej się wkrótce potem konferencji w Poczdamie były szokiem dla Polaków, a sowiecka okupacja Polski została oficjalnie zaakceptowana na arenie międzynarodowej. „W jednej chwili zdaliśmy sobie sprawę, że nasza rola została odegrana, że już nikomu nie jesteśmy potrzebni i że w swych wojskowych mundurach zaczynamy wyglądać nieco śmiesznie. Powierzone nam zadanie wykonaliśmy, więc jedno, co nam jeszcze zostało do zrobienia, to odmaszerować. Tylko dokąd mieliśmy iść?" – wspominał żołnierz korpusu por. lek. Jan Ciemnołoński.

> Najgorszy los spotkał tych żołnierzy, którzy podjęli próbę powrotu do swoich domów na Kresach Wschodnich. Poddawani ciągłym prześladowaniom i intensywnej inwigilacji w 1951 r. zostali przymusowo deportowani wraz z rodzinami do obwodu irkuckiego na Syberii

ZAMIAST ANDERSA – ŚWIERCZEWSKI

Istnienie polskiego wojska na Zachodzie szybko stało się problemem dla aliantów. Brytyjczycy dążyli do jak najszybszego rozformowania PSZ, mając nadzieję, że większość żołnierzy zdecyduje się na powrót do Polski. Doszło wówczas do kuriozalnej sytuacji. Komunistyczny Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej podjął próbę podporządkowania sobie PSZ, które uznawały zwierzchność naczelnego wodza gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego. We wrześniu 1945 r. komuniści mianowali gen. Karola Świerczewskiego dowódcą PSZ i w tym samym miesiącu zaczęli pertraktacje z rządem brytyjskim. Przyszłość polskich żołnierzy zależała od ustaleń między Brytyjczykami a polskimi komunistami. Do Anglii zostali wysłani dodatkowo gen. Izydor Modelski jako zastępca Świerczewskiego ds. liniowych, płk Wiktor Grosz jako zastępca ds. politycznych oraz gen. Stefan Mossor jako szef sztabu. Ogromny wpływ na finał ustaleń miało stanowisko samych żołnierzy, którzy w zdecydowanej większości nie wyobrażali sobie powrotu do komunistycznej Polski.

PRZENOSZENI DO CYWILA

Brytyjczycy odrzucili propozycję przekazania PSZ, cały czas jednak mając nadzieję, że uda się przekonać polskich żołnierzy do powrotu do kraju. 21 września 1945 r. został przeprowadzony plebiscyt, który pokazał całkowity brak zaufania dla komunistów. Za natychmiastową repatriacją opowiedziało się niecałe 20 proc. żołnierzy.

15 października 1945 r. do Londynu przybyła za zgodą Brytyjczyków Polska Misja Wojskowa z gen. Modelskim na czele, która podejmowała kolejne próby podporządkowania sobie PSZ. Pod koniec listopada brytyjskie władze ponownie odmówiły przekazania polskich oddziałów, co spowodowało pogorszenie relacji z rządem warszawskim. Wobec fiaska akcji przejęcia władzy nad strukturami zbrojnymi na Zachodzie 14 lutego 1946 r. komuniści ogłosili, że nie traktują PSZ jako Wojska Polskiego. Od tej pory żołnierze mogli wracać do kraju jedynie indywidualnie, po uzyskaniu zgody w „polskich" konsulatach.

Wkrótce potem brytyjski rząd ogłosił demobilizację PSZ i zapowiedział

eprasa.pl 84b1c1dbc7

utworzenie formacji przejściowej, która pomoże Polakom chcącym pozostać na emigracji znaleźć nowy zawód i przejść do życia cywilnego na terenie Wielkiej Brytanii i jej dominiów. Utworzono Polski Korpus Przysposobienia i Rozmieszczenia. PKPiR był zmilitaryzowany i liczył prawie 120 tys. żołnierzy skupionych w specjalnych obozach. Byli oni stopniowo przenoszeni do pracy cywilnej. Część z nich oddelegowano do służby wartowniczej w amerykańskiej i brytyjskiej strefach okupacyjnych w Niemczech.

DYLEMATY I DRAMATY

Ostatecznie na powrót do kraju zdecydowało się łącznie ok. 105 tys. oficerów i żołnierzy PSZ. Większość postanowiła pozostać na emigracji. Najmniej chętni do wyjazdu byli żołnierze 2. Korpusu Polskiego. Nie wyobrażali sobie życia w Polsce rządzonej przez komunistów. Większość z nich pochodziła z Kresów Wschodnich, dlatego doskonale wiedziała, co oznaczają czerwone rządy. Ponadto wielu z nich po prostu nie miało już ani domu, do którego mogliby wracać, ani najbliższych, zamordowanych w czasie wojny przez jednego z okupantów.

Decydującym momentem, który w wielu przypadkach zaważył na decyzji o pozostaniu na emigracji, był 26 września 1946 r. Tego dnia komuniści ogłosili, że pozbawiają obywatelstwa polskiego 76 oficerów PSZ. W tym gronie znaleźli się najbardziej zasłużeni generałowie PSZ, jak Władysław Anders, Stanisław Kopański, Antoni Chruściel i Stanisław Maczek.

Dramaty ludzi w tamtym okresie dobrze opisuje w swoich wspomnieniach Aleksander Majewski, oficer 6. Pułku Pancernego: „Postanowiłem zastanowić się poważnie nad swoim przyszłym losem. Zdania pomiędzy moimi towarzyszami broni były bardzo podzielone. Jedni, młodsi wiekiem, planowali pozostać na Zachodzie i stąd kontynuować walkę o niepodległość, drudzy, przeważnie mający rodziny w Polsce, chcieli wracać, żeby zobaczyć swoich najbliższych nawet za cenę prześladowań ze strony władz »republiki ludowej«. Był to dylemat trudny do rozwiązania i wielu moich kolegów spędzało bezsenne noce, myśląc o tym i starając się dojść do jak najlepszego wyjścia z tej sytuacji. Z Włoch pojechało do kraju bardzo niewielu naszych żołnierzy, pomimo ciągle wzmacniającej się propagandy komunistów".

CO DALEJ?

Losy żołnierzy – zarówno tych, którzy wrócili, jak i tych, którzy zostali na emigracji – nie były łatwe. Wśród emigrantów najłatwiej mogli się odnaleźć ci z nich, którzy przed wojną posiadali wyuczony zawód. Wielu z nich zdecydowało się na wyjazd do innych krajów za ocean – do Stanów Zjednoczonych, Kanady, krajów Ameryki Płd. i Australii. Polacy rozpoczynali nowy rozdział życia w zupełnie obcym środowisku, często bez dostatecznych środków finansowych, aby rozpocząć wszystko od nowa.

W najgorszej sytuacji znaleźli się oficerowie, którzy całe życie poświęcili polskiemu wojsku i w większości przypadków mieli problem ze znalezieniem zatrudnienia. Dotyczyło to także generałów, w tym tych najbardziej znanych. Po likwidacji PSZ gen. Władysław Anders jako jeden z nielicznych otrzymał od rządu brytyjskiego skromną emeryturę, zamieszkał w Londynie i zaangażował się w emigracyjną działalność polityczną. Gen. Stanisław Maczek był sprzedawcą i barmanem w hotelu. Gen. Stanisław Sosabowski, pozbawiony przez Brytyjczyków świadczeń wojskowych, zmarł na zawał serca. To samo dotyczyło kadry dowódczej 2. Korpusu Polskiego. Gen. Zygmunt Bohusz-Szyszko razem z gen. Kazimierzem Wiśniowskim utrzymywał się z naprawy porcelany. Gen. Klemens Rudnicki zajął się restaurowaniem obrazów i dorabiał jako przewodnik turystyczny. Gen. Marian Przewłocki został portierem i magazynierem w firmie Continental Food Supply.

Powrót do Polski był także niebezpieczny. Komuniści każdego repatrianta podejrzewali o współpracę z wywiadem gen. Andersa. Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego prowadziło ewidencję członków PSZ przybyłych do Polski. Każdy powracający do kraju członek 2. Korpusu Polskiego był poddawany szczegółowemu przesłuchaniu. Kolejnym etapem była inwigilacja, gry operacyjne lub nawet zatrzymania i procesy. Żołnierzom Andersa utrudniano znalezienie pracy, zdobycie wykształcenia, odmawiano przyznania uprawnień kombatanckich. Najgorszy los spotkał tych, którzy podjęli próbę powrotu do swoich domów na Kresach Wschodnich. Poddawani ciągłym prześladowaniom i intensywnej inwigilacji w 1951 r. zostali przymusowo deportowani wraz z rodzinami do obwodu irkuckiego na Syberii. Możliwość powrotu do domów lub wyjazdu do Polski otrzymali dopiero po 1955 r.

ZACHOWAĆ STRUKTURY

Gen. Władysław Anders przez wiele lat próbował nagłaśniać na arenie międzynarodowej sprawę polskiej niepodległości. Informował Zachód o sytuacji Polaków w kraju, a także tych przebywających w sowieckich więzieniach i obozach. Utrzymywał możliwie jak najdłużej polskie struktury wojskowe, które mimo nacisków nadal wspierały podziemie niepodległościowe w kraju. Wspomnieć tu należy o Biurze Planowania, wydzielonej strukturze mającej za zadanie zorganizowanie polskiego wywiadu w Europie, w ramach którego do Polski został wysłany rtm. Witold Pilecki.

W okresie zimnej wojny gen. Anders próbował bezskutecznie namówić aliantów do reaktywowania zbrojnych jednostek polskich jako oddziałów legionowych. Powstał nawet pomysł utworzenia polskiej Legii Cudzoziemskiej pod auspicjami amerykańskimi. Zapleczem jego starań stały się organizacje kombatanckie grupujące żołnierzy z poszczególnych jednostek PSZ oraz Stowarzyszenie Kombatantów Polskich, założone już w 1946 r.

Każdy członek 2. Korpusu Polskiego to osobna opowieść o dramatycznym polskim losie. Żołnierze PSZ, którzy pozostali w Wielkiej Brytanii, w większości czynnie angażowali się w działalność licznych organizacji emigracyjnych. Poza chęcią kultywowania polskości wierzyli, że organizując się, pozostaną w ciągłej gotowości, aby w razie pojawienia się takiej możliwości włączyć się w ponowną walkę o niepodległość ojczyzny. Dzisiejszych czasów dożyła garstka weteranów 2. Korpusu Polskiego, część cały czas uczestniczy w życiu Polonii, a także regularnie pojawia się na uroczystościach związanych z bitwą o Monte Cassino oraz ukochanym dowódcą – gen. Władysławem Andersem.

eprasa.pl 84b1c1dbc7

PRAWDZIWI PIRACI – prawzór zachodnich demokracji?

W czasach hegemonii kina i seriali wyobraźnia ludzi zaczyna się wypełniać opowieściami dziwnej treści. Korzystają na tym różnej maści twórcy, aby wciskać masom popkulturową papkę, która jest daleka od prawdy, ale zyskowna dla kieszeni. Dziś skierujmy zatem snop światła na historię morskich terrorystów: piratów z Karaibów, bo kinowy przebój, który wydobył ich z niepamięci, to koktajl baśni, magii i realnych wątków. Prawda jest jednak o wiele ciekawsza

MAŁGORZATA WOŁCZYK

Edward Teach, znany jako Czarnobrody

Gdyby Rzeczpospolita miała szczęście leżeć bliżej Atlantyku, a nie w „strefie zgniotu" między nienasyconymi imperiami, z pewnością znalazłoby się u nas wielu chętnych, aby zaciągnąć się na statek i wieść awanturnicze życie. Wszak Polak wysysa z mlekiem matki potrzebę wolności i ochotę do buntu. Niewiele wiadomo o piratach na Bałtyku, bo nie był to akwen, na którym można było się specjalnie wzbogacić. Przeciętny dokument filmowy o piractwie zaczyna się od stwierdzenia, że to podbój Ameryki przez Kolumba spowodował rozwój tej nieeleganckiej profesji i tu rzeczywiście trudno się nie zgodzić.

Piraci opanowali wody Morza Karaibskiego, bo ich ulubionym celem były statki hiszpańskie, zwłaszcza tzw. flota skarbów, która co roku przemierzała Atlantyk z Hawany do Sewilli, przewożąc na pokładzie srebro i złoto wydobywane w amerykańskich kopalniach Potosí i Zacatecas. Hiszpańska korona robiła, co mogła, aby zwalczać piractwo, ale było to nadzwyczaj trudne, bo Karaiby to ciepłe morze, pełne wysp

eprasa.pl 84b1c1dbc7

o bardzo nierównych wybrzeżach, w których łatwo jest znaleźć schronienie. Na osiedlanie się piratów, flibustierów (piraci przybrzeżni), bukanierów zezwoliły inne mocarstwa: Francja, Anglia, Holandia z myślą, aby uszczknąć bogactw Hiszpanii i osłabić ją z pomocą tych pirackich bastionów.

Duże społeczności piratów różnych narodowości osiedliły się właśnie w tych przyjaznych portach. Brytyjskie były: Barbados, Małe Antyle, Jamajka, Bahamy; francuskie: Haiti, Dominika, Tobago; holenderski – Surinam. Hiszpania też utrzymywała korsarzy, ale tylko po to, aby monitorować handel i chronić flotę przed rabunkiem.

RÓŻNICA MIĘDZY PIRATEM A KORSARZEM

Na początek ustalmy jednak zasadniczą różnicę między piratem a korsarzem, bo tu akurat rzadko kto orientuje się w materii. Najlepiej wziąć za przewodnika mistrza pióra i powieści, a także korespondenta wojennego, który swego czasu mocno się zirytował, że dziennikarze nie potrafią odróżnić jednych od drugich, pisząc chociażby współcześnie o porwaniach statków na Oceanie Indyjskim. Arturo Pérez-Reverte jest nie tylko członkiem Królewskiej Akademii Hiszpańskiej, lecz także pasjonatem żeglugi, więc krótko a dosadnie wyjaśnił esencję w swoim felietonie:

„Pirat– pomijając romantyczne mity – to po prostu sukinsyn: ktoś, kto poświęca swoje życie grabieżom i włamaniom na statki z czystej chęci zysku i wzbogacenia się łupami z napadu. Od czasów starożytnych do współczesności tej działalności towarzyszą inne zbrodnie, które zwykle obejmują morderstwa, gwałty, tortury więźniów i żądanie okupu. Dlatego pirata zawsze uważano za coś w rodzaju szumowiny morskiej i był najniższym szczeblem na drabinie moralnej.

Flibustier i bukanier – to odmiany karaibskiego pirata z czasów hiszpańskiej dominacji. Pierwszy był złodziejem i mordercą, poświęcający się temu co kryje się pod nazwą »freebooter«, a co oznacza »grasować« lub coś w tym rodzaju. Bukanierzy mieli francuskie korzenie, byli osadnikami na Karaibach, wędzącymi mięso w miejscach zwanych bukanami, ale ostatecznie zajęli się bardziej dochodowym biznesem, jakim były grabieże i rzeź na morzu. Zamienili wyspę Tortuga, a potem Jamajkę w gniazdo piratów znajdujących się pod angielską ochroną, zawsze cynicznych i zainteresowanych niszczeniem hiszpańskich interesów w Ameryce, oczywiście dopóki źli ludzie nie zaczęli niszczyć ich samych, wtedy nagle pod auspicjami Londynu zaczęły powstawać traktaty międzynarodowe przeciwko piractwu.

Klasyczni korsarze – to coś zupełnie innego: to załoga uzbrojonych statków, która w czasie wojny została upoważniona przez swój rząd, zgodnie ze ścisłymi rozporządzeniami, do atakowania i zdobywania statków wroga, zazwyczaj tych handlowych, a także do zwalczania piratów. Korsarze byli zatem cywilnymi jednostkami pomocniczymi marynarki wojennej i robili to w zamian za zysk uzyskany ze zdobytych statków i ich ładunków. Do tej działalności konieczna była licencja korsarza, która zezwalała jedynie na nagrody z krajów, z którymi organ wydający licencję był w stanie wojny, lub grabież ze statków wyjętych z prawa międzynarodowego" („O piratach i korsarzach", „ABC", 20 grudnia 2024 r.).

Wyposażeni w tak niezbędną wiedzę będziemy już ostrożniejsi, bo kino to klucz, a jednocześnie młot do urabiania i rozpowszechniania sfałszowanej czasem historii.

W XVII w. działalność piratów z Karaibów stała się źródłem dochodu dla przestępców ze Starego Kontynentu, a także dla niektórych monarchów, którzy zdecydowali się udzielać patentu korsarza, czyniąc piractwo legalnym przynajmniej w swoim królestwie. Wojnę z piractwem wypowiedziała Hiszpania, kiedy Jean Florín ukradł ładunek konkwistadora Hernana Cortésa przeznaczony dla cesarza Karola V. Od tego momentu hiszpańska marynarka wojenna z radością poświęciła się eliminacji piratów. Florín był ścigany przez Biskajczyków i powieszony w Ávili na rozkaz Karola V. Hiszpania odpowiedziała na atak, organizując ogromne floty strzeżone przez okręty wojenne i przeobrażając swoje porty na Karaibach w bastiony nie do zdobycia. W XVIII w. Karaiby stały się europejskim polem bitwy.

ROMANTYCZNY MIT PIRATA

Jak to się jednak stało, że mafioso z Morza Karaibskiego doczekał się tak romantycznej legendy? Peter Leeson, uniwersytecki profesor ekonomii, w książce „Niewidzialny kapitan Hak. Ukryta ekonomia piratów" uważa, że statek piracki był „najbardziej wyrafinowaną i odnoszącą sukcesy organizacją przestępczą w historii", bo... był wolny od strachu i przemocy! Według Leesona to piraci byli prekursorami zachodnich demokracji, za co spadły na niego gromy ze środowiska akademickiego.

Autor podkreśla, że piraci ograniczali władzę kapitana, a członkowie załogi stanowili mały „demos", który miał prawo zabierać głos i domagać się respektowania swojej woli – w przeciwieństwie do przyjętych reguł na statku korsarskim czy w marynarce wojennej i handlowej. Jego zdaniem to właśnie pod banderą narodową kapitanowie traktowali swoją załogę jak armię niewolników, co zresztą przyczyniło się do ucieczek żołnierzy na statki pirackie zarządzane bez zamordyzmu, a podług fantazji grupowej.

Niezależnie od tego, co twierdzą profesorowie historii, naga prawda znana z archiwów pozwala przytaknąć, że owszem, ograniczali władzę kapitana i szukali czegoś na kształt sprawiedliwości społecznej zarówno w podziale łupów, jak i obowiązków. Inny autor, Colin Woodard w „Republice piratów" uważa, że kapitanowi piratów przypadały zaledwie dwie „porcje" łupów więcej niż jego podwładnym, podczas gdy kapitan korsarzy oczekiwał 14 razy więcej.

PIRACKI KODEKS POSTĘPOWANIA

Tym jednak, co najbardziej pomogło w romantycznym ujęciu rzezimieszków, był piracki kodeks postępowania zwany „Charte-Partie". Ustalał on obowiązki i kary, które mają być przestrzegane na statku w celu utrzymania morale i wspólnoty na pokładzie. W piśmie umieszczano też miejsce i datę zawarcia umowy, nazwę statku, cele operacji, którą należy

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 84b1c1dbc7

przeprowadzić, podział łupów, odszkodowania dla rannych piratów oraz zobowiązanie się do posłuszeństwa przełożonym. Każda piracka załoga mogła ustalić i przestrzegać własnego kodeksu, który różnił się od innych.

Uroczystość przysięgi polegała na położeniu jednej ręki na butelce rumu, a drugiej na Biblii (lub krucyfiksie) i podpisaniu jej imieniem lub krzyżykiem. Wśród przestępstw, za które groziła kara, znalazło się ukrywanie skradzionych rzeczy, grabieże towarzyszy lub oszukiwanie w grach hazardowych. Czasem decydowano o przekazaniu oskarżonego najbliższym władzom, a czasem o porzuceniu go na pastwę losu na najbliższej wyspie (z butelką wody i bronią). Na poziomie ogólnym kodeks zawierał klauzule wyjaśniające szczegóły usługi, wynagrodzenie, a nawet odszkodowanie, które zostanie przyznane piratowi, który straciłby kończynę w trakcie służby, np. „za utratę dwóch nóg otrzyma rekompensatę w wysokości 1500 pesos lub 10 niewolników".

Zwykle każdy kapitan tworzył własny kodeks, którego piraci decydujący się na dołączenie do załogi musieli przestrzegać, a treść umowy poznawali przed wypłynięciem w rejs. Mimo różnorodności owych kodeksów w 1721 r. walijski pirat Bartholomew Roberts podyktował zbiór wytycznych, które zyskały popularność na morzu. Regulowano w nim nawet picie alkoholu, godziny ciszy nocnej, zabroniono hazardu, bójek z użyciem broni palnej, zabierania na pokład kobiet i dzieci. Kto odważyłby się zabrać kobietę w przebraniu mężczyzny, musiał się liczyć z karą śmierci.

Tak restrykcyjny kodeks kłóci się odrobinę z wizerunkiem piratów, do jakiego przywykliśmy: okrutnych, lekkomyślnych, kpiących z zasad i pozbawionych hamulców. Skoro szerzyli terror pod czarną banderą z czaszką, trudno wierzyć, że mogli dać się okiełznać „po godzinach". Dla przykładu Edward Low uchodził za jednego z najokrutniejszych piratów, a opowieść o tym, że kazał obciąć i ugotować wargi kapitana innego statku i podać je do zjedzenia zapisała się w annałach. Francuski pirat François l'Olonnais został zapamiętany z okrucieństwa i obsesji wobec Hiszpanów: „Wyjął szablę, otworzył pierś jednego z tych biednych Hiszpanów i wyrywając mu serce rękami, zaczął je gryźć jak głodny wilk. Takie okrucieństwa naznaczyły jego karierę" – można przeczytać w dokumentach. Wszyscy znamy też sylwetkę okrutnego Czarnobrodego czy islamskich piratów – braci Barbarossa.

KOBIETY TWORZĄ SIEĆ WSPARCIA DLA PIRATÓW

Nowe dokumenty odnalezione w archiwach mają też jakoby potwierdzać, że piractwo było organizowane dzięki wsparciu żon na lądzie. Historyk John Appleby z Hope University w Liverpoolu po latach badań stwierdził, że cały system zorganizowanego piractwa od XVI do XVIII w. upadłby, gdyby nie miał wsparcia kobiet. Brzmi to całkiem wiarygodnie, jeśli wspomnimy choćby, jak Rosjanie plądrowali Ukrainę, kompletując listy prezentów oczekiwanych przez żony. Historycy odkryli, że piraci prowadzili ze swoimi żonami korespondencję listowną, zresztą to one odegrały znaczącą rolę w lokalnych sieciach wsparcia. W wielu miastach portowych kobiety prowadziły tawerny i zajazdy, których główną funkcją było magazynowanie skradzionego towaru. Appleby twierdzi na podstawie archiwów, że nie tylko żony, lecz także kochanki, matki i córki pomagały upchnąć skradzione łupy na czarnym rynku.

> Piraci ograniczali władzę kapitana, a członkowie załogi stanowili mały „demos", który miał prawo zabierać głos i domagać się respektowania swojej woli – w przeciwieństwie do reguł przyjętych na statku korsarskim czy w marynarce wojennej i handlowej

Niektórym niewiastom taka rola nie wystarczała, co poświadcza *casus* Anne Bonny i Mary Read. Anne była młodą kobietą, która porzuciła wyswatanego jej przez rodzinę nudnego męża dla byłego pirata Johna Bonny'ego, ale i tego zostawiła, gdy czynny pirat Jack Rackham zaproponował jej stworzenie korsarskiego duetu. Para skompletowała załogę, a legenda głosi, że razem odnieśli sporo sukcesów w korsarskim fachu. Pewnego razu zaatakowali także holenderski statek handlowy, na którym podróżował młody brytyjski marynarz – właściwie kobieta o imieniu Mary Read w męskim przebraniu i to w niej/w nim zakochała się właśnie Anne Bonny. Nie wiadomo dokładnie, czy był to lesbijski związek piratek, czy tworzyli trio z kapitanem, ale wszyscy obawiali się ich ze względu na pokazową brutalność. Obie przed bitwami sumiennie przebierały się za mężczyzn. Finalnie Mary Read i Anne Bonny stały się pierwszymi kobietami skazanymi za piractwo, ale uniknęły wyroku śmierci, ponieważ podczas procesu broniły się, że obie są w ciąży (co było prawdą) i tym samym skorzystały z prawa łaski przysługującemu kobietom w tym stanie. Mary Read zmarła w więzieniu podczas porodu, Anne Bonny przeżyła jeszcze wiele lat i „ustatkowała się".

Romantyczny nimb dorabiany piratom jest tak naprawdę malowaniem ich na różowo. Jak dosadnie określił to Pérez-Reverte, w rzeczywistości byli „szumowinami morskimi", bezlitośnie mordowali nawet kobiety i dzieci. Gdy pytam niezależnie dwóch hiszpańskich historyków o wrażenia z filmu „Piraci" Polańskiego, oboje są zdumieni tym samym błędem kostiumologa: Hiszpanie z XVII w. zostali tam przebrani we francuskie stroje i peruki z XVIII w. i oczywiście ukazani jako ci „źli". Tak naprawdę nie dajmy się oszukać – w fachu pirata nie było nic pięknego. Film Polańskiego z 1986 r. chcąc nie chcąc to pokazuje: jego bohater zaczyna i kończy w ten sam sposób, okradziony i zagubiony na oceanie.

eprasa.pl 84b1c1dbc7

Meryl Streep zostanie uhonorowana Złotą Palmą za całokształt twórczości. Statuetkę wręczy aktorce – podczas 77. Festiwalu Filmowego w Cannes – Greta Gerwig, reżyserka przebojowej „Barbie”

Złota Palma i szklany sufit

Fot. Xxx

eprasa.pl 84b1c1dbc7

„Żelazna dama”

„Co się wydarzyło w Madison County”

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

„Wszyscy mamy w sobie coś ze „Sprawy Kramerów”, „Wyboru Zofii”, „Pożegnania z Afryką”, „Co się wydarzyło w Madison County”, „Diabeł ubiera się u Prady” i „Mamma Mia!”. Ponieważ oglądamy ją w kinie od prawie 50 lat i ucieleśnia ona niezliczone arcydzieła, Meryl Streep jest częścią naszej zbiorowej wyobraźni, naszej wspólnej miłości do kina” – czytamy w oficjalnym oświadczeniu Festiwalu w Cannes.

WSPANIALI LAUREACI

Hollywoodzka gwiazda, a także jedna z najważniejszych współczesnych aktorek, wróci na Lazurowe Wybrzeże po 35 latach. Otrzymała wtedy nagrodę za główną kobiecą rolę w filmie „Krzyk w ciemności” Freda Schepisiego. Teraz będzie gościem honorowym gali otwarcia 77. Festiwalu Filmowego w Cannes (który potrwa od 14 do 25 maja). Tuż przed 75. urodzinami (przypadającymi 22 czerwca) na scenie Grand Théâtre Lumière odbierze statuetkę z rąk amerykańskiej reżyserki. Stojąca za spektakularnym sukcesem filmu „Barbie” Greta Gerwig została przewodniczącą canneńskiego jury.

Honorową Złotą Palmę otrzyma także twórca „Gwiezdnych wojen” George Lucas. Tegoroczni laureaci dołączą do wyróżnionych tą statuetką m.in.: Jodie Foster, Toma Cruise'a, Michaela Douglasa i Harrisona Forda.

REKORDY I PRIORYTETY

Nie sposób wymienić wszystkich znakomitych ról Meryl Streep. Aktorki nominowanej rekordową liczbę razy do najważniejszych filmowych nagród: 21 do Oscara (trafiły do niej raptem trzy statuetki – ostatni raz za pierwszy plan w „Żelaznej damie” w 2012 r.) i 33 do Złotego Globu (odebrała dziewięć, w tym, w 2017 r., za całokształt twórczości). Nie można też przecenić wpływu, jaki wywarła zarówno na środowisko filmowe, jak i pozaekranowy świat.

Śrubując zawodowe standardy od lat przesuwała też inne granice, choćby w postrzeganiu miejsca i roli kobiet – zarówno na ekranie, jak i w życiu. Angażowała się również w wiele znaczących społecznie ruchów – od obrony praw człowieka przez wolność słowa po działania ekologiczne czy Time's Up, będący odpowiedzią na #MeToo. Jednocześnie potrafiła znaleźć przestrzeń na zwyczajne życie: dom, męża, czworo dzieci.

DEBIUT U WAJDY

Podobno o tym, że będzie artystką, wiedziała już jako mała dziewczynka. W jednym z wywiadów wspomina: „Miałam sześć lat, gdy zakładałam na głowę halkę mamy, przygotowując się do roli Marii, którą miałam odegrać w naszym salonie”. Kilka lat później widziała się w roli operowej diwy, więc brała lekcje śpiewu. To doświadczenie przydało się później w bardzo różnych i często odległych czasowo filmach, takich jak m.in. „Pocztówki znad krawędzi” (1990), „Mamma Mia!” (2008) czy „Boska Florence” (2016).

Podczas studiów aktorskich, które ostatecznie wybrała, była zawsze – jak wspominają koledzy – nie tylko najsolidniej przygotowana, lecz także najbardziej wysportowana na roku. „Tańczyła i umiała przepłynąć trzy długości basenu bez zaczerpnięcia powietrza”. Do tego robiła salto w tył z pozycji stojącej i „posługiwała się floretem jak Errol Flynn”.

Debiutowała w Yale Repertory Theatre (1974 r.), grając w „Biesach” reżyserowanych przez... Andrzeja Wajdę. W obsadzie była też Elżbieta Czyżewska, która ponoć zrobiła na Meryl tak wielkie wrażenie, że po kilku latach stała się punktem odniesienia podczas przygotowań do tytułowej roli w filmie „Wybór Zofii” (1982) Alana J. Pakuli.

ŻYCIOWE PRZEŁOMY

Na wielkim ekranie Streep pojawiła się po raz pierwszy u boku Jane Fondy i Vanessy Redgrave w nagrodzonym trzema Oscarami filmie „Julia” (1977). Kolejny rok okazał się dla młodej aktorki przełomowy. Zarówno w życiu osobistym, jak i zawodowym.

Od niespełna dwóch lat była w związku z aktorem Johnem Cazalem. Zakochana i zafascynowana partnerem, planowała z nim przyszłość, gdy usłyszeli lekarską diagnozę – rak płuc. Jeszcze wspierana przez Roberta De Niro wywalczyła dla Johny'ego rolę w „Łowcy jeleni”. Nie doczekał premiery. Zmarł w marcu 1978 r.

Wyrzucona z wynajmowanego wspólnie lokum na czas pracy nad kolejnym filmem Meryl znalazła przystań

eprasa.pl 84b1c1dbc7

„Pożegnanie z Afryką”

„Diabeł ubiera się u Prady”

w mieszkaniu, które kolega jej brata, rzeźbiarz Don Gummer, opuszczał na kilka miesięcy.

Pobrali się 30 września 1978 r., tworząc jedno z najbardziej trwałych hollywoodzkich małżeństw. Doczekali się syna i trzech córek. Dla wielu szokiem była wiadomość o separacji, na którą zdecydowali się po czterech dekadach wspólnego życia.

WYBÓR MERYL

Streep często podkreślała, że to dzięki mężowi, który opiekował się dziećmi, gdy ona pracowała na planie, mogła rozwijać karierę. Ta nabrała tempa po premierze „Łowcy jeleni” Michaela Cimino. Nakręcona rok później „Sprawa Kramerów” (1979) Roberta Bentona przyniosła aktorce pierwszego Oscara. Druga statuetka przyszła wraz z „Wyborem Zofii” (1982) Alana J. Pakuli.

Po „Kochanicy Francuza” (1981) Karela Reisza, Meryl Streep (nominowana do Oscara za główną rolę) zyskała tytuł aktorskiego kameleona. Amerykańska Akademia Filmowa niemal co roku zauważała jej kreacje. W sumie przyznała ich 21, w tym za fantastycznie sfilmowane i zagrane „Pożegnanie z Afryką” (1985).

Grając w filmie Sydneya Pollacka, Meryl Streep miała 36 lat. W Hollywood tamtego okresu zbliżała się do granicy, w której aktorki stawały się dla producentów coraz mniej zauważalne. Dziś widać, jak wiele zrobiła, by zmienić tę sytuację.

POD PRĄD

Przekroczywszy czterdziestkę, wystąpiła w przewrotnej komedii Roberta Zemeckisa „Ze śmiercią jej do twarzy” (1992), w której bohaterki oddawały się szaleństwu chirurgii plastycznej. Dwa lata później brawurowo pokonała na pontonie tytułową „Dziką rzekę”, by w kolejnym filmie „Co się wydarzyło w Madison County” (1995) Clinta Eastwooda uwiarygodnić romans dojrzałej gospodyni domowej.

Film doceniony przez krytykę pokochali też widzowie. 11 lat później ten kasowy sukces został pobity za sprawą filmu „Diabeł ubiera się u Prady”.

W blokach produkcyjnych stał już jednak kolejny projekt – brawurowy i jak dotąd najbardziej dochodowy w karierze aktorki – „Mamma Mia!” (2008). Świat oszalał z zachwytu, dopingując w rytm przebojów ABBY, biznesowe i sercowe działania ekranowej Donny, jej córki, przyjaciółek i dawnych ukochanych. Warto tu przypomnieć, że dynamiczne taneczne układy wykonują w tym filmie dojrzałe panie (Meryl Streep, rocznik 1949; Christine Baranski, 1952; Julie Walters, 1950).

PRZEZ SZKLANY SUFIT

Reżyser Mike Nichols tak komentował sukcesy Meryl Streep: „Przebiła szklany sufit i jako starsza kobieta wciąż jest gwiazdą filmową. To się nigdy wcześniej nie zdarzyło”.

Tymczasem wywołana do tablicy aktorka dalej robiła swoje, grając m.in. kulinarną ikonę Julię Child w filmie „Julie i Julia” (2009), a potem – na miarę trzeciego w karierze Oscara – wcielając się w pierwszą premier Wielkiej Brytanii Margaret Thatcher („Żelazna dama”, 2011). Nie bała się małżeńskiej terapii w „Dwojgu do poprawki” (2012) ani spotkań z „Boską Florence” (2016). Współtworzyła na ekranie siłę „Czwartej władzy” (2017). W klasycznych „Małych kobietkach” (2019) Grety Gerwig zagrała leciwą ciotkę, a świetnie wyglądającą prezydent Ameryki w katastroficznej komedii „Nie patrz w górę” (2019).

Wciąż nie mówi na ekranie ostatniego słowa (można ją oglądać m.in. w trzecim sezonie nominowanego do Złotych Globów serialu „Zbrodnie po sąsiedzku”, 2023).

PO RAZ PIERWSZY NA FESTIWALU

Poza Meryl Streep i George'em Lucasem będzie jeszcze jeden laureat honorowej Złotej Palmy. Po raz pierwszy w historii Cannes nagroda ta zostanie przyznana także zbiorowo – założonemu w 1985 r. japońskiemu studiu animacji Ghibli. To z niego wyszedł nagrodzony w tym roku Oscarem dla najlepszej pełnometrażowej animacji film „Chłopiec i czapla”.

Spektakularnym wydarzeniem konkursu głównego festiwalu ma być prapremiera najnowszego dzieła Francisa Forda Coppoli. Zrealizowane za ponad 100 mln dol. „Megalopolis” to „historia architekta próbującego stworzyć utopię w Nowym Jorku po katastrofie, która zniszczyła miasto”. W obsadzie znaleźli się m.in. Adam Driver, Laurence Fishburn i Forest Whitaker. O Złotą Palmę powalczy też film „The Girl with the Needle” Magnusa von Horna, pracującego w Polsce szwedzkiego reżysera, absolwenta łódzkiej filmówki.

eprasa.pl 84b1c1dbc7

3 MIŁOŚCI

Trzy historie

ROBERT TEKIELI

Była zima, minus dwadzieścia kilka stopni, ja po kolejnej ucieczce z leczenia, obok mnie koleżanka, która już miała chyba początki AIDS, środek nocy, bardzo daleko od domu, autostrada koło przejścia granicznego. Zostałam okradziona ze wszystkiego, z „towaru", z pieniędzy, z ciuchów. Chyba po dwóch godzinach, kiedy byłam bliska zamarznięcia, zawołałam do tego Boga, na którego się obraziłam po gwałcie, w akcie zupełnej desperacji: „Boże, jeśli gdzieś jesteś, gdziekolwiek, i mnie słyszysz, to przyjdź i pokaż mi, że jest inne życie. I wyobraź sobie, że Bóg przyszedł" – mówi Dagmara.

Wyszła z bogatego domu. Była jedynaczką. Zawsze miała najładniejsze ciuchy, ładny dom. Nie była szczęśliwa. Została zgwałcona, gdy miała 15 lat. Potem rozpaczliwie szukała miłości, w końcu trafiła na narkomana. Zaczęła brać na poważnie. Chciała zapomnieć o błocie, w jakim tkwiła, znieczulić się. Sześciu lat właściwie nie pamięta. To był heroinowy, mocny ciąg. Sprzedawała się na ulicy. Kradła. Miała nadzór policyjny. Kilka zapaści.

– Wtedy, zimą, zatrzymał się kierowca TIRa, zabrał mnie, była ciepła herbata, jedzenie. Potem zaprosił do domu na święta. Całkowicie bezinteresowny, dobry człowiek. Dziś mam męża, trójkę dzieci. Pomagam ludziom, jestem szczęśliwa.

– W domu było bardzo biednie – mówi Zbigniew. – Pięciu braci, mama pracowała jako salowa. Wiem, co to jest głód, wiem, co to jest nie mieć butów na zimę. Jako siedmiolatek kradłem węgiel, żeby w domu było ciepło. Kiedy w wieku 13 lat napiłem się alkoholu, wszystko się zmieniło. W szkole wszyscy chodzili w kapciach, ja miałem dziurawe skarpety i czułem się jak śmieć. Ale kiedy po alkoholu rzuciłem się na starszego, zacząłem coś znaczyć. Potem był zakład poprawczy, więzienie. Grypsowałem, byłem poważany. Po wyjściu z więzienia codziennie piłem i rabowałem ludzi. Czułem się bezkarny, niepokonany, agresja rosła. Kiedyś w czasie libacji w kawiarni naraził mi się facet, wyprowadziłem go i zacząłem bić. Kopałem nieprzytomnego, skakałem po nim, zrzuciłem z wiaduktu.. Nie przeżył.

W więzieniu byłem z tego dumny. I z tego, że jestem bez skrupułów, bez uczuć. A tak naprawdę byłem potwornym tchórzem, który lęk zamieniał w agresję. Niszczyłem słabszych, niegrypsujących. Dokonywałem samouszkodzeń, głodowałem, wywoływałem bunty.

Kiedyś podeszła do mnie katechetka. Powiedziała: „Wiesz Zbyszek, ty jesteś wartościowym człowiekiem". Gdyby nie lęk przed karą śmierci, która wtedy jeszcze była, zabiłbym ją. Upiłem się jakimś wynalazkiem. Nie mogłem znieść słów, że Jezus mnie kocha. Zrobiłem zadymę, wylądowałem w izolatce. I kiedy się obudziłem, nagi, pobity, zakrwawiony, spojrzałem na zakrwawione ręce i coś we mnie pękło. Pierwszy raz uklęknąłem, będąc sam w celi i powiedziałem: „Boże, pomóż mi, nie?". Poczułem gorąco w całym ciele. Nie wiedziałem nawet w czym może mi pomóc, miałem 20 lat do odsiadki, ale czułem nadzieję, że on mi już pomaga.

Na mityngu AA podeszli do mnie ci, których wcześniej najbardziej niszczyłem. Kiedy zrobili mi herbatę, zacząłem płakać i płakałem dwie godziny. Skończyłem zawodówkę, technikum, zrobiłem maturę, poznałem dziewczynę, siedemnastolatkę, zakochałem się z wzajemnością. Wzięliśmy ślub, choć miałem siedem lat do momentu, w którym mogłem starać się o warunkowe zwolnienie. Dostałem ułaskawienie. Jezus jest dla mnie ojcem, którego nie miałem. Mam fantastyczną żonę, dwoje wspaniałych dzieci. Kiedy myślę o człowieku, którego zabiłem, wiem, że kiedyś będę musiał swoim dzieciom odpowiedzieć na pytanie: „Tato, dlaczego?".

Studiowała reklamę, ale na ASP zobaczyła, że nawet ci utalentowani, potrafiący swoją jaźń przetworzyć w rysunek czy rzeźbę, tak naprawdę wracają w pustkę. Zrozumiała, że są granice tego, co może sam człowiek, że sam ze sobą jest smutny.

Jest katechetką. Wzrastała w małym miasteczku, w licznej rodzinie, z kochającą mamą. Dziś widzi pogubioną młodzież, szukającą po omacku nie wiadomo czego.

– Często dzieci nie potrafią odmówić sobie przyjemności, są zamknięte na Boga i siebie, ranią siebie i innych. Miałam piękniejsze dzieciństwo niż one, było więcej drzew, na które trzeba było wejść, więcej ptaków, których trzeba było wysłuchać. Mama wprowadziła mnie do Kościoła jak miałam parę lat i ja już z niego nigdy nie wyszłam. Już wtedy zachwyciłam się Bogiem. Kiedy czułam, jak pięknie pachną kwiaty, wiedziałam, że dlatego, bo Bóg jest piękny. Kiedy patrzyłam na krzyż w kościele, zawsze wydawało mi się, że Chrystus na nim jest żywy i tylko dlatego nie rusza głową, bo jest bardzo zmęczony.

Przeszła przez swoje ciemne doliny, miesiące cierpienia, śmierć ojca. Na modlitwie czasami czuje, że nie jest zbyt mocno związana z tym życiem. Kilkanaście lat temu złożyła prywatne śluby czystości. Ma błysk w oku, jest szczęśliwym człowiekiem.

eprasa.pl 84b1c1dbc7

WOJNA CYWILIZACJI

POPKULTURA

Warte Są filmy, które oglądane w domu tracą niewiele. Inaczej jest z *„Diuną”* – obowiązkowo należy ją obejrzeć w kinie wyposażonym w dobry system nagłośnienia. Szczególnie domaga się tego jej część druga. Denis Villeneuve ogrywa jedną nutę, patos, ale robi to doskonale. Fabuła nigdzie się nie spieszy, dokładnie tak samo jest w książce. Historia wojny o kontrolę wszechświatowego rynku narkotyków zaczyna się przemieniać w wojnę planetarnowyzwoleńczą. „Kroniki Diuny” Franka Herberta to studium ludzkiej natury, wiwisekcja fenomenu władzy, w tym władzy duchowej. Villeneuve skupił się na dynamice religijnej manipulacji. Scena z Paulem Atrydą, wchodzącym już jako mesjasz w tłum pustynnych wojowników, sfilmowana z lotu drona pokazuje alchemię tworzenia się kultu. Tłum postaci zaczyna wirować wokół młodego księcia jak cząsteczki zawiesiny w roztworze. Ta scena już zapisała się w historii kina, tak jak kiedyś eisensteinowskie schody. Religijny fanatyzm napędem politycznej intrygi, nad którą nikt nie ma kontroli, ale która w swej logice przemocy nie zbacza z kursu nawet o milimetr. Druga część „Diuny” zniewala obrazem, jej akcja toczy się jak czołg przez piaski pustyni, eksplodując od czasu do czasu w scenach batalistycznych czy efektach specjalnych. Świetne są też kreacje Javiera Bardema i Zendai, swą aktorską robotą niewiele odstają od tego najwyższego poziomu Timothée Chalamet, Dave Bautista i Josh Brolin. Celowo poczekałem z wizytą w kinie do momentu, aż przewalą się premierowe tłumy. Teraz jak ja możecie państwo w spokoju obejrzeć sobie to wyjątkowe dzieło. Jest tego warte.

POPKULTURA

Może być *„Księga zepsucia”* Marcina Podlewskiego to dwuczęściowa powieść dark fantasy. Akcja rozpoczyna się w alternatywnej Polsce nieodległej przyszłości, po kilkuletniej serii globalnych konfliktów zbrojnych i reformacji Unii Europejskiej w strukturę paramilitarną. W federalnym Kompleksie Więziennym w kantonie Masovia, gdzie osadzeni są też więźniowie z sąsiedniego kantonu rosyjskiego Zjednoczonego Cesarstwa, bohaterowi dylogii Malkolmowi Rudeckiemu, nie zważając na zasadę, że prawo nie działa wstecz, zamieniono wyrok z odsiadki na karę śmierci. Z egzekucją coś jednak przebiega nie tak i ze świata holowizji, jazdolotów, płaskoekranów i plastmasy przenosimy się do krainy magii i miecza, do skrzywionego świata zwanego Theą. Nie znamy reguł panujących w tej rzeczywistości, odkrywamy je razem z bohaterem. Thea jest opanowana przez mrok i zło. Dobro, współczucie, miłość są tu pojęciami nieznanymi. Magowie to wariaci, którzy nie przyjmują do wiadomości praw przyrody, magia jako taka więc nie istnieje, każdy wariat ma bowiem swoją wersję szaleństwa. Z ciekawością podążamy za Malkolmem, chcąc zrozumieć, w czym uczestniczymy, czy jest to sen bohatera, pośmiertne majaki, czy może po prostu ten sektor piekła, do którego trafiają pisarze fantasy.

POPKULTURA

Ewentualnie Powieść *„Czarne miecze”* Arkadego Saulskiego toczy się w krainie podobnej do Japonii. Feudalny Nippon to uproszczona wersja Kraju Kwitnącej Wiśni, podobnie jest z samą książką. Wojna klanów, okrutni feudałowie i samuraje, specyficzna mentalność, dla nas trudna do przeniknięcia. Na tym tle historia zapijaczonego mistrza miecza, który próbuje się zrehabilitować za dawne przewiny. Motywy fantasy są tu dawkowane z wielką wstrzemięźliwością. A całość może znaleźć fanów, choć nie musi.

POPKULTURA

Może być I na koniec najlepsza książka roku według „The New York Book Review” i „The Washington Post”. Victor Lavalle napisał feministyczny horror ze świadomością, na co dzisiaj mamy popyt. Tematem *„Samotnych kobiet”* jest odmienność. Rasowa, seksualna, społeczna.

Realia Dzikiego Zachodu początków XX w., dobiega końca proces wrogiego przejęcia ziem autochtonów. Czarnoskóra osadniczka ucieka do Montany, ciągną się za nią tajemnica i cień. Powoli zawiązuje się sojusz samotnych kobiet, małomiasteczkowość ma przecież swoje ciemne strony. Siłą powieści jest psychologia postaci. Dawno nie czytałem introspekcji pisanych z taką znajomością rzeczy. Ale jednocześnie jest to bardziej literatura terapeutyczna niż literatura grozy czy społeczny dramat. Choć może nie jest to już zarzutem, bo przecież prawie cała sztuka współczesna to głośny wrzask nad rozbitym dzbankiem. A my wiemy, że jeśli tematem sztuki będzie mała rozbita dusza z wielkim żalem nad sobą, to, co po nas zostanie, będzie jak płacz kochanków w małym, brudnym hotelu, kiedy świtają tapety.

***Robert Tekieli**, Polskie Radio*

eprasa.pl 84b1c1dbc7

Maciej Walaszczyk

Leniwe przedpołudnie

Zanim walec demokracji przejechał się po Polskim Radiu, Anna Popek prowadziła w nim program pt. „Leniwe przedpołudnie". Nowe piosenki Marka Knopflera swoją medytacyjną melancholią i wyciszeniem są idealną muzyką dla takiego właśnie poranka. Od ostatniego albumu Dire Straits minęły 33 lata. Od tego czasu słynny gitarzysta i kompozytor tworzy niemal wyłącznie pod własnym nazwiskiem. „One Deep River" to nawiązanie do rzeki przepływającej przez Newcastle, miasta jego dzieciństwa. W 1973 r. rzucił pracę, opuścił żonę i przekroczył ten most w drodze do Londynu, by stać się muzykiem. Nie było to łatwe, bo w tym czasie popularność zyskiwały brzmienia ostrzejsze niż wydobywane palcami czyste dźwięki delikatnie przesterowanych gitar, na czym Knopfler zbudował swój fenomenalny styl.

Mamy więc zbiór dyskretnych piosenek łączących figuracje bluesowe, folkowe i country, nagranych we własnym British Grove Studios. To esencja stylu poddana wielokrotnej, uszlachetniającej destylacji. Knopfler od 50 lat nagrywa bowiem wciąż tę samą płytę, choć ta właśnie zdaje się być jedną z najlepszych w życiu. Zaczyna ją („Two Pairs Of Hands"), pełnymi garściami czerpiąc z tradycji gitary J.J. Cale'a na tle bulgoczących kong. A potem jest już wyłącznie wykwitnie, elegancko, a niespieszne gitarowe frazy nostalgicznie łączą się z charakterystycznym narracyjnym śpiewem, a może mruczeniem, w którym nadzieja łączy się z rezygnacją. Knopfler po raz kolejny udowadnia, jak znakomicie radzi sobie w poetyckim opowiadaniu różnych romantycznych historii. Oczywiście jak zawsze na temat ludzi zagubionych, maltretowanych przez los, zmagających się z trudnościami i pokonanych przez życie. Mamy więc tutaj opowiastki o łowcach głów, nafciarzach, oszustach, a nawet autentyczną opowieść o napadzie na pociąg („Tunnel 13"), który miał miejsce w Kalifornii 1923 r.; jego organizatorzy, nie zdobywając żadnego łupu, zabili przy tej okazji czterech członków obsługi. To muzyka dla dorosłych, którzy emocje związane z „Sultans of Swing" albo „Going Home: Theme of the Local Hero" (kibice Newcastle United wiedzą, o co chodzi) przechowują wśród tych lepszych wspomnień z młodości. Wraz z tą gitarą płyniemy, a może nawet w zadumie dryfujemy na znajome już akweny.

Mark Knopfler, „One Deep River", Universal Music Group 2024

W sidłach nostalgii

To muzyka do filmu, który nie istnieje. Już sam pomysł pozytywnie zaskakuje, ale jak się szybko okazuje – wykonanie również

Jego niecodzienność zapowiadają otwierające płytę dźwięki dzwonów z motywem Apelu Jasnogórskiego, zwieńczonego niepokojącym sygnałem waltorni. Takiego samego, jaki codziennie o godz. 21.00 płynie z kościelnych wież pewnie w wielu innych miejscach w kraju. Nieoczekiwanie w sidła nostalgii za utraconym światem młodości na prowincji i w końcu skomplikowanymi osobistymi wspomnieniami wpadli ludzie raczej jeszcze młodzi, choć już na tyle dojrzali, by dać się jej ponieść. Pod względem liryczności, budowy nastroju i w końcu muzycznej pomysłowości to muzyka niewychodząca poza granice zakreślone w kręgu nienachalnej delikatności popu. Jej główny twórca Andrzej Rozen przywołuje jako inspiracje Mumford & Sons, Boba Dylana i Coldplay. Między łagodnymi lub delikatnie przesterowanymi gitarami uzupełnianymi plamami elektroniki, syntezatorów i efektów snują się świetne melodie, piosenki z wpadającymi w ucho refrenami i wypełniającymi wszystko w spójną całość tekstami. „Róża", „Ból i drama" czy „Letniczek" to właściwie przeboje, szczególnie ten ostatni dosyć chwytliwy i optymistyczny, ale też z akcentem nostalgicznego niepokoju za sprawą wokalistki Beli Komoszyńskiej. Jak zachęca wydawca, słuchamy więc wielowarstwowej opowieści o próbie powrotu do świata, który nie stanął w miejscu i ucieczki ze świata, który się zatrzymał. Powrót do tego, co było, jest przecież niemożliwe, ale wspomnienia da się ożywić, tworząc muzykę z historiami o miłości jakiejś anonimowej, a przez to zagadkowej pary bohaterów, którzy ponownie spotykają się po latach gdzieś w prowincjonalnym miasteczku. W efekcie niecodzienna, delikatna, ale mocna rzecz, którą pieczętują „Syreny", których świetna melodia przeradza się w niedające spokoju kulminujące głosy… syren? To też przywołanie skojarzeń późniejszą twórczością Depeche Mode. A potem zmiana nastroju i „Napolta ze mnie", zaśpiewana a cappella przez Karolinę Matuszkiewicz pieśń pogrzebowa, pożegnalna, gdzieś ze wsi południa Polski. Muzyka filmowa do filmu, który nie istnieje, wyprawa śladem wspomnień pozostawia nas nieco w poczuciu jakiejś przyjemnej bezsilności.

Rozen, „Róża", Fonobo 2024

eprasa.pl 84b1c1dbc7

Pogarda, nienawiść, egoizm

Dla Woltera ludzie są wyłącznie upadli, zepsuci i godni pogardy. To klucz do odczytania „Kandyda", a w konsekwencji Kodeksu Napoleona. A może również współczesnych konstytucji i kodeksów?

Xavier Martin badał przez lata historię przedrewolucyjnej Francji i w końcu w poważny sposób zainteresował się Kodeksem Napoleona. Odkrył, że w pracach naukowych jego autorom przypisywano intencje zupełnie odmienne od rzeczywistych. Oficjalnie przecież chodziło o filantropię i ulżenie uciskanemu ludowi, wyzwolenie człowieka, troskę o bliźnich, wolność, tolerancję, braterstwo. Jednak w rzeczywistości zamysł był odwrotny i charakterystyczny dla oświeceniowej, a w konsekwencji rewolucyjnej antropologii. Człowiek potraktowany jak materiał do obróbki, użycia, kształtowania za pomocą aparatu biurokratycznego, represji, bodźców. Lektura tekstów filozoficznych, korespondencji, osobistych notatek, dokumentów państwowych odsłoniła przed badaczem pogardę i nienawiść do człowieka. Jak mówi autor, pogarda najpierw mąci spokój pogardzającego i natychmiast rodzi nienawiść. Pogarda to element konstytutywny myślenia rewolucyjnych elit o człowieku jako takim. Filozofowie odwracają porządek na każdym polu, jeśli więc zwalczali tyranię, to największą tyranię sprawowali nad literaturą. Piewcy tolerancji byli nietolerancyjni, a rzecznicy ateizmu w rzeczywistości dogmatycznymi sekciarzami.

Dla Woltera ludzie są „prościuchami", prymitywnymi i godnymi pogardy bydlętami, świat zapełniają szelmy i imbecyle. Zwolennik równości i wyzwalania człowieka uważał, że ci mądrzy, myślący i z dobrego towarzystwa, do których zaliczał siebie samego, stanowią zaledwie procent albo nawet tysięczną część społeczeństwa. Liczyły się wyłącznie pieniądze, dobre jedzenie i rozrywki, pomnażanie bogactwa, szczególnie te pochodzące z konfiskaty dóbr kościelnych. Mimo opiewania równości paradoksalnie kwitł kult elitaryzmu i snobizmu, celebrowanego w bardzo złym guście, będącego parodią nawet najbardziej wynaturzonych obyczajów arystokracji końca epoki Burbonów. Nowe elity nie posiadały ani jej wyrafinowania, ani tym bardziej obyczajów i cnót.

W kolejnych dziesięcioleciach rewolucyjne fale będą się rozbijały przez pozostałe kraje europejskie, powtarzając mechanizm wprawiony w ruch we Francji. Wyzwoliciele ciemiężonego ludu będą wpędzali go często w jeszcze większy ucisk, sami próbując z naddatkiem przejmować styl życia spychanych ze społecznych wyżyn elit. Dominanta epikurejska jest nicią łączącą i pomagającą w wyodrębnieniu się „śmietanki rodzaju ludzkiego". Liczyła się wygoda, ale nie prawda, nawet ta filozoficzna, a jeśli już ktoś chciał być jej wyznawcą jak Monteskiusz, to już nie jej męczennikiem, którymi okazywali się – co mówiono zupełnie wprost – tylko głupcy. „Przyjemny błąd jest więcej wart niż setka smutnych prawd" – stwierdził La Mettrie, ale jeśli już prawda jest konieczna, to tylko dla wtajemniczonych elit. W ten sam sposób myślał Fryderyk II, de Condorcet, d'Alembert, Holbach czy Helwecjusz. Rousseau nikogo nie kochał, ale wszystkich uważał za swoich przyjaciół.

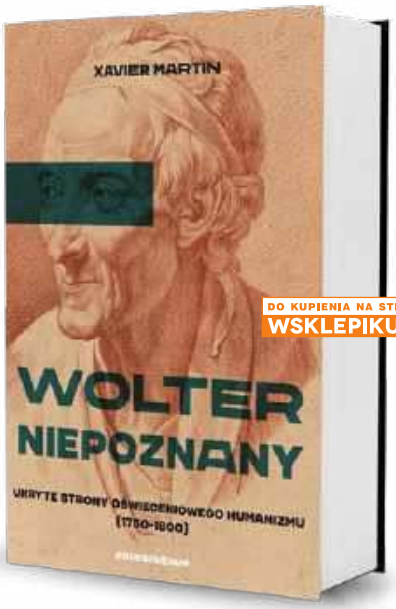

DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Xavier Martin, „Wolter niepoznany. Ukryte strony oświeceniowego humanizmu", Andegavenum 2023

Lecz głównym bohaterem tej interesującej i demaskatorskiej w stylu książki jest Wolter – przebiegły i inteligentny iluzjonista. Jego prace historyczne są pełne manipulacji, często były pisane na zamówienie. To on lansował przekonanie o konieczności kłamania, a nawet wypierania się swoich dawnych poglądów. Ponadto małostkowość i używanie koneksji do wtrącania ludzi dla siebie niewygodnych do Bastylii, stosowania cenzury, np. wobec swego polemisty Laurenta de la Beaumelle'a lub wprost akcji konfiskaty niewygodnych dla siebie pamfletów. Jak pisze autor, monarchia ochoczo chroniła Woltera przed reakcją osób, które obrzucał obelgami, i utrudniała działalność wydawniczą przeciwnikom filozofów. Wolter był trubadurem rewolucji z jej ślepym okrucieństwem i inżynierią społeczną. Jej zasadę wyłożył w jednym z listów, dzieląc ludzkość na prześladujących i prześladowanych – jednych nienawidził, a drugimi gardził. Nienawiść i egoizm były bowiem cechami łączącymi wszystkich filozofów fundamentem rewolucji. Chamfort tłumaczył rewolucyjny slogan „Braterstwo albo śmierć" w sposób sugestywny i konkretny: „Bądź mi bratem albo cię zabiję". Również dziś współcześni potomkowie jakobinów walczą z „mową nienawiści", posługując się przy tym hasłami tolerancji, równości, braterstwa, w istocie będąc jednymi z głównych udziałowców współczesnego przemysłu nienawiści.

eprasa.pl 84b1c1dbc7

LENKA I JAN KLIMENTOWIE*

Z widokiem na Pragę

Jan: Mój tata jest Słowakiem, mama Czeszką, więc jako dzieci dużo jeździliśmy między Słowacją a Czechami. Moi dwaj bracia urodzili się w Czechach, ja na Słowacji, a właściwie jeszcze w Czechosłowacji.

Lenka: Bardzo dobrze czujemy się w Polsce. Mamy tu pracę, wielu znajomych i przyjaciół. W sierpniu minie 15 lat, odkąd się na dobre przeprowadziliśmy. Teraz mamy tu też własne mieszkanie, które jeszcze mocniej łączy nas z Warszawą, ale nie bez powodu mówi się, że „dom to dom": miejsce, gdzie są bliscy, rodzina... Więc jak tylko jest okazja, jedziemy do Ostrawy. Oboje wychowaliśmy się w tym mieście. Jest tam dom z ogrodem, w którym można spędzić czas w dużym gronie. Przyjeżdżamy w każde święta, a także na urodziny czy imieniny.

Jan: Od czasu pandemii jesteśmy częściej. Choćby tylko na dwa, trzy dni, ale regularnie.

Lenka: Ładujemy akumulatory i wracamy do Warszawy.

Jan: Można powiedzieć, że Warszawa nas połączyła. Przyjechałem tu na casting do „Tańca z gwiazdami", a ponieważ potrzebowałem partnerki, poprosiłem o asystę Lenkę. I tak od tańca do tańca zostaliśmy parą. Przez ostatnie lata miasto bardzo się zmieniło. Kiedy tu zamieszkałem, było zakorkowane, bez obwodnicy, a teraz i Warszawa, i cała Polska bardzo się rozwinęły.

Lenka: Widać to choćby po trasach szybkiego ruchu. Nasza droga do Ostrawy znacznie się skróciła, ale też w Warszawie coraz więcej jest przestrzeni, gdzie można wypocząć. Są piękne parki, ciekawe miejsca, np. dawna fabryka Norblina – superprzestrzeń do spotkań. A jak pięknie się zrobiło nad Wisłą... Promenada wygląda znakomicie. Przed urodzeniem synka byliśmy – z naszymi dwoma psami – stałymi gośćmi w parku Skaryszewskim. Dojeżdżaliśmy do niego z centrum. Teraz najpiękniejszy jest taras przy naszym mieszkaniu, z którego mamy przepiękny widok.

Jan: Na Pragę, bo jak mogłoby być inaczej w przypadku Czechów [śmiech]. I na Wisłę.

Lenka: Lubimy wyjeżdżać na Mazury. Przyciąga nas tam przyroda, widoki, a także miejsca, w których prowadzę zajęcia. Byliśmy kilka razy nad Bałtykiem, chociaż trochę za zimne to morze, a w górach zdobyliśmy Giewont. Zwiedziliśmy w Polsce sporo miejsc. Wiele też jeździmy po kraju przy okazji różnych tanecznych pokazów i choć nie ma wtedy za dużo czasu na zwiedzanie, to jednak zawsze staramy się coś zobaczyć.

Jan: Można powiedzieć, że przejechaliśmy Polskę wzdłuż i wszerz. Niektóre rejony znamy o wiele lepiej niż w Czechach.

Lenka: Z częściej odwiedzanych miejsc wymieniłabym Toruń, a także Wrocław. I oczywiście Kraków. Katowice poznaliśmy i w wersji dawnej, i tej najnowszej. Obie mają swój klimat.

Jan: Jeśli chodzi o dalsze podróże, to byliśmy w bardzo różnych stronach. Także na Kubie i w Meksyku. Łatwiej byłoby powiedzieć, gdzie nie byliśmy [śmiech].

Lenka: Uwielbiamy miejsca, gdzie jest dużo słońca, ciepła woda i przestrzeń dla wszystkich członków naszej rodziny, także dla naszych dwóch psów. Dlatego na wakacje często wybieramy Chorwację. W tym roku postanowiliśmy wybrać się też do Turcji. Pierwszy raz polecimy z synkiem Cristianem samolotem.

***Notowała** Jolanta Gajda-Zadworna*

**Tancerze, ambasadorowie II edycji kampanii „Badaj się regularnie"*

Fot. Jarosław Wojtalewicz/AKPA

eprasa.pl 84b1c1dbc7

SŁODKO-SŁONY

Placek na imieniny

ANNA MONICKA

No i stało się, dziecko wkroczyło do kuchni. I to z przytupem. Rano w swoje imieniny córka wstała przed nami, powyjmowała przygotowane wcześniej składniki, wagę oraz blender i zaczęła mieszać. Okazało się, że wie, gdzie trzymam patelnię i olej oraz że trzeba umyć ręce, gdy się wbijało do miski jajka, bo inaczej można się zarazić salmonellą. Niby o tym mówiłam, ale nie byłam pewna, czy ta wiedza do niej dotarła. Okazało się, że jak najbardziej. Kiedy się obudziłam, w kuchni już się działo. Chciałam zobaczyć, co szykuje, ale mnie przegoniła, pozwoliła tylko szybko nakarmić koty.

Wkrótce miło pachniało ciastem, ale i teraz nie zdradziła, co będziemy jeść. Zaczęła wołać na śniadanie dopiero wtedy, gdy na półmisku piętrzyły się śliczne, równiutkie, pięknie zazłocone krążki pankejków, takich amerykańskich placuszków przypominających nieco nasze racuchy, ale wyrastających dzięki dodatkowi sody, a nie drożdży.

Przepis znalazła w internecie, a potem w tajemnicy trenowała smażenie u przyjaciółki. Doszła do takiego mistrzostwa, że mogłaby z powodzeniem otworzyć własną działalność gospodarczą. Nie zmarnowała ani kropli ciasta, nie przypaliła żadnego naleśniczka. Świetnie dobrała dodatki – sos jogurtowy z miodem i cytryną, konfiturę z sycylijskich pomarańczy, masło orzechowe, pokrojone w plasterki truskawki i banany. Wyglądało to na talerzu tak pięknie, że aż szkoda było jeść. Okazały się delikatne, puszyste, nietłuste. Przypilnowała, żebyśmy się nie dzielili z psami, które się wiły i jęczały pod stołem, bo też chciały spróbować. Obiecała, że usmaży następną porcję, gdy zaprosimy dziadków na niedzielny obiad. Tym razem będą deserem i podamy je z musem mango i lodami waniliowymi.

Przepis z bloga aniagotuje.pl jest rzeczywiście świetny: szklanka mąki pszennej, szklanka mleka, trzy jajka, trzy łyżki jogurtu naturalnego, trzy łyżki oleju, dwie łyżki cukru i pół łyżeczki sody. Najpierw mieszamy jogurt z sodą, odstawiamy na chwilę, potem jajka z cukrem, olejem, mlekiem, dodajemy przesianą mąkę i na końcu jogurt. Odstawiamy na kilka minut i smażymy na suchej, dobrze nagrzanej patelni. Krowie mleko można zastąpić roślinnym, jajka podzielić, żeby z białek ubić pianę, by naleśniczki były bardziej puszyste. Tak czy inaczej wychodzi smakołyk.

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Chmielowa epopeja

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

To, co wydawało mi się kolczurką, tak naprawdę było chmielem. Pisałem już o tym ogródkowym odkryciu w niniejszej rubryce w ub.r. Kolczurkę, obcą i inwazyjną, trochę tępiłem – obrywałem kwiaty, aby się nie rozsiewała. Gdy okazało się, że krzew jest chmielem, stał się moim ulubieńcem. Hołubię go. Chmielowa epopeja trwa. Zrobiłem mu konstrukcję, aby się po niej wygodnie piął. On jednak woli oplątywać się wokół uschłego drzewka, ale przede wszystkim wokół samego siebie: pnie się, owija i wkręca w stare, zeszłoroczne, zdrewniałe pędy, tworząc bezkształtną, zieloną masę. Trochę mnie to martwiło. Dlaczego omija konstrukcję mojego projektu? Przestało mnie martwić, gdy nad rzeką zobaczyłem identyczny chmiel: skłębiony wokół samego siebie.

Owłosione liście chmielu są drapiące. Gdy włoży się ręce w tę gęstwinę, wyciągnie się je podrapane, a zadrapania mają odczyn alergiczny. Odpowiada za to profil fitochemiczny chmielu. Nie doczekam się jednak słynnych szyszek chmielowych, gdyż jest to osobnik męski. Ominie mnie podziwianie wyrafinowanych wzorów przyrody: misternych rzeźbień i secesyjnych zawijasów.

Wokół krzewu w wysokiej, niekoszonej trawie po ostatnich deszczach wyroiły się ślimaki luzytańskie. Gdybym nie przetrzebiał ich populacji, zjadłyby wszystkie dżdżownice, jaja koników polnych, kokony pogońców, małe prosionki i jaja winniczków. Tego bym nie chciał. Lubię dżdżownice, polskie szarańczowate, wszystkie pajęczaki, w tym pogońce, lubię i szanuję tajemnicze prosionki, które zaliczają się do skorupiaków i w końcu zależy mi na obecności winniczków, które niechybnie nie wytrzymałyby naporu bezskorupowych, wszystkożernych, napastliwych intruzów. Uśmierciłem setki ślimaków luzytańskich.

Wracając do chmielu – stworzył idealne schronienie dla ptaków, które były trochę poszkodowane, gdy uschła biedna wierzba iwa. Należy bowiem dodać, że w miejscu krzewu do niedawna rosło drzewo z uroczym, zawsze dobrze zaopatrzonym czerwonym karmnikiem. Nie usunąłem uschłego drzewka (które przed laty dzielnie samo się tu obsiało) ze względu na niego. Obecnie wisi na suchej wierzbie, otoczony chmielową gęstwiną. Raz po raz nurkują w nią wróble mazurki, sikorki, pokrzywnice i kosy, które wesoło śpiewają, gdy piszę te słowa.

eprasa.pl 84b1c1dbc7

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Ojkofobia

Dzięki Rogerowi Scrutonowi, brytyjskiemu filozofowi i pisarzowi, profesorowi m.in. Uniwersytetu Bostońskiego, dużo dowiedzieliśmy się, czym jest, co oznacza termin ojkofobia, czyli niechęć do własnego państwa, społeczeństwa i ich wartości. Uczony wskazał przyczyny takiego zachowania, ale ogólnie skłaniał się ku tezie, że chodzi o stworzenie nowego społeczeństwa na zgliszczach naszej judeochrześcijańskiej cywilizacji. Często przedstawia się ojkofobię jako pewnego rodzaju bunt przeciwko zachowaniom ksenofobicznym.

My także mamy do czynienia z przejawami ojkofobii. Koniecznie trzeba tu przypomnieć wyniki badania przeprowadzonego przez Instytut Psychologii PAN. Okazało się, że 14 proc. polskiego społeczeństwa to ci, którzy z Polską nie chcą mieć nic wspólnego. Odrzucają polską historię, kulturę, tradycję, język. Kiedy są za granicą, mówią po polsku cicho albo w ogóle – z powodu jakiegoś trudno zrozumiałego wstydu czy kompleksu. Coraz powszechniejsze wulgaryzmy w przestrzeni publicznej to właśnie przejaw braku szacunku do kultury języka polskiego. Ale jest jeszcze dwukrotnie większa, bo licząca aż 28 proc. grupa, Polaków, która jest zupełnie obojętna na polskie sprawy. Nie interesuje ją nic, co wiąże się z naszym krajem, nie czują żadnej dumy z polskich osiągnięć, a rodzime porażki przyjmują z obojętnością, a niekiedy nawet z satysfakcją. Nie wiem, do której grupy zaliczyć Donalda Tuska, który swoją ojkofobiczną deklarację zamieścił na łamach miesięcznika „Znak" w 1987 r. Pamiętamy jego credo – „polskość to nienormalność". Jedno jest pewne – nie zmienił zdania.

Jarosław Marek Rymkiewicz także dostrzegał radykalny podział narodu polskiego. To podział na tych Polaków, których nazywają „prostymi ludźmi" z racji ich pozycji społecznej i elity, które zarządzają polskością. „Te dwie grupy różni stosunek do fundamentalnego pytania, kim być, Polakiem czy kimś innym". Długi wywód Rymkiewicza ma zaskakujące zakończenie. Pisze on, że pęknięcie idzie przez sam środek, ponieważ Polacy, którzy są duchową elitą narodu, są obecnie podzieleni na tych, którzy byli agentami UB i na tych, którzy nimi nie byli. To pęknięcie objęło także młodych, którzy z powodu wieku nie mogli być agentami UB czy SB. Jedni z nich uważają, że donoszenie nie jest czymś złym, drudzy, że donoszenie jest rzeczą nad wyraz naganną.

Prof. Andrzej Nowak zauważa, że bardzo wiele współczesnych zjawisk ma źródło w przeszłości i to nawet tej bardzo odległej. To punkt widzenia historyka, który także ostatnie wydarzenie związane z wyborami 15 października zaleca oceniać nie tylko pod kątem rezultatu wyborczego, lecz także poszukiwania genezy tego zjawiska w odległej historii. Dlatego warto czytać książki profesora.

A do której grupy zaliczyć tych, którzy po dymisji dyrektora Instytutu Kultury Polskiej w Düsseldorfie Wojciecha Poczachowskiego w grudniu 2023 r. natychmiast zmienili wygląd tej placówki? W ciągu 24 godzin z elewacji zniknęła biało-czerwona flaga z Orłem, do czego zobowiązana jest każda polska placówka dyplomatyczna na całym świecie. Z przedsionka Instytutu wyrzucono portret króla Bolesława Chrobrego Jana Matejki, a poszczególne sale, czytelnia, biblioteka, sala konferencyjna, które staraniem dyrektora były opisane w języku polskim i niemieckim, straciły swój dwujęzyczny charakter. Polski Instytut znowu stał się niemiecki. Kontrola placówki przez MSZ nie wykazała dyrektorowi żadnych uchybień, ale miała jeden plus, gdyż potwierdziła, że do centrali w Warszawie szły donosy od pracownika Instytutu. Czy motywowane ojkofobią, czy tylko niechęcią do dyrektora?

A czym wytłumaczyć kluczenie obecnej władzy w sprawie CPK? Rada Polskich Przedsiębiorców Globalnych w liście do Tuska apeluje o przyjęcie długofalowego podejścia do rozwoju gospodarczego i cywilizacyjnego Polski. Jak piszą, nasz kraj stał się logistycznym centrum NATO w regionie i stoi przed perspektywą odegrania znaczącej roli w procesie odbudowy Ukrainy po wojnie. Obszerne wyjaśnienia i argumenty Rady są oczywiste dla tych Polaków, którzy chcą rozwoju i dobrobytu Polski. Równocześnie z całą siłą ujawniają się przeciwnicy budowy CPK, a kluczenie w tej sprawie nowego zarządu to czysty kamuflaż. Ludzie z rządu Tuska nie potrafią wprost powiedzieć społeczeństwu, że CPK nie powstanie, bo w tej sprawie zapadła negatywna decyzja polityczna w Brukseli albo w Berlinie. Centralny Port Komunikacyjny to poważna konkurencja dla Niemiec, a interesów Berlina w Polsce pilnuje Tusk. Z tych samych politycznych powodów forsowana jest likwidacja polskiej narodowej waluty i zastąpienie złotego euro. To nic, że działania te są sprzeczne z polską konstytucją. I choć nikt jeszcze nie przyznaje się do autorstwa hołdowniczej wobec Brukseli deklaracji, coraz głośniej jest o uznaniu przez polski rząd nadrzędności unijnego prawa nad polską konstytucją. A tak jej bronili.

Ojkofobia w wykonaniu polskich pseudoelit z pewnością ma także swój wymierny negatywny wpływ na najbliższą i dalszą przyszłość Polski.

www.wojciechreszczynski.pl

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Carpe diem

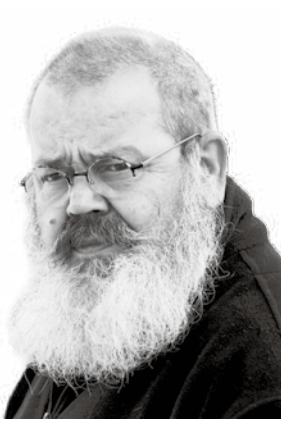

Aleksander Nalaskowski

Ależ biegną, że niemal nóg nie poplączą i kapci nie zgubią. Aż sapią i kwiczą, tak bardzo im zależy. A któż to tak gna? A to ministrowie i inni aparatczycy spieszą się do brukselskiego bankomatu, dla niepoznaki nazwanego Parlamentem Europejskim. Mają na ustach wytarte slogany, gęby pełne frazesów o Polsce, Europie, zaszczytnej służbie, a chodzi im wyłącznie o mamonę, łatwy szmal, pieniądze, o których przeciętny pracujący obywatel nie może nawet pomarzyć. Tak szybko, jak ich Tusk wsadzał na ministerialne i inne stołki, teraz z nich zeskakują, by z pierwszych miejsc na listach otrzymać kartę bankomatową, nazywaną mandatem europosła, i szybko czmychnąć do Brukseli, bo tam za spore pieniądze można robić niewiele, a właściwie nic. Wystarczy raz na jakiś czas oszkalować Polskę.

Czyż nie jest to żałosne? Czyż gołym okiem nie widać, o co naprawdę toczy się gra? Już nieraz mamona przewracała ludziom w głowach i teraz robi to znowu. Niektórzy lepiej, niektórzy gorzej wykonali tu swoją brudną robotę, to teraz czas na frukta, które Tusk przyzna wedle uważania. Bezczelność wygrywa z przyzwoitością. Wstydu nie mają. Zwykłego, ludzkiego wstydu. Czy ktokolwiek sprawdził, czy owi kandydaci znają jakikolwiek język obcy? To wszak podstawowa kompetencja poruszania się po europejskich instytucjach. Czy liczą się tu kompetencje dyplomatyczne, znajomość historii, zwykła wiedza ogólna? Nie! W tym wyścigu jest jeden przegrany – to Polska. Tak naprawdę większości kandydatów ona nie obchodzi, bo jadą do Brukseli nie dla niej, ale dla ordynarnej kasy.

Niektórzy lepiej, niektórzy gorzej wykonali tu swoją brudną robotę, to teraz czas na frukta, które Tusk wedle uważania przyzna

Wśród kandydatów na posadę koncesjonowanego Europejczyka jest m.in. Marcin Kierwiński, który ostatnio zasłynął trzeźwością inaczej. Kto zna trochę życie i ludzi, wie oraz widział, że tak nie zachowuje się trzeźwy człowiek. Był skandal. Ale został szybko rozmyty, przysypany głupawymi wyjaśnieniami i „filipińskimi" argumentami. I w zasadzie wyszło na to, że Kierwiński był trzeźwy, a obserwatorzy pijani. Taką mamy klasę polityczną, takich mamy wybrańców narodu. Jednak twardy elektorat Koalicji Obywatelskiej wszystko wybaczy, o wszystkim zapomni i wybrańca po raz kolejny uczyni wybrańcem, bo tak to działa. Zdrowy rozum poszedł spać, a obudziły się niedorzeczności. I mają się całkiem dobrze.

Tego, jak daleko odchodzimy od schumanowskich założeń wspólnoty europejskiej, dowiadujemy się każdego dnia. Co pozostało ze wspólnoty wolnych narodów, swobodnego przepływu pieniędzy, ludzi, towarów, pracy? Nic albo prawie nic. Zamieniono to na gangsterski Zielony Ład, ekoklimatyczną histerię i dominację *de facto* jednego państwa, czyli Niemiec. Realizacja tego bismarckowskiego pomysłu nieuchronnie zmierza do pożądanego rezultatu. Będziemy kolejnymi landami przywiązanymi rządem europejskim i wspólną walutą do hegemona, który ani myśli odpuszczać. Niepokorną Polskę trzeba wziąć na smycz i nałożyć jej kaganiec. Czy konserwatywni europosłowie są w stanie temu zapobiec? Czy Europa się ocknie i podziękuje swoim lewackim reprezentantom? Wątpię. Graniczyłoby to nieomal z cudem, na który chyba nie mamy co liczyć. Może konserwatywna strona europarlamentu będzie nieco liczniej reprezentowana, może będzie ją lepiej słychać, ale realnie niczego to nie zmieni. Tak jak strajki rolników nie zmieniły rządowej polityki rolnej.

Wychodzi dość pesymistycznie, ale na koniec coś optymistycznego. W majówkę byłem na toruńskiej starówce. Zwykle w sezonie turystycznym mieszkańcy grodu Kopernika unikają Starego Miasta, bo to tłum, wycieczki i monstrualne problemy z parkowaniem. Widziałem odświętnych, zadowolonych Polaków. Rodziny z dziećmi, osoby starsze, dżentelmenów z rasowymi psami, młodzież pstrokatą i głośną, turystów zasłuchanych w przewodnika, ulicznych grajków, gigantyczne kolejki do lodziarni i brak miejsc w kawiarnianych ogródkach. Miasto żyło swoim życiem – normalnym, z dala od codziennej sieczki politycznej, niestrudzonych komentatorów telewizyjnych, mściwego premiera i kuriozalnego ministra kultury. Widać i czuć było nieskrywaną radość życia, życzliwość i realizowaną potrzebę normalności. Polacy jeszcze mają za co urządzać sobie wycieczki, jeść w restauracjach, kupować bilety wstępu, raczyć się lodami. Mają za co kupować dzieciom pamiątki i podróżować z nimi po kraju, a także po krajach sąsiedzkich. Ale jak długo jeszcze to potrwa, jak bardzo będą dotkliwe zbliżające się podwyżki cen? Jak głęboko wydrenują kieszenie naszych rodaków? Czy nadal będzie ich stać na luksus wyjazdu do Torunia, Krakowa, Gdańska czy Warszawy?

No i znów wyszło pesymistycznie. Zatem apel: *carpe diem*!

eprasa.pl 84b1c1dbc7

OGNIEM NA WPROST

Wielka ucieczka „człowieka gumy”

Andrzej Rafał Potocki

Sytuacja na ukraińskim froncie daleka jest od ideału. Najgorzej jest na odcinku Awdijiwki i Marinki. Wspominaliśmy ostatnio o próbie stabilizacji frontu na rzece Durna, ale nic z tego nie wyszło. Mimo dużych strat, Ruski pcha się do przodu. Moskale przebili się w Semenówce po grobli, dzięki czemu przekroczyli rzekę i mogą wyjść na tyły wojsk ukraińskich znajdujących się po wschodniej jej stronie. W dodatku teraz wejdą na przewyższenie dające im wgląd w pozycje ukraińskie. Kolejna rubież to rzeka Wołcza. Na odcinku Oczeretnego Moskale poszerzyli podstawę klina i umocnili swoje pozycje, kontynuując natarcie głównie w kierunku północno-zachodnim. Dość wyraźnie widać, że wraże dowództwo (znowu kieruje ktoś z głową na karku, a nie tępy rzeźnik) nie zamierza skręcać na południe, żeby ominąć ukraińskie pozycje na Wołczy, ale będzie zwracało się raczej na północ i północny wschód. Ominą prawdopodobnie Torećk i będą próbowali od tyłu zajść garnizony Konstantynówki, a także Czasiw Jaru (w tym miejscu natarcie na razie utknęło i nie posunęło się do przodu od ponad trzech tygodni). Ale żeby nie było, że gra toczy się do jednej bramki, to Ukraińcy przywalili francuską bombą AASM 250 Hammer w blok, w którym znajdowała się moskiewska baza. Wszystko rozsypało się na kawałki. Teraz chytre Kozaki, choć lecą na resztkach amunicji, nie odpierają „mięsnych ataków”, tylko wycofują się na z góry upatrzone pozycje i walą do zajmujących teren Kacapów czym się da. Jak tylko dojedzie amunicja (pierwsze dostawy już wyjechały z Polski), to kontredans rozpocznie się od nowa. Doradca ds. bezpieczeństwa narodowego Stanów Zjednoczonych Jake Sullivan powiedział „The Financial Times”, że Ukraina będzie dążyć do przeprowadzenia kontrofensywy na froncie w 2025 r. po otrzymaniu uzbrojenia w ramach amerykańskiej pomocy wojskowej. Celem przyszłej kontrofensywy wojsk ukraińskich ma być odbicie okupowanych obecnie przez Rosjan terytoriów. Tylko wytrzymać. Szybciej z tymi dostawami, bo front trzeszczy w posadach!

A na tyłach trwa pobór. Jednak nie wszyscy pchają się do okopów bronić ojczyzny. Ostatnio w sieci pojawił się filmik z jednej z ukraińskich komend uzupełnień w Mukaczewie. Przed obliczem komisji miał stanąć „człowiek guma”. Jednak zamiast do pokoju wyśliznął się przez dziurę w kratownicy okna na drugim piętrze. Jak tylko się znalazł na zewnątrz, bez pomocy nóg, na samych rękach niczym Tarzan opuścił się na dół, trzymając się metalowych prętów. Potem skok na chodnik i w długą przez ulicę. Jak mawiano: czasem najważniejsze są „dwa zwody i charakter w nogach”. Jak go dorwą, przydział ma murowany. Podoficer w plutonie szkoleniowym sił specjalnych jednostek wywiadu HUR już zaciera łapy z zadowoleniem na nowy nabytek. Chłop ma szanse pobić rekord w pokonywaniu trudnego toru przeszkód dla komandosów. A potem plecak z materiałem wybuchowym i dawaj do Ruskich wysadzać rafinerię. Jeszcze dostanie medal. Zobaczycie!

Moskalom udało się zdobyć Leoparda 2A6. Tryzuby oberwały, czołg stanął, ale załoga dała dęba, nie wysadzając pojazdu. Mocne te czołgi. Nawiasem mówiąc, jeden z takich trafił do nas celem naprawy. Oberwał z drona typu Lancet. Amunicję wysadziło w powietrze, ale pancernym w środku nic się nie stało. Czołg zholowali z pola bitwy i niedługo wróci z powrotem do użytku. Ale wracając do pechowego A6. Teraz Ruski będzie obwoził go jak małpę w cyrku po całej okolicy i chwalił się, jaki to on (ten Kacap rzecz jasna) świetny, że niszczy zachodnie czołgi. Do tej pory według portalu oryxspioen.com (tylko straty udokumentowane zdjęciami), Moskal trafił 30 Leopardów (z tego 15 zniszczonych) oraz dwa Abramsy (zniszczone), a cztery uszkodzone. Głównie od min i wspomnianych dronów kamikadze Lancet. Jak widać, wojna to nie zabawa i nie ma czołgów niezniszczalnych. Jedyne pocieszenie, że do tej pory Ukraina straciła 808 tanków (547 zniszczonych), a Ruski 2969, z czego 1982 na amen.

Dantejskie sceny działy się w Pitrze (Petersburg). Ktoś sfilmował (pokazano to na Nexta TV) walkę seniorów przy śmietniku na tyłach spożywczaka. Rosyjscy emeryci starli się o jak najmniej podgniłe ziemniaki, kwaśne mleko oraz psującą się kiełbasę. Równie dużą popularnością mają się cieszyć towary eksportowe, których ze względu na trwającą wojnę brak również w samym Petersburgu. Film jest tylko wierzchołkiem góry lodowej. Podobne sceny odbywają się w innych miastach. To powtórka sytuacji sprzed 80 lat, kiedy w ówczesnym Leningradzie panował głód z powodu 900-dniowego oblężenia miasta przez Niemców. A teraz? Ruski mir.

Współpraca: „Skipper”

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 84b1c1dbc7

Michał Korsun prezentuje:* *Wolność słowa po europejsku, czyli Rafał Ziemkiewicz skazany

Wycinki z przeszłości

„Życie Warszawy" z 9–10 maja 1992 r. aż skrzyło od reportaży, analiz, komentarzy. Dziennik drukowany był wtedy potężną siłą. Ale życie Polaków w tym trudnym czasie najlepiej pokazują ogłoszenia drobne.

„ROZBITY WARTBURG lub zachodni kupię.
FIATA MALUCHA – chętnie do remontu, kupię.
UCZEŃ potrzebny, warsztat samochodowy.
PAWILON handlowy na targowisku Włościańska sprzedam lub wydzierżawię.
AKTUALNIE MAŁŻEŃSTWO, ferma drobiu, okolice Wołomina.
DOBRZE SZYJĄCE chałupniczki z Tarchomina zatrudnię, koniecznie overlock.
FIRMA WŁOSKA poszukuje dobrze znających język włoski.
SPÓŁKA z udziałem kapitału zagranicznego przyjmie do pracy inżyniera ze znajomością instalacji wodnych i gazowych w charakterze dealera mającego za zadanie reprezentowanie interesów firmy na terenie miasta Warszawy i sąsiednich województw. Wymagana jest biegła znajomość języka angielskiego.
Przedstawicielstwo zatrudni niepalącą sekretarkę ze znajomością języka czeskiego oraz niemieckiego lub angielskiego. Oferty ze zdjęciem".

ŻYCIE WARSZAWY
Śliska prezydentura alternatywa dla marazmu i chaosu

(mk)

Z WOLEJA

Trudne igrzyska, trudne Euro 2024

Ryszard Czarnecki

Życie kibica to krótkie chwile meczowych ekscytacji i długie godziny oczekiwania na mecze, rozgrywki i turnieje. Za trochę ponad dwa miesiące ruszają igrzyska olimpijskie w Paryżu – akurat w setną rocznicę pierwszych „polskich" IO, też w Paryżu. Wtedy, przed wiekiem, zdobyliśmy pierwsze dwa medale: brązowy kolarzy torowych i srebrny jeźdźca mjr. Adama Królikiewicza. Przed trzema laty w Tokio, gdzie miałem przyjemność obserwować igrzyska jako członek Prezydium Polskiego Komitetu Olimpijskiego, zdobyliśmy największą liczbę medali w XXI w. Powtórzenie tego wyniku wydaje się bardzo trudne. Wówczas większość krążków dali Polsce lekkoatleci, którzy okazali się niespodziewanie drugą potęgą na świecie w tej dyscyplinie zwanej królową sportu. Wyprzedziliśmy lekkoatletyczne potęgi: USA, Wielką Brytanię, Francję i Niemcy (a to zawsze smakuje szczególnie!). Lepsza była tylko Italia, skądinąd też sensacyjnie zdobywająca złote medale w skoku wzwyż i w biegu na 100 m mężczyzn. Nasi ówcześni złoci młociarze, Anita Włodarczyk i Wojciech Nowicki, nie są dziś faworytami, choć akurat podium pana Wojciecha jest dla mnie „oczywistą oczywistością", jak mawia pewien wielki polski polityk, a przy okazji wybitny znawca pięściarstwa. Nasz sensacyjny mistrz olimpijski w chodzie na 50 km Dawid Tomala ma kwalifikację olimpijską na razie tylko w nowej konkurencji, czyli... w chodziarskim mikście (chodzi mężczyzna, chodzi kobieta i oboje pracują na wynik zespołu) i też, delikatnie mówiąc, nie jest postrzegany w roli faworyta. Wioślarze, którzy z każdych IO przywozili medal, na razie mają tylko dwie kwalifikacje olimpijskie. Możemy kontynuować tę wyliczankę. Cóż, w stolicy Francji nie będzie łatwo, ale walczyć trzeba.

Za niedługo też Euro 2024. Polacy zamiast wjechać na białym koniu z rzekomo łatwej grupy, dostali się na nie dopiero po barażach i dramatycznym meczu w Cardiff , który wygrali po rzutach karnych. Jesteśmy w bardzo trudnej grupie, mało kto liczy na awans do drugiej fazy, a ja mówię, że to jest możliwe, bo przecież do pierwszej „szesnastki" awansują nie tylko dwie pierwsze drużyny, ale cztery z sześciu, które zajmą miejsce trzecie. Wystarczy więc wygrać z Austrią, co nie jest niemożliwe, i być jak na Mundialu w Katarze w 2022 r. znów w „szesnastce".

I na IO 2024, i na Euro 2024 nie jedziemy jako faworyci. W związku z tym nie słychać żadnego triumfalizmu ani tromtadracji. Cóż, może paradoksalnie wyjdzie nam to na dobre?

Zamów prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	109 zł	189 zł	349 zł

*Dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl 84b1c1dbc7

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Insygnia pewności siebie

Z prasy zagranicznej wybieramy „FT Weekend", czyli dodatek sobotnio-niedzielny (4–5 maja br.) wpływowego brytyjskiego dziennika „Financial Times". Czytają go elity gospodarcze i finansowe, obecne i aspirujące. Do kupna tego wydania skusiły nas dwa materiały. Pierwszy o tym, jak ukraińskie drony, choć technicznie niskiej generacji, pozbawiły Putina zdolności do kontrolowania Morza Czarnego. Drugi o tym, jak ikona postępu technologicznego w osobie Elona Muska, właściciela produkującej elektryczne auta firmy Tesla, manewruje między polityką Waszyngtonu i Pekinu. Oba zagadnienia są fascynujące, ale nie o nich będą nasze felietonowe refleksje. Sprowokowała je inna część tego weekendowego wydania „FT".

Kolorowy dodatek o nazwie „HTSI" to skrót od słów „How To Spend It", czyli jak je (pieniądze) wydać. Podobno jest punktem odniesienia dla luksusowych magazynów lifestylowych. Po prostu poradnik dla ludzi, którzy mają za dużo pieniędzy i już pewnie się zorientowali, że po wielu głupich decyzjach zakupowych czas sięgnąć po poradę... konsumpcyjną.

Wydany na błyszczącym papierze i liczący 62 strony „HTSI" nosi tytuł „The Dream Issue", co można przetłumaczyć jako „Kwestia marzeń"; pamiętając jednak, że angielskie słowo „issue" znaczy też po prostu kolejne wydanie gazety. Pomijamy teraz narracje tekstów, zwykle bodaj stanowiącą mniej lub bardziej ukrytą promocję produktów, firmowych marek oraz... wybranych idei.

Spróbujmy odszyfrować, co komunikują całostronicowe, kolorowe, często plastycznie wysublimowane reklamy.

Na początku na rozkładówce modelka (aktorka?) promuje torebkę Louis Vuitton. Pani trzyma się liny na dużym jachcie, a w tle coś wygląda na bezludną wyspę (27 tys. zł winno starczyć na torebkę, ceny wyspy nie znamy).

Dziś nie potrzeba dziedzictwa kulturowego, tradycji, dobrego wychowania. To wszystko zastępują specjalne gadżety

Kolejne dwie strony zajmują damskie zegarki marki Harry Winston (27 tys. dol. wystarczy). Potem Chanel – naszyjnik z białego złota i diamentów. Zegarki i naszyjnik promują się same bez ludzkiej pomocy. Cenę byśmy negocjowali...

Rozkładówka kolejna to quasi-sportowe buty Zegna, które promuje facet z zamkniętymi oczami (buty – kilka tysięcy zł, ile dostał facet, nie wiemy).

Następnie zegarki mieszaniny firmowej Blancpain oraz Swatch – Bioceramic Scuba Fifty Fathoms (2 tys. zł).

Mały przeskok i mamy szeroko uśmiechniętą znaną aktorkę Julię Roberts. Jej uśmiech uzupełniają kolczyki firmy Chopard w kształcie serduszek. Nie mieliśmy serca szukać ceny.

A potem, już wachlując się kartkami magazynu, docieramy do nieznanego nam bliżej aktora Jonathana Baileya, którego męski wygląd reklamuje spodenki kąpielowe... (ok. 1 tys. zł, ale można kupić taniej).

Nieco więcej czasu spędzamy gdzieś na dalszej rozkładówce, gdzie znany aktor Ryan Gosling reklamuje zegarek firmy TAG Heuer (można się zmieścić w 7 tys. dol.).

Kartkując te oferty, dostrzegamy, że postacie, zwłaszcza mężczyźni reklamujący niebanalne dobra, wyglądają na pewnych siebie. Czemu zawdzięczają to wspaniałe uczucie?

Dziś jak się ma unikalne kompetencje, trochę inteligencji i sprytu, no i jak się wyląduje, gdzie trzeba – nie tylko np. w Dolinie Krzemowej – można zrobić spore pieniądze w krótkim czasie.

Same pieniądze nie dają jednak pewności siebie, bo aby być częścią prawdziwych elit, nie tylko milionerskich, trzeba umieć żyć w odpowiednim stylu. Demonstrować pewność siebie. Współcześnie nie jest to trudne. Nie potrzeba, jak kiedyś, dziedzictwa kulturowego, tradycji, dobrego wychowania. To wszystko coraz częściej zastępują specjalne gadżety plus spędzanie czasu w określonych miejscach. Jest cały rynek oferujący emblematy pewności siebie. Dzięki nim łatwiej udawać kogoś z wyższych sfer, nawet jak się nie jest dobrze urodzonym. Miliony wydawane są (nieekologicznie?) po to, aby się dobrze czuć.

A ludzie prawdziwie bogaci i potężni, np. cyfrowi oligarchowie? Również mogą tylko symulować siebie, bo na głębszym poziomie oni także nie rozumieją tego, co się dzieje z dzisiejszym światem.

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja x2

eprasa.pl 84b1c1dbc7

NOWA TELEWIZJA **W POLSCE PL**

POLITYKA NA DESER

CODZIENNIE O 20:35

Wydarzenia dnia komentują dla Państwa znani i lubiani:

- **Dorota Łosiewicz**
- **Krzysztof Feusette**
- **Stanisław Janecki**

OGLĄDAJ NAS

polsat box (wcześniej Cyfrowy Polsat) NA POZYCJI **196**

NETIA NA POZYCJI **192**

orange NA POZYCJI **32**

vectra NA POZYCJI **825**

PLAY (dawniej UPC) NA POZYCJACH **339** dekoder Mediabox **121** dekodery KAON i Horizon

www.wPolsce.pl

eprasa.pl 84b1c1dbc7

CODZIENNIE CZYTAJ WIĘCEJ NIŻ INNI

SUBSKRYPCJA

wPolityce.pl + SIECI

KUP 50% TANIEJ

- **wszystkie zamknięte artykuły na** wPolityce.pl**,** również te w sekcji Premium+ – to ok. 1 300 tekstów rocznie!
- pełne **e-wydanie tygodnika** SIECI wcześniej niż inni, bo już w niedzielę o 20:00 – to kolejne ok. 1 700 tekstów rocznie!
- **w prezencie świetne ebooki Sieci Extra** udostępniane TYLKO subskrybentom

Zamów dziś na **www.siec.wpolityce.pl/oferta**

ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

eprasa.pl 84b1c1dbc7